

Sharon Sala

Życie po życiu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Deszcz bębnił o trzciniową strzechę. Na niebie rozległo się znajome wycie nadlatującego bombowca, ale szeregowy David Wilson, ogarnięty paniką, nie zważał na ten odgłos.

Krew... mnóstwo krwi. Nie wolno patrzeć na Franka. Nie wolno myśleć o tym, co jego brat zrobił i do zrobienia czego go zmusił. Trzeba zniszczyć wszelkie dowody, zanim będzie za późno.

Wszystko przesycone było zapachem benzyny: ściany chaty, ciała, pieniądze, dla których jego brat, Frank, gotów był oddać życie.

Dureń. Zupełny dureń. Pieniądze za broń. Brat za brata. Honor na sprzedaż. Dureń.

Zapałka. Nie patrz na Franka. Myśl tylko o tym, co musisz zrobić.

Pogrążony we śnie Jonasz obrócił się na plecy, zrzucając koc na podłogę. Choć okno tuż obok łóżka było otwarte, duszne powietrze stało w miejscu. Jak na tę porę roku w górach Colorado było wyjątkowo gorąco, ale pot na ciele Jonasza wywołany był przez senny koszmar.

Ciała handlarzy bronią, rozsypane na ziemi pieniądze, przemoczone i pokryte błotem... a wśród tego wszystkiego ciało jego brata w kałuży krwi.

Usta Jonasza zadrgały i wypowiedziały niezrozumiałe słowo. Sceneria snu zmieniła się raptownie. Nie był to już Wietnam w 1974 roku, lecz Nowy Jork dwa tygodnie temu. Atmosfera jednak niewiele się zmieniła. Nadal był to ten sam koszmar.

Z powietrza, Nowy Jork wyglądał jak ogromna bryła betonu. Tylko pośrodku odznaczał się skrawek ziemi i grupa drzew. Park Centralny.

Skierował helikopter w stronę East River i serce zaczęło bić mu mocniej. Za kilka minut koszmar, w którym żył, miał dobiec końca. Pod nim rozciągała się ciemna przestrzeń upstrzona tysiącami świateł. W jego Davida wciąż rozbrzmiewał przepełniony desperacją głos Del Rogersa. Nigdy więcej, pomyślał. Szaleństwo tego człowieka pociągnęło już za sobą zbyt wiele niewinnych ofiar. Boże, spraw, żeby Maggie i jej dziecko jeszcze żyli. Pozwól mi ich uratować.

W światłach lądującego helikoptera zobaczył przerażoną twarz Maggie i przepełniło go poczucie winy. Tchórzliwy sukinsyn, pomyślał, używa niewinnych ofiar tylko po to, by mnie dostać w ręce.

Wirujące śmigła wzniecały tuman kurzu. Jonasz widział, że Maggie usiłuje własnym ciałem osłonić trzymane na rękach dziecko. Ona sama z kolei była żywą tarczą dla mężczyzny, który krył się za nią, trzymając ją mocno za ramiona. Jonasz mógł sobie tylko wyobrażać, co w tej chwili dzieje się w umyśle Maggie. Odsunął drzwi helikoptera i szybko oświetlił

latarką twarz Simona.

W tym momencie w jego własnym umyśle zapanaowała zupełna pustka. Zanim dotarło do niego to, co zobaczył, Simon gwałtownie drgnął, trafiony kulą Del Rogersa.

Dalej wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Z dachów okolicznych budynków posypały się strzały ukrytych tam agentów SPEAR. Simon został trafiony po raz drugi. Przez jego zeszeconą, zniekształconą bliznami twarz przebiegła cała gama emocji i naraz rzucił się desperacko w stronę rzeki. Ciemna powierzchnia wody zamknęła się nad jego głową i Jonasz ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, że Simonowi udało się uciec.

Obudził się i natychmiast usiadł na łóżku, wyprostowany. Minęły już dwa tygodnie, a on nadal nie mógł otrząsnąć się z szoku, jaki wywołał w nim widok twarzy Simona. Przez wszystkie te lata niepotrzebnie obwinał się o zabicie własnego brata.

Potrząsnął głową i rozmasował napięte mięśnie karku. Nocne koszmary zaczęły już odbijać się na jego zdrowiu. Musiał wyrzucić z siebie napięcie, ale tym razem nie miał ochoty iść do siłowni. Chciał poczuć świeże powietrze na skórze i ziemię pod stopami. Chciał biec przed siebie aż do zupełnego wyczerpania mięśni.

Była piąta dziesięć rano. Wstał i poszedł do łazienki, ale nawet lodowata woda na twarzy nie mogła odgonić od niego koszmaru. Zaklął i poszedł się ubrać.

Wyciągnął z szafy koszulkę i szorty, przypiął do

paska kaburę z pistoletem, zasznurował buty do biegania i wyszedł z sypialni. Przechodząc przez kuchnię, zatrzymał się na chwilę i dotknął leżącego na stole listu, który otrzymał poprzedniego dnia. Choć w mroku nie mógł dostrzec liter, pamiętał każde słowo.

Wiem, kim jesteś. Twoja godzina wybiła. Będę w kontakcie. Frank.

Jonasz zdrzął. Duchy. Nigdy dotychczas nie wierzył w duchy. Odłożył list i wyszedł na werandę. Do świtu pozostała jeszcze tylko niecała godzina, ale Jonasz nie potrzebował światła. Przeciągnął się kilka razy, by rozluźnić napięte mięśnie, a potem zeskoczył z werandy i ruszył w stronę drzew. Po chwili zaczął biec. Tym razem nie ściągały go bezimienne demony. Jego przeciwnik miał twarz i Jonasz wiedział, że wkrótce dojdzie do ostatecznej konfrontacji między nimi i Bóg jeden wie, który z nich wyjdzie z tej konfrontacji żywy.

Pragnął, by już było po wszystkim. Miał już dość bycia Jonaszem, miał dość tajemnic i kłamstw. Nie był pierwszym człowiekiem, który zrezygnował z własnej tożsamości dla dobra kraju, i wiedział, że nie jest ostatnim. Ale tożsamość nie była wszystkim, czego się wyrzekł, i właśnie ta myśl najbardziej dręczyła go w bezsennych godzinach przed świtem.

Wyrzekł się Cary.

Nieświadomie przyspieszył kroku, gdy jej twarz znów stanęła mu przed oczami. Była taka młoda, taka ładna. I byli w sobie tacy zakochani. Mieli zaledwie po szesnaście lat. Błagał ją, by z nim wyjechała. Co on

właściwie wtedy myślał? Dokąd mieliby pojechać i co robić dalej? Prosiła go, by zaczekał, aż obydwójce skończą szkołę. Kobiety chyba rzeczywiście dojrzewały szybciej od mężczyzn. Cara na pewno była wówczas bardziej dojrzała niż on. Potrafiła dostrzec przeszkody, których on w ogóle nie chciał brać pod uwagę. Pokłócili się, a ponieważ obydwójce byli zbyt uparci, by przyznać się do błędu, zapłacili za to całym życiem.

Gdyby tylko wystarczyło mu wtedy rozsądku, by wrócić do domu po tej kłótni... Ale nie, on musiał udowodnić całemu światu – a przede wszystkim sobie – że jest mężczyzną. A jaki był lepszy sposób na udowodnienie tego, niż zaciągnąć się na wojnę?

Jego starszy brat, Frank, dostał powołanie dwa miesiące wcześniej i był już gdzieś w dżunglach Wietnamu. Przez te dwa miesiące rodzina dostała od niego tylko jeden list. Gdy ten list nadszedł, matka płakała przez cały wieczór. Ale David wtedy nie zastanawiał się nad tym. Myślał tylko o jednym: musiał udowodnić, że jest mężczyzną, po to, by Cara mogła go kochać.

Gdy jej powiedział, że wstąpił do wojska, nie oczekiwał z jej strony entuzjazmu, spodziewał się jednak obietnicy, iż będzie na niego czekać. Ona jednak rozplakała się histerycznie i stwierdziła, że wybrał wojsko zamiast niej. Niektórych decyzji nie można już odwrócić. David wsiadł do autobusu i nigdy nie wrócił, choć miało być inaczej.

Pisał do niej regularnie, ale ku jego konsternacji ona nie odpowiedziała na żaden z jego listów.

W półtora roku później David dostał paczkę. W środku znajdowały się wszystkie jego listy, nieotwarte, oraz dwa wycinki z gazet: jeden zawiadamiał o ślubie Cary, drugi o narodzinach jej pierwszego dziecka.

David znał Carę i umiał liczyć. Dziecko było jego. Miał w stanie Nowy Jork córkę, którą miał wychowywać inny mężczyzna.

Próbował zginąć na wiele sposobów. To powinno być takie proste, ale nie było. Wszyscy dokoła ginęli w walce, ale wydawało się, że David stał się nieśmiertelny. Nie odniósł ani jednej rany.

A później odkrył zdradę Franka i przelał krew własnego brata. Potem już było mu wszystko jedno. Tuż przed końcem wojny zaciągnął się do SPEAR. Wówczas wyrzeczenie się własnej tożsamości nie miało dla niego żadnego znaczenia. Rodzice już nie żyli. Cara oddała swoje życie i jego dziecko innemu mężczyźnie, który teraz z nią sypiał i wychowywał córkę Davida.

Zostawił ją więc w spokoju i przez wszystkie minione lata nie próbował nawiązać z nią kontaktu – aż do tej pory. Teraz, gdy nie wiedział, co przyniesie mu przyszłość, pragnął zawrzeć pokój z własną przeszłością. Cara od trzech lat była wdową. Ich córka była już dorosła. David nigdy w życiu jej widział jej na oczy. A do tego był już dziadkiem. Na Boga, to nie było sprawiedliwe.

Dotarł do skraju urwiska tuż przed świtem. Serce nadal waliło mu od biegu, ubranie miał prze pocone. Usiadł w swoim ulubionym miejscu, na krawędzi skały, opierając ręce na kolanach, i patrzył na pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na szarym niebie zaczęły się pojawiać złote i różowe smugi.

Gniew opadał i David uspokajał się powoli. Odkąd tu przybył, wielokrotnie oglądał wschody słońca,. Nigdy jednak nie przestały go one zadziwiać. Przypominały mu o istnieniu Boga.

W chwilę później słońce wyłoniło się zza horyzontu i David podniósł się z westchnieniem. Czas był wracać do domu. Tym razem jednak nie miał na myśli domku w górach. Z powodu chaosu, który powstał za przyczyną Franka, prezydent najprawdopodobniej szukał już następnego Jonasza. David wiedział, że powinien z własnej woli przejść na emeryturę, ale najpierw musiał zakończyć sprawę z Frankiem.

Wcześniej zaś zamierzał po raz ostatni stać się Davidem Wilsonem i zobaczyć się z Carą.

Finger Lakes, Nowy Jork

Kłęcząc na rabacie, Cara Justice odganiała packą pszczołę, która uparcie krążyła nad jej głową.

– Poczekaj, ty mała żebraczko. Pozwól mi tylko powyrywać te chwasty, a potem możesz zrobić sobie ucztę w kwiatkach.

Pszczoła, oczywiście, nie odpowiedziała, ale Cara miała zwyczaj mówić na głos, nawet jeśli nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Odrzuciła na bok ostatnią garść chwastów i podniosła się, otrzepując kolana. Dzień był ciepły, ale nie nazbyt upalny. Przez chwilę Cara patrzyła na swój ogródek. Kochała tę porę roku. Wszystko było młode i zielone, kwiaty zaczynały rozkwitać, a ptaki wysiadywały jajka.

Cara westchnęła. Wszystko było młode – oprócz

niej. Ale szczerze mówiąc, nie chciałyby być znów młoda. Zbyt wiele wówczas wycierpiała.

Z radością powitała pięćdziesiątkę. Znów była wolna. Wszystkie jej dzieci były już po ślubie. Najstarsza córka, Bethany, z mężem i dwójką dzieci mieszkała o kilka minut drogi stąd. Młodszy, Tyler i Valerie, mieszkali i pracowali w innych stanach.

Pochyliła się, by podnieść motykę i przy tym ruchu jasne włosy sięgające podbródka opadły jej na twarz. Odrzuciła je ruchem głowy i zaczęła okopywać młode roślinki. Lekki wietrzyk przylepiał jej ubranie do skóry. Z pewnej odległości Cara z łatwością mogła uchodzić za młodą, trzydziestokilkuletnią kobietę. Dopiero z bliska widać było drobne zmarszczki w kącikach oczu i wokół ust.

W końcu zaburczało jej w brzuchu. Odłożyła motykę i spojrzała na zegarek. Było już po dwunastej.

Podchodząc do tylnych drzwi domu usłyszała warkot zbliżającego się samochodu. Ciekawe, kto to taki, zastanowiła się. Bethany była z rodziną na urlopie i mieli wrócić dopiero za kilka dni. Może to listonosz z paczką, pomyślała Cara, i przyspieszyła kroku.

Ale gdy wyszła przed dom, przekonała się, że to nie był listonosz. Zaskoczona, stanęła w cieniu klonu i przyjrzała się wysokiemu mężczyźnie w średnim wieku, który wysiadł z auta. Miał szerokie ramiona i płaski brzuch pod białą koszulką polo. W jego postawie i ruchach było coś wojskowego. Włosy miał krótkie i ciemne, na skroniach pokryte siwizną

Korzystając z tego, że w pierwszej chwili mężczyzna jej nie zauważył, nie odrywała od niego wzroku,

zastanawiając się, dlaczego ta sylwetka wydaje jej się znajoma. Była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała. Musiałaby go pamiętać.

Naraz nieznajomy zatrzymał się i obrócił w jej stronę, jakby wyczuł jej wzrok. Cara spokojnie czekała, aż on odezwie się pierwszy.

David nie musiał patrzeć na mapę, żeby znaleźć dom Cary. Mimo to jednak czuł się zagubiony. Żaden Jonasz nie powinien szukać śladów swojej przeszłości.

Nie miał jednak wyrzutów sumienia. Nie porzucił swoich obowiązków. W bagażniku samochodu miał sprzęt, który w razie potrzeby pozwalał mu połączyć się ze wszystkim, od satelitów szpiegowskich po prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nadal był w pełni odpowiedzialny za działania SPEAR, choć w sercu już odrywał się od tej części swojego życia.

Frank wyznaczył kurs wydarzeń w dniu, gdy porwał syna Eastona Kirby'ego. A po ostatnim incydencie z Maggie i jej dzieckiem David dojrzał do decyzji o rezygnacji. Nie chciał, by niewinni ludzie nadal musieli narażać dla niego własne życie. W gruncie rzeczy była to sprawa osobista. Prezydent znał uczucia Davida i choć David ani słowem nie zdradził przed nim, że zamierza odnaleźć Carę, było jasne, iż pewne rzeczy będą musiały ulec zmianie.

Zatrzymał samochód przed domem i przez chwilę przyglądał mu się, nie wysiadając. Budynek był jednopiętrowy, ceglany, z ciągnącą się niemal przez całą jego długość werandą. Ze środka dachu wyrastał komin. Stare drzewa rzucały cień na trawniki

i wszędzie było mnóstwo kwiatów.

David westchnął. To wszystko wyglądało tak pięknie, tak zwyczajnie. Tylko czy kobieta, która tu mieszkała, zechce wysłuchać tego, co on miał jej do powiedzenia? Wziął głęboki oddech i wysiadł z samochodu, poprawiając na nosie okulary przeciwsłoneczne.

Był już w połowie ścieżki, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch i odwrócił się w tę stronę. Boże wielki, to była ona. Stała pod kępą klonów i patrzyła na niego z ciekawością. Podeszedł do niej i gdy dzielił ich tylko metr, wypowiedział jej imię. Na jej twarzy odbiło się zdziwienie, a potem panika.

– Cara.

Z trudem złapała oddech i zadrżała mimo ciepłej pogody.

– Cara, nie bój się.

– Nie – Cara jęknęła, zakrywając twarz rękami.

– Duchy nie istnieją. Nie wierzę w duchy.

Usłyszała jego głos tuż obok siebie i otworzyła oczy.

– Nie jestem duchem.

– David?

Poczuł ściskanie w gardle, ale zanim zdążył coś powiedzieć, ona stanowczo potrząsnęła głową.

– Ty nie możesz być Davidem. David nie żyje.

To było jeszcze trudniejsze niż sobie wyobrażał.

– Cara... Przepraszam ... tak mi przykro.

Sięgnął po jej rękę. Kiedy jej dotknął, zadrżała i zachwiała się, jakby miała upaść. Podtrzymał ją w ostatniej chwili.

– Niech to wszyscy diabli – mruknął, niosąc jej bezwładne ciało na werandę. Opadł na najbliższe

krzesło, wciąż trzymając ją w ramionach, i patrzył na jej twarz, szukając w niej rysów twarzy dziewczyny, którą znał kiedyś. Ale gdy otworzyła oczy i ujrzał ich jasny, czysty błękit, przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z niepokojem.

Wciąż patrząc na niego nieufnie, objęła jego twarz dłońmi.

– David, to naprawdę ty?

Obok domu przejechał samochód i David nagle uświadomił sobie, są wystawieni na spojrzenia ciekawskich.

– Wejdźmy do środka. Musimy porozmawiać – powiedział i podniósł się, nadal trzymając ją na rękach. Cara zsunęła się na ziemię i zaplotła ręce na jego szyi.

– Ale jak? Dlaczego? Czy ty...

Położył palec na jej ustach, uciszając na razie kolejne pytania.

– Proszę cię, wejdźmy najpierw do środka – powtórzył.

Chwyliła go za rękę i zaprowadziła do domu. Gdy znaleźli się w holu, zamknęła drzwi i stanęła przy ścianie patrząc na niego z takim wyrazem twarzy, jakby miała się zaraz rozplakać.

David przesunął ręką po włosach i uśmiechnął się niepewnie.

– Zupełnie nie wiem, od czego zacząć. Czy chcesz...

Po jej twarzy potoczyły się łzy.

– Och, skarbie, tylko nie to! – przeraził się David.. Wiesz, że nigdy nie mogłem patrzeć na twój płacz.

Naraz jej dłonie znalazły się na jego koszulce,

desperacko wędrując przez całą szerokość piersi, a potem powędrowały do szyi. David próbował przytrzymać jej palce, żeby zyskać odrobinę dystansu, ale dla Cary ten dystans trwał już o czterdzieści lat za długo.

Z jego imieniem na ustach zaplotła ręce dokoła jego szyi i zanim zdążył pomyśleć, pocałowała go.

– Jeśli to sen, to nie chcę się obudzić – szepnęła, wsuwając ręce pod jego koszulę. David zamarł. Dotyk jej palców na skórze był niczym potężny afrodyzjak. Objęła go w pasie i znów podniosła usta do pocałunku. David czuł, jak wybucha między nimi nim seksualne napięcie. Brał pod uwagę wszystko – oprócz tego.

– Cara... Cara, nie powinniśmy...

– Od kiedy to słowo znalazło się w twoim słowniku? – zapytała.

Zaskoczyła go i roześmiał się na głos. Już nie pamiętał, kiedy śmiał się po raz ostatni. Z twarzą ściągniętą pożądaniem zaczął zsuwać z niej ubranie. Jej ręce także nie próżnowały. Nie wiadomo kiedy, jego koszula znalazła się na podłodze, a spodnie były rozpięte. Podniósł Carę i przycisnął swoim ciałem do ściany. Oplotła ramiona wokół jego szyi, nogi wokół jego bioder i roześmiała się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

W ich ruchach była ukryta desperacja, jakby ten jeden akt miał wymazać złe wspomnienia nagromadzone przez czterdzieści lat. Kulminacja była krótka i gwałtowna. Cisza, która potem nastąpiła, była równie nagła jak sam akt. David delikatnie postawił Carę na podłodze i obydwójce sięgnęli po swoje ubrania. Wi-

dział, to, co między nimi zaszło, wstrząsnęło Carą równie głęboko jak nim, i obawiał się, by nie zamknęła się przed nim, zanim zdąży jej cokolwiek wyjaśnić. Dotknął jej ramienia i kiedy podniosła na niego wzrok, objął jej twarz dłońmi.

– Popatrz na mnie – poprosił..

Cara zawahała się, ale podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. W jej oczach znów błysnęła nieufność. Z niedowierzaniem dotknęła swoich nabrzmiątych warg.

– Och, David, jest tyle rzeczy, które muszę ci powiedzieć – odparła. Gdy odszedłeś, okazało się, że jestem w ciąży. Mamy...

– Wiem – powiedział. – Bethany.

Na jej twarzy odbiło się zdumienie.

– Wiedziałaś, że mamy córkę?

Skinął głową. Głos Cary nabrał o ton ostrzejszego brzmienia.

– Wiedziałaś, a mimo to nie wróciłeś?

David czuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Powinien był się tego spodziewać, a jednak po tym, co zaszło przed chwilą...

– To nie było tak...

– Nie. Zaczekaj. Zacznijmy to spotkanie od nowa.

Gniew w jej głosie był oczywisty i David wiedział, że nie ma odwrotu.

– Gdzie ty się do diabła podziewałeś przez te wszystkie lata?

ROZDZIAŁ DRUGI

– Cara, proszę...czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś indziej?

Nawet nie usiłowała ukrywać urazy.

– Skoro przed chwilą kochaliśmy się w holu, to teraz możemy porozmawiać w sypialni.

David wziął głęboki oddech, ze wszystkich sił próbując się uspokoić. Dla Cary jego milczenie było bardziej wymowne od wszelkich zaprzeczeń. Powinien ją przeprosić, choćby ze zwykłej uprzejmości. Dumnie uniosła głowę i powiedziała:

– Przepraszam. Nie powinnam tak mówić. W tym, co się zdarzyło, było więcej mojej winy niż twojej. Jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałabym się przebrać. Łazienka dla gości jest w korytarzu. Pójdę teraz na górę i...

– Ćśśś – powiedział David miękko, odsuwając z jej twarzy kosmyk włosów. – Idź i zrób, co chcesz zrobić. Ja tutaj poczekam.

Czułość w jego głosie była poruszająca. Cara poczuła łzy napływające pod powieki.

– Wybacz, że nie potrafię ci uwierzyć – powiedzia-

ła. – Ale pamiętam, jak czterdzieści lat temu mówiłeś to samo.

Odeszła, zostawiając go z tą zimną, twardą prawdą. Opuścił ją kiedyś dwukrotnie: raz, gdy nie chciała z nim wyjechać, a potem znów, gdy wyjechał do Wietnamu. Poszedł do łazienki, czując, jak wcześniejszy optymizm maleje z chwili na chwilę.

Zaraz za drzwiami sypialni Cara zaczęła płakać. Głęboki szloch wstrząsał jej całym ciałem. Szybko zrzuciła ubranie, stanęła pod prysznicem i odkręciła wodę na cały regulator, aż skóra zaczęła ją parzyć i straciła poczucie czasu. Adrenalina opadła; teraz Cara czuła się słaba i roztrzęsiona, gotowa uwierzyć, że to wszystko było tylko snem.

Płynąca woda była coraz chłodniejsza. Cara zakręciła kran i odsunęła zasłonę. David siedział na niskim stołku tuż obok drzwi.

– Zacząłem się już martwić – powiedział, podając jej ręcznik.

Zasłoniła się nim jak tarczą uświadamiając sobie jednocześnie, że to musztarda po obiedzie.

– Gdybyś mógł mnie zostawić na chwilę...

Wstał i cicho zamknął za sobą drzwi.

Cara wytarła się drżącymi rękami i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jej ubranie znajduje się w sypialni, razem z Davidem. Chwyciła wiszący na haczyku szlafrok i szybko zawiązała pasek.

Na szczęście Davida nie było w pokoju. Ubrała się i spojrzała na zegar: była prawie trzecia. Nic dziwnego, że David zaczął jej szukać. Pewnie myślał, że weszła do łazienki i podcięła sobie żyły. Cara prychnęła.

Nawet jeśli ta myśl kiedykolwiek przyszła jej do głowy, od tego czasu minęło już wiele lat. Przetrwiała bardzo wiele wyłącznie ze względu na dziecko. Pojawienie się Bethany na świecie zmieniło całe jej życie. David Wilson nie opuścił jej całkowicie; zostawił coś po sobie.

Przejrzała się w lustrze i z satysfakcją skinęła głową. Jej strój był prosty; nie czuła potrzeby świętowania, ale schodząc na dół na spotkanie tego ducha z przeszłości, musiała przyznać przed sobą, że nie ma ochoty wyrzucać go z życia i z pamięci.

David stał głęboko zamyślony przed kolekcją rodzinnych fotografii na gzymsie kominka i próbując powstrzymać niechęć, wpatrywał się w podobiznę niskiego, krępego mężczyzny obejmującego Carę. Ray Justice. Na tym zdjęciu oboje byli roześmiani. David westchnął głęboko. Musiał pogodzić się z faktami. No cóż, Cara dała sobie radę bez niego. Być może przyjazd tutaj był oznaką egoizmu z jego strony; może nie powinien tu wracać.

Cara stanęła w progu i natychmiast zrozumiała, na co on patrzy.

– Ona jest piękna – powiedział.

Usta Cary zadrżały. Skinęła głową.

– Jest podobna do ciebie. Ma twój kolor włosów i oczy.

– Ale twój uśmiech.

Cara stłumiła szloch..

– Och, David...gdzie ty się podziewałeś? Powiedziano nam, że nie żyjesz.

– Tak, wiem – odrzekł.

Cara próbowała nie gapić się na niego ostentacyjnie, ale to było trudne. Pamiętała go jako szczupłego szesnastolatka, a teraz miała przed sobą potężnego, tajemniczego mężczyznę.

Usiadła na kanapie i wskazała mu miejsce obok siebie.

– Proszę, usiądź.

– Lepiej mi się myśli, gdy stoję – uśmiechnął się. Westchnęła i wygładziła granatowe spodnie.

– Ja w tej chwili nie byłabym w stanie rozsądnie myśleć, nawet gdyby moje życie od tego zależało – powiedziała.

David wsunął ręce do kieszeni.

– Wiem, że trudno ci będzie to zrozumieć, ale proszę, uwierz, że zrobiłem to co zrobiłem, ze względu na ciebie, a nie przeciwko tobie.

Do oczu Cary znów napłynęły łzy.

– Pozwoliłeś mi myśleć, że nie żyjesz, i w ten sposób wyrzuciłeś mi przysługę?– Jej głos zaczął drżeć. – Nawet jeśli ja nic cię już nie obchodziłam, to jak mogłeś wyrzec się własnego dziecka?–

– Nie... nie... absolutnie nie. Ja nigdy...

– W takim razie wyjaśnij mi to – poprosiła Cara. – Pozwól mi to zrozumieć.

David wyjął jego ręce z kieszeni, niespokojnie przemierzając pokój. Jego ruchy miały zwierzęcy wdzięk.

– To się zaczęło od listów.

– Jakich listów?

– Tych, które do ciebie pisałem.

– Nie dostałam żadnych listów.

– Tak, wiem... to znaczy, przekonałem się o tym po pewnym czasie, ale najpierw zastanawiałem się, dlaczego nie odpowiadasz. Było ich kilkadziesiąt. Przez jakieś trzy miesiące pisałem prawie codziennie, a potem tak często, jak tylko mogłem.

Cara zeszywniała.

– Nie wierzę ci.–

Podszedł do krzesła i podniósł wypchaną kopertę, którą przyniósł z samochodu, gdy Cara była na górze.

– Sama zobacz. Nosilem ze sobą te przeklęte listy po całym Wietnamie. Wiele razy chciałem je wyrzucić, ale nie mogłem się na to zdobyć. Chociaż ich nie otworzyłaś, były ostatnią rzeczą, jaka mi po tobie została.

Cara wysypała zawartość paczki na kolana i zmarszczyła brwi.

– To jeszcze nie wszystkie – dodał David. – Ale wystarczy, żeby ci udowodnić, że mówię prawdę.

Cara zaczęła drzeć. Oto był dowód prawdziwości jego słów. Papier poplamiony wodą, wyblakłe stemple pocztowe. Wszystkie listy zaadresowane były na nazwisko Cary Weber i żaden nie został otwarty. Ale najbardziej wstrząsnęły nią dwa wycinki z gazety, pożółkłe ze starości. Jeden zapowiadał jej ślub, drugi oznajmiał o narodzinach dziecka.

– Skąd to masz?

– Twoi rodzice mi to wysłali, razem z listami.

Cara gwałtownie łąpała oddech.

– Sens był jasny – stwierdził David. – Nie było dla mnie miejsca w twoim życiu. Miałaś męża i dziecko. – Spróbował się uśmiechnąć, ale ból, jaki wzbudzały

te wspomnienia, był zbyt wielki. – Ale ja wiedziałem, że to dziecko było moje. Urodziło się zbyt wcześnie po ślubie, a byłem pewien, że nigdy mnie nie oszukiwałaś.

– Ale David... dlaczego pozwoliłeś nam myśleć, że nie żyjesz? Przecież nigdy nie odebrałabym ci praw do twojego własnego dziecka!

– Wiem, ale musisz zrozumieć, że przeszedłem tam przez piekło. W tym samym miesiącu, gdy dostałem paczkę, zginął Frank. Nie potrafiłem się pozbierać. Na wszelkie sposoby próbowałem dać się zabić, ale nie udało się. Zgłaszałem się na wszystkie misje i każda z nich powinna być moją ostatnią. A gdy okres mojej służby dobiegł końca, zaciągnąłem się ponownie. Byłem w Sajgonie, kiedy padł.

Łzy spływały po twarzy Cary. Siedziała nieruchomo, z rękami zaciśniętymi na kolanach.

– Dlaczego nie przyjechałeś wtedy do domu? Dlaczego pozwoliłeś, żebym... żeby wszyscy myśleli, że nie żyjesz?

David wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Czułem się martwy, czekałem tylko, aż ciało dołączy do duszy. Tylko że wtedy wtrącił się wujek Sam...

– Nie rozumiem.

Zastanawiał się przez chwilę, ile wolno mu powiedzieć.

– Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego – przyznał. – Ale dostałem się do sił specjalnych i zacząłem brać udział w tajnych misjach dla rządu. Teraz moja służba dobiega już końca.

– Chcesz powiedzieć, że zostałeś szpiegiem?

– Kochanie, proszę, nie pytaj o nic więcej. Już i tak powiedziałem więcej niż powinienem.

– Boże – szepnęła Cara. Wpatrzyła się w nieotwarte listy na kolanach i po chwili zakryła twarz rękami.

David uklęknął obok niej i ujął jej dłonie w swoje.

– Cara?

– Dlaczego wróciłeś? I dlaczego właśnie teraz, po tylu latach?

Zawahał się, ostrożnie dobierając słowa.

– Bo chciałem zawrzeć pokój z sobą i z tobą. Chciałem spojrzeć ci w twarz i powiedzieć, że wyjeżdżając do Wietnamu miałem szczerzy zamiar wrócić i ułożyć sobie życie z tobą. Nie mogłbym odejść z tego świata wiedząc, że ty jesteś przekonana, iż odszedłem i zostawiłem cię samą w ciąży. Przysięgam na Boga, Cara, nigdy bym ci tego nie zrobił. Kochałem cię.

– Co to znaczy, że nie mogłbyś odejść z tego świata? Czy jesteś chory?

David usiadł obok niej i sięgnął po jej rękę.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli. Czuję się dobrze.

Cara patrzyła na jego dłonie i zastanawiała się, na ile powinna się przed nim odsłonić. Po chwili jednak przestała się tym martwić. Stracili już zbyt wiele cennych lat. Cokolwiek David mógł jej teraz oferować, gotowa była to przyjąć.

– Jakie masz plany? – ona spytała. – To znaczy... czy możesz tu zostać przez jakiś czas? Może chociaż kilka dni? Chciałabym ci pokazać wiele rzeczy... i, och, David, musisz przecież poznać Bethany! Jest teraz z rodziną na urlopie, ale wrócą w końcu tygodnia,

za pięć albo sześć dni. Możesz zostać tak długo?

Usłyszał własną odpowiedź i wiedział, że popełnia błąd, ale nie mógł znowu stracić Cary. Miał wszelkie powody, by sądzić, że czekająca go potyczka z Frankiem będzie ostatnią. Nie chciał dawać jej fałszywej nadziei, ale z drugiej strony, nie potrafił również wyrzec się tego małego kawałka nieba.

– Tak. Zostanę. Co najmniej przez kilka dni.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Cara poczuła nadzieję.

– Jesteś głodny? Właśnie zamierzałam wrócić do domu na lunch, gdy przyjechałeś.

– Dobry pomysł – uśmiechnął się David. – Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem z kimś posiłek.

Cara wysunęła się z jego ramion.

– Nie pamiętasz, kiedy ostatnio dzieliłeś z kimś posiłek? Mój Boże, David, jakie ty prowadziłeś życie?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Kapiący kran w nędznej kuchni był ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Frank schwycił patelnię i zaczął walić nią w armaturę, aż głowica odłamała się i woda strzeliła w górę jak gejzer, opryskując sufit i szafki. Frank wyrzucił z siebie stek jadowitych przekleństw i pochylił się do zaworu pod zlewem. W końcu woda przestała płynąć, pozostawiając kuchnię w opłakanym stanie. Ale to nie widok bałaganu najbardziej zirytował Franka, lecz świadomość, że po raz kolejny nie udało mu się dotrzeć do celu. Oparł się o szafki i zamknął oczy, nie zważając na wodę ściekającą z nogawek spodni. Był już blisko, tak blisko.

Widział wojskowy helikopter i czuł w kościach, że to był David. Któż oprócz niesławnego Jonasza mógł mieć dostęp do takiego wojskowego cacka?

Ledwie zaczął myśleć o Davidzie, poczuł ból w zranionym ramieniu. Przesunął się i stanął w wygodniejszej pozycji. To była tylko powierzchowna rana. Bywało już gorzej. Ucho też prawie już się wygoiło, choć słuch miał pozostać już na trwale uszkodzony. Z frustracją powiódł ręką po głowie, wyczuwając stare blizny po oparzeniach. Od dnia, gdy jego własny brat spróbował spalić go żywcem, nic już nie było takie samo.

Popatrzył z niechęcią na panujący dokoła bałagan, podszedł do telefonu i zadzwonił do administratora budynku, by ten przysłał kogoś do naprawy zlewu, a potem wielkimi krokami poszedł do sypialni i zmienił ubranie. Przechodząc przez próg ujrzał w przelocie własne odbicie w popękany, zakurzony lustro i zmarł. Ujrzał siebie tak, jak widzieli go inni: wysokiego, starzejącego się mężczyznę ze szklanym okiem i zgorzkniałym wyrazem twarzy. Siwe, przerezione włosy, zaczesane do tyłu, otaczały pokrytą bliznami twarz. Co dziwne, wciąż były kobiety, które uważały go za atrakcyjnego, chociaż Frank rzadko z tego korzystał. Nadal opłakiwał ukochaną Marthę, która była jego żoną przez wiele lat.

Na myśl o Marcie znów poczuł ukłucie bólu. Odwrócił się od lustra i podszedł do szafy. Gdy tylko ramię trochę się wygoiło, sam zaczął tropić Davida, nie próbując już więcej dostać się do niego przez agentów SPEAR. Był zmęczony tą grą i chciał ją wreszcie zakończyć.

Ubrał się szybko, obmyślając kolejne scenariusze wydarzeń i wyobrażając sobie, jak życie ucieka z ciała Davida. Nie miał poza tym żadnego innego celu w życiu. Córka przestała dla niego istnieć, gdy przeszła na stronę wroga, zakochując się w jednym z agentów. Gdyby Martha jeszcze żyła, wtedy i on miałby po co żyć. Porzucił jednak te myśli. Później przyjdzie czas na wspomnienia. Teraz musiał myśleć tylko o zabijaniu.

Noc nadeszła niespostrzeżenie. W jednej chwili Cara sprzątała naczynia po kolacji, a w następnej za oknami zrobiło się zupełnie ciemno. Na myśl o spędzeniu nocy pod jednym dachem z Davidem Wilsonem poczuła lęk. Znała go jako chłopca, ale ten mroczny, tajemniczy mężczyzna był dla niej kimś zupełnie obcym. Pomyślała jednak, że nie przeszkodziło jej to kochać się z nim w holu. Na pewno nic jej nie groziło z jego strony. Było mało prawdopodobne, by David zamierzał ją zamordować w jej własnym łóżku.

Po chwili jednak przypomniała sobie, że David był szpiegiem. A szpiedzy zabijali ludzi. Ale przecież był również żołnierzem, a żołnierze też zabijali i nie czyniło to z nich morderców, lecz bohaterów.

Uspokoiła się i zaczęła układać czasopisma na stoliku, nieświadoma, że David stoi w progu i patrzy na nią. Dopiero gdy wyprostowała się, chcąc odejść, zauważyła w cieniu jego sylwetkę.

- Och, David! Zaskoczyłeś mnie.
- Przepraszam.
- Potrzebujesz czegoś?
- Właściwie nie. Patrzyłem na ciebie, bo jesteś

bardzo piękna.

– Jestem babcią w średnim wieku – uśmiechnęła się, wycierając kurz ze stolika.

– Masz piękne ciało i twarz, która wciąż może łamać serca – stwierdził, wyjmując z jej rąk ścierkę do kurzu. – Musimy porozmawiać.

Jej serce przyśpieszyło, ale zaraz powróciło do normalnego rytmu. Ten mężczyzna był ojcem jej córki. Ale gdy wziął ją za rękę i pociągnął blisko światła, poczuła się naga pod jego spojrzeniem.

– Boisz się mnie, tak? – zapytał.

Cara westchnęła, zarumieniła się i skinęła głową.

– Trochę.

– Przyznaję, że robiłem w życiu paskudne rzeczy, ale nigdy bym ciebie nie zranił.

Czułość w jego głosie poruszyła ją do głębi. Zanim zdążyła pomyśleć, oparła dłonie na jego piersiach i nachyliła twarz w jego stronę.

– Nie to chciałam powiedzieć – rzekła szybko. – Nie miałam na myśli tego, że możesz mnie skrzywdzić fizycznie. Tylko że jestem sama od trzech lat i dopiero uczę się żyć bez dźwięku czyjegoś głosu. Trudno się przyzwyczać do samotności, gdy wcześniej dzieliłeś życie z kimś innym.

– Nie znam tego uczucia.

Ta odpowiedź znów poruszyła jej emocje.

– Chcę powiedzieć, że... ty byłeś moją pierwszą miłością, David. Dałam ci najprawdziwszą i najlepszą część siebie.

Objął ją z głębokim westchnieniem, ale powstrzymała go gestem.

– Nie... zaczekaj... pozwól mi skończyć. – Wzięła głęboki oddech. – Jediną rzeczą, która trzymała mnie przy życiu po twoim wyjeździe, była myśl, że noszę twoje dziecko. Mój mąż był dobrym człowiekiem. Kochał Bethany jak własną córkę i traktował ją tak samo jak dwoje naszych wspólnych dzieci. – Pochyliła głowę i zmusiła się, by na niego spojrzeć. – Ale ze wstydem przyznaję, że nigdy nie potrafiłam mu dać czegoś, co powinnam mu dać, bo wcześniej oddałam to tobie. Żywy czy martwy, ty byłeś panem mojego serca. Teraz Ray nie żyje, a ty wróciłeś, i zaczynam się bać. Obawiam się poznać męzczyznę, którym się

stałeś. Obawiam się pokochać go tak samo, jak kochałam chłopca. – Zniżyła głos do szeptu. – I obawiam się, że jeśli tak się stanie, to nie zniosę utraty ciebie po raz drugi. Więc... muszę cię zapytać, po co naprawdę przyjechałeś? Czy tylko po to, by odkupić jakąś winę, czy też szukałeś czegoś więcej?

Chciał ją uspokoić, ale nie potrafił kłamać. Dopóki Frank był na wolności, jego życie nie było nic warte.

– Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że przyjechałem tu tylko po to, by się z tobą przywitać. Są w moim życiu sprawy, które muszę doprowadzić do końca, i dopóki tak się nie stanie, nie mogę sobie pozwolić na luksus robienia planów na przyszłość.

Cara poczuła, że krew odpływa z jej twarzy. Nie takie słowa spodziewała się usłyszeć.

– To brzmi bardzo poważnie – powiedziała, próbując się roześmiać.

David nie odpowiedział i śmiech przeszedł w szloch.

– Mój Boże... powiedz mi, że źle cię zrozumiałam.

– Nie mogę niczego ci obiecać... ale gdybym mógł, to przede wszystkim powinienem cię ostrzec, że chcę znów zaistnieć w twoim życiu.

Jej głos zadrżał. – Na ile?

– Na tyle, na ile mi pozwolisz.

– Ach... David... zawsze miałeś dar przekonywania – szepnęła, zaplatając ręce na jego karku.

– Chcesz powiedzieć, że to ci wystarczy?

Cara potrząsnęła głową.

– Nie, ale gotowa jestem wziąć tyle, ile możesz mi dać. Za pierwszym razem prosiłam o zbyt wiele i straciłam cię. Nie chcę znów popełnić tego samego błędu.

David objął ją mocno.

– Boże... kobieto, nie masz pojęcia, jak długo o tym marzyłem.

Odsunęła się o krok i podniosła wzrok na jego twarz.

– Ależ wiem. I nie zamierzam tracić czasu na rytuały godowe.

– Jak mam to rozumieć? – zdziwił się.

– Chcę zasnąć w twoich ramionach i w nich się obudzić. Chcę śmiać się z tobą i gotować dla ciebie. Nie chcę myśleć o tym, co masz do zrobienia. Musi mi wystarczyć ten czas, który możesz mi teraz dać.

David wsunął palce w jej włosy i pocałował ją bez ostrzeżenia.

– Nie zasługuję na to – powiedział.

– Owszem, nie zasługujesz – zgodziła się lekko.

– Ale ja zasługuję.

Roześmiał się miękko i porwał ją na ręce.

– Czy będziesz się ze mną kochał? – zapytała.

– Tak – westchnął.

Odpowiedziała mu podobnym westchnieniem.

– Najwyższy czas.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – mówił David, wtulając twarz w jej szyję – to tym razem wolałbym to zrobić w łóżku.

– Trzecie drzwi po prawej.

Niosąc ją przez korytarz zastanawiał się, czy to nie sen. W sypialni położył ją na łóżku i pocałował.

Cara zaplotła ręce dookoła jego szyi, chwytając się go rozpaczliwie. Gdy zaczął zdejmować jej ubranie, poczuła, że kolana jej słabną. Wszystko było zupełnie nierzeczywiste. Nie potrafiłaby zliczyć, ile razy wyobrażała sobie taką scenę: David wchodzi do domu, porywa ją w ramiona i unosi w stronę zachodzącego słońca. Dopiero gdy była już dobrze po czterdziestce, postawiła krzyżyk na tych fantazjach.

A teraz to się zdarzyło i to nie był sen. To był David – mężczyzna z krwi i kości, który pragnął jej równie mocno, jak ona pragnęła jego.

Obudziła się nagle, jak zawsze budzą się matki, gdy wyczuwają, że coś jest nie tak w ich świecie. Ale tym razem dźwięk, który ją obudził, nie pochodził od przestraszonego dziecka, lecz od mężczyzny śpiącego obok niej. Leżała bez ruchu, wsłuchując się w jego ciężki oddech i walcząc ze łzami. Jego skóra była wilgotna. Wymamrotał coś niezrozumiałego i spał dalej. Cara uniosła się na łokciu, wpatrując się w jego skrytą w mroku twarz. Powiodła wzrokiem w dół i zobaczyła blizny. Rany po kuli. Rana po szrapnelu.

Gruba, pokryta zrostami blizna wzdłuż boku. Boże, co mu się stało? Jakie piekło przeżywał na nowo w snach?

Nagle usiadł prosto na łóżku. Cara cofnęła się, zaskoczona.

– David?

Na dźwięk jej głosu jego ciało rozluźniło się wyraźnie.

– Zapomniałem, gdzie jestem – powiedział.

– Dręczył cię jakiś sen.

– Tak.

– Czy mogę coś ci przynieść? Szklankę wody? Aspirynę?

David zsunął się z łóżka i podszedł do swojej walizki.

– Gdzie idziesz?– spytała Cara, widząc, że on wyciąga z walizki szorty.

– Muszę to wybiegać – wyjaśnił krótko. – Wszystko będzie w porządku. Śpij dalej.

– Co wybiegać, David?

Odwrócił się plecami do niej. Widziała tylko ciemny zarys jego postaci na drugim końcu pokoju, ale ton jego głosu był wystarczająco wymowny.

– Przeszłość.

– Ale David, nie możesz uciec od przeszłości.

– Wiem, ale mogę się zmęczyć. A teraz wracaj spać. Sam sobie otworzę drzwi, kiedy będę wracał.

– Będziesz potrzebował klucza – zauważyła, podnosząc się.

– Nie rzucił krótko i zniknął.

Cara zaczęła drżeć. Kogo właściwie wpuściła do swojego łóżka?

ROZDZIAŁ TRZECI

David biegł nie myśląc o niczym, skupiając się tylko na uderzeniach stóp o ziemię. Wysiętek fizyczny odrętwiał umysł i zawsze przynosił mu ulgę. Uciekł od Cary, bo nie chciał, by widziała jego słabość. Było mu wstyd, że zwykły koszmar senny potrafi go doprowadzić do takiego stanu.

Wbiegł do lasu za domem z jedną tylko myślą: zapomnieć. Ale w jakiś czas później uświadomił sobie, że nie wie, gdzie jest. Zatrzymał się na polanie i popatrzył na niebo. Było dla niego czytelne jak mapa drogowa. Szybko odnalazł Gwiazdę Polarną i odzyskał orientację. Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby znaleźć gwiazdę, która podobnie dawałaby mu poczucie kierunku w życiu.

Gdy demony wreszcie ucichły, był o niecałą milę od domu. Zatrzymał się w połowie zbocza, podniósł głowę i zobaczył światła.

Cara zostawiła zapalone światła, by nie zgubił drogi.

Przez wiele lat życia nie pozwalał sobie na luksus łez, ale teraz zadrzał i poczuł ściskanie w gardle.

Odkąd zaczął swoją samotną podróż, po raz pierwszy miał do kogo wracać.

Gdyby tylko mógł w pełni należeć do Cary i do tego świata. Potrzebował tego, zasłużył na to. Tak wiele musiał oddać. Przecież chyba należy mu się trochę radości na koniec życia. Wziął jednak głęboki oddech i odpędził od siebie te myśli. Dopóki sprawa z Frankiem nie była zakończona, nie mógł pozwolić sobie na rozmyślania o przyszłości. Wzruszył ramionami i zaczął iść pod górę.

Cara widziała, jak wyłonił się spomiędzy drzew, i poczuła przemożną ulgę. Podniosła się z krzesła i stanęła przy oknie, hamując chęć, by wybiec mu na spotkanie. David wyczuł jej obecność, zanim ją jeszcze zobaczył, i gdy jej sylwetka pojawiła się wśród cieni na krawędzi werandy, poczuł, że z serca spadł mu ogromny ciężar. To było jak sen, który nawiedzał go od dawna. To był cud.

– Cara.–

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Zrobiłam kawę. W łazience znajdziesz świeże ręczniki. – Po krótkim wahaniu dodała: – Potrzebujesz czegoś jeszcze?

David zwalczył ściskanie w gardle.

– Tylko ciebie.

– Byłam tutaj przez cały czas.

– Wiem. To ja zniknąłem.

Zeszła z werandy i wzięła go za rękę.

– W takim razie witaj w domu, Kochany – powiedziała miękko i zaprowadziła go do środka.

Gdy wyszedł spod prysznic, była prawie czwarta rano. Światła były pogaszone, paliła się tylko mała bursztynowa lampka obok łóżka Cary. Stał w progu sypialni i patrzył na nią, zastanawiając się, jak wiele razy Ray Justice robił to samo – patrzył na swoją żonę w łóżku. Być może nawet stał w tym samym miejscu. Odepchnął jednak od siebie uczucie zazdrości. Nie było do tego żadnego powodu. Ray już nie żył.

Odsunął kołdrę i wśliznął się do łóżka obok niej. Cara westchnęła i przytuliła policzek do jego piersi. Objął ją mocno. Boże... nie pozwól, by to się szybko skończyło, pomyślał i zamknął oczy.

Obudził go zapach kawy. Przez chwilę leżał nieruchomo, zaskoczony. Przez większą część jego dorosłego życia jego przetrwanie zależało od czujności, nawet we śnie, a jednak nie zauważył, kiedy Cara wstała i ubrała się. Sądząc po zapachach płynących od strony kuchni, była na nogach już od dłuższego czasu. Oprócz kawy, David czuł jeszcze aromat bekonu i świeżo pieczonego chleba. Wstał i sięgnął do walizki po czyste spodenki i koszulkę, nie chcąc tracić ani chwili dłużej z tak pięknego dnia. Zajrzał na chwilę do łazienki, a potem bosy powędrował do salonu, gdzie telewizor był włączony na wiadomości. David zatrzymał się na moment, by posłuchać spikera.

– Rozmowy między Irlandzką Armią Republikańską i rządem Wielkiej Brytanii zostały zerwane. Anonimowi informatorzy przypisują niedawny wybuch bomby na Trafalgar Square rebelianckiej frakcji IRA. Dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona, negocjacje

nie będą wznowione.

– O cholera – mruknął David, myśląc, że powinien sprawdzić, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. Czuł się rozdarty między obowiązkami wobec SPEAR a chęcią, by spędzić jak najwięcej czasu z Carą.

– Wiadomości lokalne. W trzech kolejnych hrabstwach stanu Nowy Jork powtórzyły się zuchwałe napady z bronią w rękę. Ubiegłej nocy bandyci napadli na sklep monopolowy w Three Corners, postrzelili ekspedientkę i zrabowali ponad sześć tysięcy dolarów. Kobieta, trzydziestoczteroletnia Azjatka, matka dwojga dzieci, nadal przebywa na oddziale chirurgicznym miejscowego szpitala. Będziemy na bieżąco informować o stanie jej zdrowia.

David westchnął. Było mu żal postrzelonej kobiety, ale musiał się skupić na szerszym obrazie. Terroryzm zdążył już wpisać się w życie codzienne Stanów Zjednoczonych. Jego obowiązkiem było dopinować, by takie sytuacje nie stały się zbyt powszechne.

W telewizji pojawiły się reklamy. David poszedł do kuchni. Cara właśnie myła ręce w zlewku. Stanął za nią, objął ją w pól i pocałował w szyję.

– David! Zaskoczyłeś mnie – zawołała, opierając się o jego ciało.

– Ty też zdążyłaś mnie dziś zaskoczyć – odrzekł, obracając ją twarzą do siebie.

– A czym? – zdziwiła się.

– Nie słyszałem, kiedy wstałaś.

Wzruszyła ramionami.

– Staralam się zachowywać cicho. Spałeś tak moc-

no, uznałam, że potrzebujesz odpoczynku.

– To nieistotne – wzruszył ramionami. – Zdarzało się, że obywałem się bez snu przez wiele dni, ale nie traciłem czujności. Od tego zależało, czy przeżyję kolejny dzień.

Położyła dłonie na jego policzkach.

– Tak, ale wtedy byłeś w niebezpieczeństwie. A dzisiaj podświadomie czujesz, że nie musisz się niczego bać, i to wszystko. Teraz siadaj do stołu. Śniadanie jest prawie gotowe.

Miała rację i zastanawiał się, dlaczego jemu nie przyszło to do głowy. Może spędził zbyt wiele lat w ukryciu i nie pamiętał już, jak wygląda normalne życie.

– Pomóc ci w czymś?– zapytał.

– Nie, dziękuję.

Usiadł przy stole. Kiedy ostatni raz jadł posiłek przy stole przybranym kwiatami? Na widok gorących bułeczek z jagodami zaniemówił. Poczował dotyk dłoni Cary na karku i podniósł głowę. Uśmiechała się.

– Pamiętałaś – powiedział miękko.

Pocałowała go szybko.

– Jak mogłabym zapomnieć? Tego dnia, gdy wyjeżdżałeś na szkolenie, zjedliśmy razem śniadanie we Flanders' Deli. Byłam na ciebie wściekła, ale przyszłam się pożegnać.

David westchnął, nie chcąc wracać do wspomnień o rozstaniu.

– To były bułeczki z jagodami, posypane z wierzchu cukrem. – Dotknął kącika jej ust. – Miałaś ten cukier tutaj.

Cara uśmiechnęła się.

– A ty zebrałeś go językiem. Zdaje się, że wywołaliśmy sensację w deli. Ktoś powiedział o tym moim rodzicom i kiedy wróciłam do domu, czekała mnie wielka awantura

– Przykro mi – powiedział David.

– A mnie nie. Moi rodzice nie żyją już od kilku lat, ale wciąż nie mogę im wybaczyć tego, co nam zrobili.

– Pamiętliwość nie służy zdrowiu – stwierdził David, myśląc o Franku. – Lepiej skupić się na tym, co jest teraz.

Cara wyczuła zmianę jego nastroju i zauważyła, że jego spojrzenie pociemniało. Podążyła mu bułeczkę z nieco wymuszonym uśmiechem.

– Zajmij się tym, a ja przygotuję resztę.

Przełamał ciepły kawałek ciasta na pół. Zapach cukru i jagód sprawił, że znów poczuł się jak szesnastolatek.

– Jak ci smakują? – zapytała Cara, stawiając przed nim talerz jajek na bekonie.

David przełknął wielki kęs.

– Myślę, że Ray Justice był wielkim szczęściarzem.

Wzmianka o zmarłym mężu była poruszająca, Cara jednak zdecydowała się uznać ją za komplement i uśmiechnęła się.

– To bardzo miłe, że tak mówisz – rzekła, unosząc brwi. – Mam swoje dobre momenty. – Zaśmiała się i poszła po własny talerz.

Skończyli ich posiłek w milczeniu pełnym zaufania. Dla Cary wszystko to było zupełnie nierzeczywis-

te. Zaledwie przedwczoraj David Wilson był tylko bolesnym wspomnieniem z przeszłości, a oto teraz siedział w jej domu, przy jej stole, jedząc śniadanie, które mu przygotowała. Ale ten David zupełnie nie przypominał chłopca, który kiedyś ją opuścił. Był silny, tajemniczy i rzadko się uśmiechał. Chciała dostać z powrotem swojego dawnego Davida, pamiętała jednak stare powiedzenie: uważaj, o co prosisz. Prowadziła ustabilizowane życie. Czy potrafiłaby żyć z mężczyzną, którego otaczało tyle tajemnic? Z mężczyzną, który musiał doprowadzać się do fizycznego wyczerpania, by móc odpocząć? Westchnęła ciężko. Nikogo nie pragnęła bardziej niż jego, a jednak nie była pewna, czy potrafiłaby sprostać temu zadaniu.

David wstał, by nalać sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

- Tobie też? – spojrzał na nią.
- Dziękuję, mnie już wystarczy.
- Na pewno? – zapytał znaczącym tonem.

Cara uśmiechnęła się.

- Może za bardzo się pośpieszyłam z odpowiedzią.
- Jeśli wrócisz ze mną do sypialni, to dam ci czas na zmianę decyzji.

Zarzuciła mu ręce na szyję i poczuła dreszcz tęsknoty.

– Chyba nie potrzebuję wiele czasu.

Rzadki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Mogę iść sama – zaprotestowała, gdy wziął ją na ręce.

– Powiesz mi to później – odciął się z błyskiem w oku, kładąc ją na łóżku.

Cara odsunęła zasłonę prysznicza i napotkała wzrok Davida. Na widok jego uśmiechu wyprężyła dumnie swe mocne ciało, patrząc mu prosto w oczy. David owinał ją ręcznikiem.

– Byłoby tragedią, gdybym przeżyła całe życie nie poznając tego – stwierdziła.

Kąciki ust Davida drgnęły lekko.

– To jedna z najciekawszych stron Kama Sutry.

– Ach, tak? A ja myślałam, że nauczyłeś się tego od jakiejś Maty Hari podczas którejś ze swoich podróży – zakpiła.

– Kochanie, ja naprawdę nie jestem Jamesem Bondem. Mógłbym policzyć wszystkie kobiety, z którymi spałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat, na palcach jednej ręki i jeszcze by mi tych palców zostało.

– Ale ja nie powiedziałam tego z zazdrości – odparła Cara. – Wręcz przeciwnie. Jeśli kiedykolwiek jeszcze spotkasz którąś z tych kobiet, to bardzo proszę, poznaj mnie z nią.

– Dlaczego?

– Chciałabym im podziękować za wkład w twoją fachową wiedzę.

David odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się gromko.

– Boże drogi, kobieto, zupełnie mnie rozbrajasz!

– Mam nadzieję, że nie na długo. A teraz pozwól mi się ubrać. Nie mogę chodzić nago przez cały dzień.

– Dlaczego nie?

Jej uśmiech rozszerzył się.

– Bo mam kilka rzeczy do zrobienia.

David zmarszczył brwi.

– A co takiego?

Cara wzruszyła ramionami.

– Normalne, codzienne obowiązki. Muszę odebrać rzeczy z pralni, zrobić zakupy, umyć samochód.

Poszedł za nią do sypialni i usiadł na łóżku, nie chcąc się przyznać do własnej ignorancji w dziedzinie życia codziennego. On sam nie zajmował się takimi sprawami od dnia, w którym wyruszył do Wietnamu.

– Czy mogę pojechać z tobą?

Cara obróciła się, zaskoczona niezdecydowaniem w jego głosie.

– Oczywiście, że tak.

– Czy istnieje jakiś specjalny strój na takie okazje?

Wybuchnęła śmiechem i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że on nie żartuje. Zacisnęła dłonie w pięści i w jej głosie pojawił się gniewny ton.

– Przez cały czas mam ochotę cię zapytać, co właściwie rząd Stanów Zjednoczonych zrobił z tobą w imię pokoju, ale obawiam się usłyszeć odpowiedź. Możesz założyć szorty albo długie spodnie, dżinsy, cokolwiek. Do tego jakąkolwiek koszulkę. Jest tu świetna mała restauracja, gdzie możemy zjeść lunch.

– Zmarszczyła brwi i dodała: – Właściwie jest to bardziej herbaciarnia, ale nie obowiązują tam żadne sztywne zasady dotyczące ubioru.

– W porządku – powiedział David i zdjął z wieszaka parę luźnych spodni, a potem dobrał do nich odpowiednią koszulkę.

Cara stanęła, obserwując grę mięśni na jego plecach. Jej spojrzenie znów zatrzymało się na licznych

bliznach przecinających skórę we wszystkich kierunkach. Oczy zaszyły jej łzami; odwróciła się, by David ich nie dostrzegł. Przyszło jej do głowy, że zawsze uważała wolność za rzecz oczywistą i nigdy nie zastanawiała się, ilu ludzi musiało złożyć w ofierze życie dla jej bezpieczeństwa.

– David – powiedziała cicho.

Podniósł głowę znad sznurowanego właśnie buta.

– Tak?

– Dziękuję ci.

– Za co?

– Za lata, które spędziłeś w służbie tego kraju. Za nieprzespane noce i cierpienie...

Podniósł się i delikatnie położył palec wskazujący na jej ustach.

– Nie musisz tego mówić.

– Muszę – pokręciła głową. – Przez wiele lat użalałam się nad sobą, bo moje życie nie ułożyło się tak, jak zaplanowałam. A teraz zobaczyłam ciebie i zrozumiałam, ile wycierpiałeś, gdy ja byłam bezpieczna, w ciepłym domu i...

Głos jej zadrżał i odwróciła wzrok.

David był wstrząśnięty. Co mógł odpowiedzieć na tego rodzaju brutalną prawdę?

– Chodź tu, kochanie. Wszystko jest w porządku.

– Nie – odrzekła cicho. – To nigdy nie będzie w porządku.

– Dla mnie to się już prawie skończyło.

Cara zmarszczyła brwi.

– Już kilka razy wspominałeś, że masz jakieś niedokończone sprawy. Co to takiego? Dlaczego nie

możesz mi powiedzieć?

Spróbował się uśmiechnąć.

– Znasz stary żart szpiegowski. Gdybym ci powiedział, to musiałbym cię zabić, a obydwójce wiemy, że tego nie mógłbym zrobić. Więc...

Cara odwróciła się, mamrocząc coś pod nosem.

– To dość dziwne słowa w ustach tak pięknej kobiety – uśmiechnął się David. Cara zignorowała go, przez co zaczął się uśmiechać jeszcze szerzej. Tę kobietę wielka przepaść dzieliła od dziewczyny, którą kiedyś zostawił.

– Skończę się ubierać – powiedział łagodnie.

Cara zwróciła na niego gniewnie nachmurzoną twarz.

– Czy ty się ze mnie śmiejesz?–

– Ależ skąd – zdumiał się.

– Ależ owszem – westchnęła.

– W jaki sposób mógłbym zmienić temat?

Podniosła głowę bez uśmiechu.

– Poczekam na ciebie w salonie – powiedziała i wyszła, zostawiając go samego.

David szybko chwycił portfel i kluczyki i poszedł za nią. Zwyczajne życie było dla niego nowym i nieznanym terytorium, ale już nie mógł się doczekać, kiedy zacznie je poznawać.

W dwie godziny później, po załatwieniu tuzina sprawunków, weszli do restauracji. Cara natychmiast zauważyła znajomych, którzy pomachali jej ręką. Wyraźnie widziała na ich twarzach, że towarzyszący jej mężczyzna wzbudził ich ciekawość.

– Jak ci się tu podoba? – spytała.

– Ładnie pachnie – uśmiechnął się.

Cara również odpowiedziała mu uśmiechem.

– Smakuje równie dobrze.

– Myślę, że to był dobry wybór. I jeszcze myślę, że ci ludzie przy stoliku koło okna próbują zwrócić na siebie twoją uwagę.

Cara westchnęła.

– Tak, wiem. Co ja mam z tobą zrobić?

– Jak to? – zdziwił się, unosząc znacząco brwi.

– A co chciałabyś ze mną robić?

Ona uśmiechnęła się. – Jedno na pewno zmieniło się przez te wszystkie lata. Masz teraz perwersyjne poczucie humoru. Ale bez żartów. Czy mogę, uhm, przedstawiać cię jako Davida, czy też mam...

David położył rękę na jej plecach i delikatnie popchnął ją w stronę zaciekawionych znajomych.

– Jestem, kim jestem. Gdyby moje nazwisko było niebezpieczne, to na pewno nie pojawiłbym się u ciebie.

Wydawała się zaskoczona, jakby wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Cara, kochanie! Jak miło cię widzieć!

Cara uśmiechnęła się. Tak długo stali przy drzwiach, że jej przyjaciółka Debra Shay sama do nich podbiegła.

– Mnie również miło cię widzieć – odrzekła Cara.

– Nie przedstawiś mnie swojemu znajomemu? – zapytała Debra prosto z mostu, spoglądając nieśmiało na Davida.

– Jeśli obiecasz, że nie będziesz szczypać go

w siedzenie – zaśmiała się Cara.

Debra zachichotała i ze współczuciem poklepała Davida po ręku.

– To znaczy, że byliście w salonie fryzjerskim Reama! Janis nie przepuści żadnemu przystojnemu facetowi.

David uśmiechnął się.

– Biorę to za komplement – powiedział gładko. – Jestem David Wilson. Miło mi poznać przyjaciółkę Cary.

– David, to jest Debra Shay – uzupełniła Cara. – Ray pracował z jej mężem, Royem.

David uprzejmie skinął głową. Miał wrażenie, że gra rolę w jakimś spektaklu. Normalna pogawędka, zwykli ludzie, lunch w herbaciarni w Chiltingham w stanie Nowy Jork. Wszystko to było niezmiernie odległe od życia, jakie znał wcześniej.

W końcu podeszła do nich hostessa.

– Przepraszam za opóźnienie – powiedziała. – Proszę pójść za mną.

– Miło było cię poznać – zawołała Debra, odprowadzając ich wzrokiem.

Usiedli przy stoliku i David wziął Carę za rękę.

– Chyba nie było tak źle?

– Nie – odrzekła z nieco wymuszonym uśmiechem.

– Dlaczego mam wrażenie, że przez cały czas czujesz się trochę nieswojo?

– Bo tak jest – westchnęła.

– A o co chodzi?

– To wszystko jest zupełnie nierzeczywiste.

Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech. Była to ostatnia rzecz, jakiej Cara mogłaby w tej chwili oczekiwać.

– Co w tym jest takiego zabawnego? – obruszyła się.

– Przypomniałem sobie, że kiedyś też przeważnie myśleliśmy to samo.

– Co to znaczy?

– Że przed chwilą mnie też to przyszło do głowy. Miałem wrażenie, że gram rolę w filmie i lada chwila ktoś krzyknie: cięcie! i znów zmienię się w...

Ugryzł się w język, zanim zdążył wypowiedzieć imię: Jonasz, ale Cara zrozumiała, co miał na myśli, i uściśniła jego dłoń.

– Jeśli nie czujesz się tu dobrze, możemy pójść do domu – powiedziała cicho. – Zrobię jakieś kanapki i możemy...

– Nie, nie. Czuję się dobrze, tylko wyszedłem z wprawy – uśmiechnął się i wręczył jej menu. – A teraz powiedz mi, co jest dobre.

– Jak bardzo jesteś głodny? – zapytała.

Pochylił się nad stołem, aż ich czoła prawie się zetknęły.

– Śmiertelnie – powiedział miękko.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec.

– Tylko nie liź znowu kącika moich ust.

David rozparł się wygodnie na krześle i w jego oczach zamigotał diabelski błysk.

– Na razie jesteś bezpieczna – zapewnił ją. – Skoro ty tu jesteś ekspertem, to może zamówisz coś dla mnie?

– Naprawdę chcesz się zdać na mnie?

– Myślę, że nie zagraża to w niczym mojemu poczuciu męskości. A poza tym, jestem ciekaw, co dla mnie wybierzesz.

– A jeśli trafię na coś, czego nie lubisz?

Pomyślał o czasach, gdy jadał larwy i owady, by utrzymać się przy życiu, ale odepchnął te wspomnienia.

– I tak to zjem.

Cara rozpromieniła się.

– Właśnie takich mężczyzn lubię! Za to dostaniesz jeszcze znakomity deser.

– A co takiego?

– Ciastko – uśmiechnęła się. – Nazywa się „Lepsze niż seks,,.

David myślał, że kpi sobie z niego, ale pokazała mu menu.

– Niemożliwe – mruknął, zastanawiając się, co jeszcze zmieniło się w tym świecie w czasie, gdy on pełnił rolę kolejnego z długiej listy Jonaszów.

– Ależ jak najbardziej, i udowodnię ci to, gdy zjesz główne danie – zaśmiała się Cara.

– Spróbuj – uśmiechnął się David szeroko. – Będę bardzo grzeczny i zjem wszystko z talerza, ale kiedy dotrzemy do domu, to wtedy ja ci udowodnię, że nie ma niczego lepszego niż seks, szczególnie z właściwą osobą.

– Czy mogę już przyjąć zamówienie?

Zaskoczona Cara podniosła wzrok na kelnerkę. Uśmiech na twarzy dziewczyny wyraźnie świadczył o tym, że słyszała przynajmniej ostatnią część rozmowy. Cara spojrzała na Davida, wymownie przewracając oczami. Dobrze wiedziała, że zanim skończą jeść, treść

tej rozmowy zdąży już roznieść się po całym lokalu.

Złożyła zamówienie i gdy kelnerka odeszła, zauważyła, że David wpatruje się w stolik na drugim końcu sali. Siedzieli tam Ben i Katie Murphy z córeczką, która miała zaledwie miesiąc. Prawdopodobnie było to ich pierwsze wspólne wyjście z domu od czasu narodzin małej. Cara znów zwróciła spojrzenie na Davida i tym razem dostrzegła w jego wzroku cierpienie. Nie zważając na to, że byli w miejscu publicznym, sięgnęła po jego rękę.

Drgnął i napotkał jej wzrok.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

Westchnął. A więc znów, tak jak kiedyś, potrafiła czytać w jego myślach.

– Nie ma powodu – odrzekł krótko.

– Nie rób tego, David.

– Czego mam nie robić?

– Nie próbuj zaprzeczać swoim uczuciom.

– No dobrze. Co chcesz usłyszeć? – zapytał cicho.

– Że zazdrozczę tej młodej parze życia, które mają przed sobą, albo, że chcę czegoś, czego nie mogę mieć?

– Nie mogę oddać ci młodości, ale mogę dać ci córkę... i wnuki. – Wstrzymała oddech, obawiając się powiedzieć, że jeśli on zechce, to ona zgodzi się zostać jego żoną.

David zmusił się do uśmiechu.

– Już to zrobiłaś – powiedział. – I mogę tylko mieć nadzieję, że oni wybaczą mi równie szybko jak ty.

– Nie mają ci czego wybaczać – odrzekła Cara, skrywając rozczarowanie tym, że on nie wspomniał o przyszłości ich związku. – Kiedy cię poznają, będą

musieli cię pokochać.

Zanim David zdążył odpowiedzieć, do ich stolika podeszła jakaś kobieta, sądząc po wyrazie twarzy, zżerana ciekawością. David momentalnie wziął się w garść. Nieznajoma nie wyglądała na osobę, która mogłaby się zadowolić zwykłym uszczyptnięciem w tyłek.

– Ooch, Cara, kim jest ten wspaniały mężczyzna i gdzie go dotychczas ukrywałaś?

Cara skrzywiła się lekko i David zdał sobie sprawę, że tym razem nie ma do czynienia z przyjaciółką.

– Macie, myślałam, że jesteś w Reno.

– Właśnie wróciłam i widzisz, znów jestem wolną kobietą – rzekła Macie z satysfakcją, na dowód swych słów pokazując lewą dłoń bez obrączki.

– Przykro mi to słyszeć – rzekła chłodno Cara.

– Nie ma o czym mówić! Nie wiem, co właściwie myślałam, kiedy brałam ślub z Glenem Harveyem.

– Że tatuś zostawił mu swoją firmę? – mruknęła Cara tak cicho, że tylko David mógł ją usłyszeć.

– Nie przedstawiś mnie? – zapytała Macie, pochylając się nad stolikiem i roztaczając pełnię swych wdzięków tuż przed nosem Davida. Cara zirytowała się nie na żarty. Jej mąż, Ray, wyznał jej kiedyś, że miał krótki romans z Macie między jej trzecim a czwartym mężem. Choć w końcu mu wybaczyła, nigdy jeszcze nie miała okazji do otwartej konfrontacji z Macie i uznała, że ta chwila nadeszła właśnie teraz.

– Macie, to jest David Wilson – powiedziała z promiennym uśmiechem. – Mój chłopak z lat młodości i ojciec Bethany. David, to jest Macie

Harvey. Nawet Elizabeth Taylor nie może się z nią równać pod względem ilości mężów. Zdaje się, że Glen był siódmy... czy może ósmy?

David był zaskoczony, ale również uradowany tym, że Cara nie tuiła charakteru ich związku. Wstał i wyciągnął rękę.

– Pani Harvey, serdecznie współczuję rozvodu, ale zapewne dobrze pani wie, że czas uzdrawia wszystkie rany – oczywiście oprócz tych, które nas zabijają.

Macie zamrugła powiekami, zastanawiając się, czy powinna poczuć się obrażona. Uznała jednak, że tak bulwersujące nowiny mają pierwszeństwo, i przełknęła urazę.

– Tak... oczywiście... bardzo dziękuję – wymamrotała, rzucając rozwścieczone spojrzenie w stronę Cary. – Chyba już wrócę do swojego stolika.

– Miłego posiłku – zawołała za nią Cara, wciąż z tym samym promiennym uśmiechem.

– Cara, skarbie? – uśmiechnął się David, gdy Macie oddaliła się od nich.

– Co?

– Muszę bardzo uważać, żeby cię nigdy nie doprowadzić do złości.

– Dlaczego?

– Bo znakomicie sobie radzisz w walce, chociaż nie jesteś uzbrojona.

Odrzuciła głowę do tyłu i uśmiechnęła się grzecznie.

– Dziękuję. To należy do zestawu podstawowych umiejętności kobiety.

– Często najtrudniej sobie poradzić właśnie ze starymi wrogami – dodał David, myśląc o Franku.

– Ona miała romans z Rayem. Myśleli, że nic o tym nie wiem.

Serce Davida ścisnęło się. Tyle rzeczy musiała znieść, a wszystko dlatego, że on nie wrócił. Tym razem to on sięgnął po jej dłoń.

– Tym razem to ja przepraszam.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież to nie ty miałeś z nią romans. Nie masz za co przepraszać.

– Ależ mylisz się – powiedział cicho. – Najbardziej zraniło cię to, czego nie zrobiłem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, kelnerka przyniosła zamówienie i napięcie uleciało.

– Gorąca kanapka z wołowiną i sałatka z tuńczyka – powiedziała, stawiając talerz cienko pokrojonego rostbefu na grzance, polanego gęstym brązowym sosem, przed Davidem i zimną sałatkę z tuńczyka przed Carą. – Ale zostawcie sobie trochę miejsca na deser. Dostarczy wam niezapomnianych wrażeń.

David roześmiał się.

– Wygląda świetnie – stwierdził. – Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś takiego.

Ugryził wielki kęs z wyraźną przyjemnością. Cara uśmiechnęła się i skupiła na własnym talerzu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Frank Wilson z niechęcią odrzucił słuchawkę na widełki. Dotychczas żadna ilość pieniędzy nie była w stanie zapewnić mu istotnych informacji o miejscu pobytu młodszego brata. David zniknął jak kamień w wodę, tak samo jak wtedy, gdy wrócił z Wietnamu. Frank zmarszczył brwi i wpatrzył się w przestrzeń przed sobą. Lubił wiedzieć, gdzie są jego wrogowie; bez tego czuł się bezbronny i słaby.

Podszedł do okna i spojrzał w dół na ulicę. Wschodnie Los Angeles było doskonałym miejscem, by się rozpuścić w anonimowości. O ile dysponowało się gotówką, nikt nie pytał o dokumenty przy wynajmowaniu pokoi czy samochodów. Mimo wszystko Frank nie czuł się bezpiecznie w Stanach Zjednoczonych. Naraził się wysokim urzędnikom Wuja Sama i chociaż na razie uchodziło mu to na sucho, to wiedział, że za jego głowę wyznaczono wysoką cenę.

Ze zmarszczonym czołem patrzył na przechodniów. Na świecie żyło o wiele za dużo ludzi, którzy do niczego się nie nadawali. Im dłużej Frank o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że właśnie

dlatego wszystkie jego plany dotychczas paliły na panewce. Nie będzie więcej próbował dobrać się do Davida rękami innych. Próbował tego już jedenaście razy, za każdym razem bezskutecznie. Następnym razem rozgrywka musi się odbyć tylko między nimi dwoma, twarzą w twarz.

A jeśli nie będzie żadnego następnego razu? Z frustracją uderzył pięścią o parapet. Ostrze bólu przeszło ramię aż do karku i głowy. Przeklinając swoją słabość, wrócił do łóżka i położył się. Znajdzie Davida, gdy będzie do tego gotowy. Na razie rany były jeszcze zbyt świeże. Jeszcze dzień lub dwa i wszystko będzie w porządku.

Zamknął oczy i pozwolił myślom dryfować. Z ulicy słychać było dźwięk policyjnej syreny, za ścianą jakiś mężczyzna głośno przeklinał, a kobieta wzywała pomocy. Frank obrócił się na zdrowe ramię i naciągnął poduszkę na głowę. Świat oszalał. W chwilę później już chrapał, a po kilku minutach zaczął śnić.

– Frankie, poszukaj brata i powiedz mu, że kolacja gotowa.

Dziesięcioletni Frankie Wilson skrzywił się i zająztał do kuchni. Na półce obok zlewu stygło dopiero co wyjęte z piecyka ciasto.

– Dobrze, mamó. Czy będę mógł dostać podwójny deser?

– Jeśli najpierw zjesz całą kolację.

– Zjem – obiecał Frankie i wybiegł z domu.

Zeskoczył z werandy i wymijając kępę ostrokrzewu pobiegł za dom, gdzie wcześniej bawił się jego sześćcioletni brat, Davie. Ale teraz podwórze było

puste.

– Głupi dzieciak – mruknął, myśląc o czekającym na niego w domu deserze. – Hej, Davie! Kolacja!

Nikt nie odpowiedział. Frankie okrążył dom, myśląc, że Davie na pewno poszedł w cień od frontu. Ale tam również nie było widać chłopca.

– Hej, Davie! Davie!

Żadnej odpowiedzi. Frankie zmarszczył brwi. On sam uważał się za prawie dorosłego, ale Davie był jeszcze dzieckiem i nie powinien oddalać się od domu bez pozwolenia.

Wybiegł na chodnik i usłyszał okrzyk bólu. O kilka metrów dalej znajdował się krzak bzu, a pod nim, na krawężniku siedział jego brat, trzymając się za kolano. Obok na ulicy leżał czterokołowy rowerek.

– Hej, mały, co się stało?– zapytał Frankie, klękając przed Davie'm.

Chłopiec głośno pociągnął nosem i otarł twarz brudną ręką.

– Upadłem i obtarłem sobie kolano – powiedział.

Rzeczywiście. Skóra na kolanie była zdarta i krew kapła na buty malca.

– Nie wolno ci wychodzić na ulicę. Jeśli mama się dowie, dostaniesz po dupie.

W oczach małego pojawił się lęk. Jego brat użył zakazanego słowa na D, a poza tym miał rację co do lania. Matka na pewno ukarałaby go za to, że jeździł rowerem po ulicy.

– Nie mów jej, Frankie. Nie chcę lania.

Frankie westchnął. Bycie starszym bratem wymagało wielkiej odpowiedzialności. Poklepał malca po

głowie i pomógł mu wstać.

– Chodź, zaniosę twój rower na podwórze. Mama będzie myślała, że tam się przewróciłeś, w porządku?

Davie kiwnął głową i uśmiechnął się przez łzy.

– Dzięki, Frankie, jesteś najlepszym bratem.

– Aha, wiem – mruknął Frankie. – Teraz chodź szybko. Kolacja już gotowa, a na deser jest ciasto z wiśniami.

Na ulicy rozległ się warkot odpalanego motocykla. Frank poruszył się niespokojnie, ale spał dalej. Warkot silnika sprawił, że jego sen przeniósł się do Wietnamu.

David pojawił się nie wiadomo skąd. Głupi mały bękart. Chciał wszystko zepsuć. Zdumienie Franka przeszło w panikę, gdy uświadomił sobie, że handlarze bronią wzięli Davida na muszkę.

– Nie! – wykrzyknął. – To mój brat!

– Pozbądź się go – warknął jeden z nich – albo my to zrobimy.

Zanim Frank zdążył zareagować, David stanął między nimi, wyszarpnął pieniądze z ręki Franka i rzucił je na ziemię.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – wybuchnął Frank.

– Ratuję twoją głupią dupę – odparował David.
– Wynośmy się stąd.

– O co chodzi? – zapytał ostro jeden z handlarzy. Frank spojrział na niego oczami płonącymi gniewem.

– Zostaw to mnie – warknął. Odepchnął Davida na bok i sięgnął po pieniądze. Młodszy brat jednak przycisnął jego dłoń do ziemi butem i od tej chwili wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Frank sam

nie wiedział, jak to się stało, że już po chwili obydwa handlarze nie żyli, a David gapił się na niego, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Kolejne wspomnienia były zatarte. Frank wycelował pistolet w twarz brata i nacisnął spust. Potem upadł na podłogę chaty. Zapach benzyny i płomienie osmalające twarz. Jakimś cudem udało mu się wypełznąć z ognia. Od tamtej pory żył ogarnięty jednym tylko pragnieniem: żeby David zapłacił za to, co zrobił. Frank wolał nie pamiętać, że to on wystrzelił pierwszy. Zemsta stała się jedynym celem jego życia.

Wyłącznie pragnienie zemsty pozwoliło mu wtedy przetrwać. Przez jakiś czas ukrywał się w pustej wsi pod nosem Vietkongu, a gdy rany się zaleczyły, przedarł się do Indonezji, a następnie ukrył na frachtowcu zmierzającym do Nowej Zelandii. Udusił marynarza, który pomógł mu dostać się na pokład, ukradł jego dokumenty i spędził kilka tygodni zaszyty w kącie ładowni. W rok później pracował już w kopalni opali w Australii i ciął grosz do grosza. Przez wszystkie te ciężkie, głodne dni i noce tylko jedna myśl trzymała go przy życiu – pewność, że pewnego dnia odnajdzie Davida i zabije go.

A teraz nie miał już nic do stracenia. Jego ukochana Martha nie żyła, a jedyna córka okazała się zdrajczynią. Nic już nie mogło powstrzymać zemsty Franka.

Koszmary zaatakowały o trzeciej nad ranem. Cara obudziła się nagle, czymś zaalarmowana. David nadal spał, zwinięty w kłębek i zwrócony do niej plecami.

Mięśnie jego ramion drgały gwałtownie i całe ciało przeszywały ostre szarpnięcia, jakby odpierał atak niewidocznego wroga. Nacisnęła przycisk lampy i kątem wokół łóżka rozświetlił się miękkim, żółtym blaskiem. Skóra Davida pokryta była warstwą potu, prześcieradło owinęło mu się dookoła kostek.

Cara podniosła się, rozplątała prześcieradło i przykryła Davida, a potem przytuliła się do jego pleców. Jęknął głośno.

– Ćśśś, David, ćśśś. Wszystko w porządku, kochany. Wszystko już dobrze.

Wydawało się, że jej łagodny ton przeniknął do jego podświadomości, bo jego ciało znieruchomiło i powoli zaczęło się rozluźniać. Objęła go mocniej, przyciągając jego głowę do swoich piersi. Twarz miał spoconą i wykrzywioną w grymasie. Łzy napłynęły jej pod powieki. Dopiero gdy jego oddech się wyrównał, przymknęła oczy.

David nie był już tym nieustraszonym chłopakiem, który wyruszał na wojnę przekonany o własnej nieśmiertelności. Mężczyzna, który do niej wrócił, został zahartowany w ogniu piekielnym i trzymał się kupy wyłącznie mocą własnej woli. Uśmiechał się niezmiernie rzadko, a koszmary nawiedzały go każdej nocy. Gniew Cary stawał się z dnia na dzień coraz silniejszy. Mogła mu dać tylko miłość i modliła się, by to wystarczyło.

W końcu świt rozjaśnił niebo. David obudził się pierwszy i natychmiast zrozumiał, że zdarzył się cud: przespał całą noc. Poczul dokoła swojego ciała ramiona Cary i pojął, czemu zawdzięcza ten cud. Ogarnęła

go fala niezmiernego spokoju; poczuł słabość i przy-
pływ pokory. Dobry Boże, nie zasłużył na tę kobietę,
ale nie zamierzał się jej wyrzec. Wreszcie znalazł
powód, by żyć dalej.

Przesunął się nieznacznie, żeby ją lepiej widzieć.
W miękkim świetle poranka patrzył na rysy, które na
jej twarzy pozostawił czas. Była bardzo, bardzo piękn-
na. Pomyślał o Franku: ich ostateczne spotkanie
musiało nastąpić jak najszybciej. Gdyby Frank zaczął
podejrzewać, jak ważną osobą Cara jest dla jego brata,
zabiłby ją po to tylko, by zobaczyć, jak David płacze.

Zadrżał i ramiona Cary natychmiast mocniej zacis-
nęły się na jego ciele. Nawet we śnie wydawała się
wyczuwać jego rozpacz.

Uniósł się na łokciu i w tym samym momencie Cara
otworzyła oczy. Przez chwilę obydwójce mieli wraże-
nie, że zagląдают sobie w głąb duszy. David objął jej
twarz dłońmi i pocałował, raz, potem drugi. Cara
westchnęła głęboko i wsunęła głębiej pod jego ciało.
Kochali się w porannym świetle, ze splątanymi włosami
i miłością w oczach.

Wczesnym przedpołudniem Cara pakowała w ku-
chni lunch na piknik, a David buszował w szopie na
podwórzu, szukając sprzętu wędkarskiego Raya. Już
od bardzo dawna nie łowił ryb dla przyjemności.
Dzień był ciepły i prawie bezwietrzny. Na horyzoncie
widać było smugę białych, pękatych obłoczków. Dos-
konała pogoda na wypad nad jezioro. Cara włożyła
ostatnią kanapkę do torby, kiedy zadzwonił dzwonek.
Wytarła ręce, zerknęła przez okno wychodzące na

werandę i jęknęła w duchu. Harry Belton.

Harry próbował się do niej zalecać już od ponad roku i nie zrażał się, choć Cara jasno dawała mu do zrozumienia, że nie interesują ją jego awanse. Otworzyła drzwi, maskując irytację.

– Cara! Jak się miewasz, skarbie?

– Harold?

– Wiem, że powinienem wcześniej zadzwonić, ale byłem niedaleko i nie wybaczyłbym sobie, gdybym nie skorzystał z okazji, by się z tobą przywitać.

Cara zmarszczyła brwi. Obydwoje wiedzieli, że Harold kłamie.

– Szkoda, że nie zadzwoniłeś – mruknęła. – Właśnie wychodzę.

Zupełnie nie zniechęcony Harry wszedł do środka.

– Widziałem jakiś samochód na podjeździe. Masz gości? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Prawdę mówiąc, właśnie to próbowałam...

– Po Chillingham krążą głupie plotki, że w twoim domu mieszka jakiś obcy mężczyzna.

Oczy Cary zaiskrzyły się gniewnie, choć na zewnątrz udało jej się zachować spokój.

– Nie, nie ma tu nikogo obcego – odrzekła.

Harold z szerokim uśmiechem położył dłonie na jej ramionach.

– A więc miałem rację! Byłem pewien, że Made coś zmyśla. Co prawda od śmierci Raya minęły już trzy lata, ale ty nie należysz do kobiet, które...

Na widok Davida, który właśnie wyszedł z szopy i kierował się do domu, Harold zastygł w pół słowa, z otwartymi ustami i oczami jak spodki. Po chwili

spojrzał na Carę z wściekłością i ton jego głosu zmienił się na oskarżycielski.

– Przed chwilą powiedziałaś, że jesteś sama.

– Nie mówiłam, że jestem sama. Powiedziałam, że nie ma u mnie w domu nikogo obcego. David nie jest obcym człowiekiem.

Twarz Harolda poczerwieniała, a oczy zwężyły się ze złością.

– Gdybym tego nie zobaczył na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył!

Nagle zza pleców Cary rozległ się gniewny głos Davida:

– Nigdy nie widziałeś wędki? – zapytał, podsuwając Haroldowi pod nos wędkę z kołowrotkiem. – W takim razie przyjrzyj się dobrze, zanim wepchnę ci ją w...

Cara z szerokim uśmiechem przyglądała się, jak Harold upuścił wędkę i wybiegł jak oparzony za drzwi. Dopiero gdy znalazł się na werandzie, za drzwiami z siatki, odważył się odwrócić, był to jednak błąd, ponieważ David stał tuż za nim.

– Nie dotykaj mnie! – zaskrzeczał Harold.

– Nigdy więcej nie podnoś na nią głosu, rozumiesz?

Na widok spojrzenia Davida Harold zamknął usta i nie odezwał się więcej, tylko kiwnął głową w milczeniu.

– I pamiętaj, jeśli usłyszę w mieście choć jedno złe słowo na temat Cary Justice, to znajdę cię – ciągnął David.

– A jeśli ktoś inny zacznie ją obmawiać? – wymam-

rotał Harold.

– To radziłbym ci się pomodlić.

Harold złapał oddech i popędził do samochodu, wzniecając tumany kurzu.

Cara wyszła z kuchni i wsunęła rękę pod ramię Davida.

– Mój ty bohaterze.

Popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– Zdenerwował mnie.

– To było widać – uśmiechnęła się.

– Czy jesteś na mnie wściekła? – zapytał niepewnie.

Cara roześmiała się.

– Za to, że przepędziłeś stąd Szybkiego Harolda? Chyba żartujesz!

– Szybkiego Harolda?

– Zasłużył sobie na ten przydomek. Zawsze zjawia się pierwszy, by złożyć kobietom wyrazy współczucia po rozwodzie albo po pogrzebie męża. Już od trzech lat próbowałam unikać jego względów. Dzięki tobie chyba wreszcie mam go z głowy.

– Polecam się na przyszłość – uśmiechnął się David, otaczając ją ramieniem. – Czy nadal chcesz iść na ryby?

– Och, tak! Chodźmy, zanim znowu zjawią się jacyś nieproszeni goście.

Po godzinie byli już w drodze. David znów miał poczucie oderwania od rzeczywistości. Obok siebie miał miłość swego życia, a w bagażniku torbę z lunchem i kilka wędek. Niebo było bładoniebieskie, z kilkoma tylko obłoczkami. Wszystko

jak z pocztówki, brakowało tylko kilkorga rozkrzyczanych dzieci na tylnym siedzeniu i psa wystawiającego łeb przez okno. Cara opowiadała o czymś, ale David tak był oszołomiony niezwykłością sytuacji, że jej słowa w ogóle do niego nie docierały. Nagle poczuł na plecach dreszcz niedobrego przeczucia. Ten dzień był zbyt doskonały. Zbyt to jednak wzruszeniem ramion i skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

– Spójrz!– zawołała Cara, gdy minęli zakręt.

Pośrodku drogi stał wspaniały jeleń.

– Fantastyczny – zachwycił się David, podziwiając wieniec rogów na głowie zwierzęcia.

Cara schyliła się i zaczęła grzebać w schowku na rękawiczki, kiedy jeleń nagle drgnął i popędził do lasu.

– A niech to – mruknęła. – Chciałam mu zrobić zdjęcie.

– Wzięłaś ze sobą aparat?

Skinęła głową i pokazała mu kompaktowy aparat fotograficzny z teleskopowym obiektywem, ale jej twarz nagle przygasła, jakby obawiała się jego reakcji.

– Co się stało?– zapytał David.

– Nic.

Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

– Mów – powiedział krótko.

Cara odwróciła wzrok, zaskoczona, że David z taką łatwością odgadł jej uczucia.

– Nic wielkiego. Po prostu chciałam zrobić kilka zdjęć na pamiątkę tego dnia.

David w jednej chwili zrozumiał, czego Cara nie odważyła się wyrazić wprost. A więc ona nie wierzyła,

że on wróci, i dlatego chciała mieć pamiątkę. A najbardziej bolesna była świadomość, że nie może jej niczego obiecać. Mógł tylko zapewnić ją, że chciałby wrócić, nie wiedział jednak, czy przeżyje konfrontację z Frankiem.

W tej właśnie chwili postanowił porzucić negatywne myślenie. Właśnie, że wróci i spędzi z nią resztę życia. Pogładził ją wierzchem dłoni po policzku i delikatnie pociągnął za ucho.

– Dobrze, rób zdjęcia. Będziemy je oglądać jako para siwych staruszków. I będziemy wspominać, że to ja złapałem więcej ryb.

Cara zauważyła w jego oczach wyzwanie i przełamując lęk, zmusiła się do uśmiechu.

– Więcej ryb? Jeszcze nawet nie zamoczyłeś wędkę, a już chcesz mi wmówić, że wygrałeś w tej konkurencji?

David z uśmiechem znów wyjechał na drogę.

– Lubię rywalizację. Co w tym złego?

– Absolutnie nic – odrzekła. – Ale ja też chciałabym coś dodać do warunków tego zakładu.

– A co takiego?

– Ten, kto przegra, patroszy wszystkie ryby.

David zmarszczył nos.

– No, nie wiem. Nie chciałbym, żebyś się skaleczyła.

Cara wybuchnęła śmiechem.

– Coś takiego! Co za tupet! Mało, że ogłosiłeś się zwycięzcą jeszcze przed rozpoczęciem zawodów, to jeszcze twierdzisz, że nie umiem wypatroszyć ryby!

– Nie: ryby, moja droga, tylko całego mnóstwa ryb.

– Świetnie. Umowa stoi.

David pokiwał głową z satysfakcją.

– Dobrze. Zaraz... to ten zjazd czy następny?

– Ten – potwierdziła Cara, wskazując na wąską boczną drogę po prawej stronie autostrady. – Jezioro jest o parę metrów stąd.

Było już późne popołudnie, a Cara nie wykazywała jeszcze żadnych oznak zmęczenia. Jedli kanapki, robili zdjęcia i wspominali dawne czasy. Ku wielkiej radości Davida to Cara złapała większość ryb. Rozpierała ją duma. David z kolei opierał swój tytuł do sławy na tym, że to on złapał najmniejszą rybkę. Cara natychmiast zażądała, by pozował do fotografii ze swoją zdobyczą. Stojąc w dumnej pozie, David ze śmiechem prezentował dziesięciocentymetrową rybkę na haczyku.

Znów popatrzył na nią z uśmiechem. Na czole miała smugę brudu, a jej policzki lekko zaczerwieniły się od słońca.

– Nie sądzisz, że już czas wracać do domu? – zapytał.

Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach.

– Chcesz powiedzieć, że się poddajesz?

– Poddaję się! Absolutnie i bezwarunkowo! Przyznaj, że jesteś tak samo zmęczona jak ja.

– W porządku – uśmiechnęła się. – Jeszcze tylko raz rzucę i jedziemy.

Haczyk zamigotał w słońcu i poszybował przez powietrze idealnym łukiem.

– Dobry rzut – rzekł David z uznaniem. – Gdzie

się nauczyłaś tak wędkować?

– Nauczył mnie mój syn, Tyler.

David pokiwał głową, zastanawiając się, gdzie wtedy był Ray Justice. Cara rzadko o nim wspominała, opowiadając o swym codziennym życiu. Ale już w następnym zdaniu wyjaśniła mu to bez dalszych pytań.

– Ray ciągle pracował. Ktoś musiał towarzyszyć naszemu synowi w męskich rozrywkach.. – Powoli obracała kołowrotek, umiejętnie manewrując przynętą w wodzie. – Okazałam się w tym całkiem niezłą. Po jakimś czasie wszyscy koledzy chcieli zostawać na noc u Tylera, bo jego mama nie brzydziła się robaków.

David zareagował na te słowa uśmiechem. Nagle żyłka naprężyła się mocno.

– Mam!– zawołała Cara i zaczęła ściągać żyłkę, zapierając się nogami o brzeg. Wędzisko wygięło się w łuk. Gdy ryba znalazła się o niecałe dwa metry od brzegu, zauważyli w wodzie jej cień.

– Jaka wielka – sapnęła Cara. – Popatrz, jak walczy!

David pochylił się nad wodą i w tym momencie ryba zerwała się z haczyka. Napięcie żyłki gwałtownie zelżało i hak przeleciał nad powierzchnią wody z szybkością kuli karabinowej, kierując się wprost na twarz Cary. David odruchowo rzucił się w tę stronę i w następnej chwili skrzywił się z bólu, gdy hak wbił się mocno w jego plecy. Odruchowo sięgnął ręką do rany.

– David? – zawołała Cara z przerażeniem na widok krwi na jego dłoni.

– Haczyk wbił mi się w plecy – wyjaśnił.

– Gdybym miał pęsetę, to bym go wyciągnął.

– O Boże – jęknęła, obracając go plecami do siebie. – Gdybyś mnie nie zasłonił, ten haczyk wbili by mi się w twarz!

– To nic takiego. Bywało gorzej. Poszukaj jakichś szczypców, dobrze?

– Nic z tego – oznajmiła stanowczo. Wyjęła z torby scyzoryk i przecięła żyłkę. – Jedziemy na pogotowie. Zrobią ci tam przyzwoity opatrunek. Nie pozwolę, żebyś rozszarpywał sobie ciało jak barbarzyńca.

– Ale ja jestem barbarzyńcą – wymamrotał David.

– Nie tutaj. Nie dla mnie.

– Cholera, Cara, to tylko malutki haczyk

– Ale mocno siedzi w twoich plecach – odparowała i zaczęła zbierać rzeczy.

David westchnął. Sprawa była przegrana.

Ona zaczęła zbieranie w górę ich rzeczy.

– Daj mi to – powiedział, wyjmując z jej rąk najcięższą torbę. – Nie jestem jeszcze kaleką.

– Nie, tylko trudnym pacjentem – odrzekła i zaczęła płakać.

– Cara, skarbie... nie płacz – jęknął David, idąc za nią do samochodu.

– Muszę – wyszłochała.

– Dlaczego?–

– Ponieważ jestem kobietą i gdybym się nie rozpląkała, to mogłabym powiedzieć coś bardzo głupiego. Zaufaj mi. Lepiej, jeśli płaczę.

Pomimo palącego bólu w plecach musiał się uśmiechnąć.

Kiedy dotarli do auta, Cara otworzyła tylne drzwi

i wrzuciła wędki do środka.

– Czy mam się zacząć do tego przyzwyczajać? – zapytał David.

Policzki miała pokryte brudnymi smugami od łez, które wciąż płynęły, ale zdobyła się na słaby uśmiech.

– Do czego? Do mojego płaczu?

– No tak... i do tego, że rozstawiasz mnie po kątach.

Tym razem jej uśmiech był prawdziwy.

– A czy ja cię rozstawiam po kątach?

– Ależ oczywiście.

– I jak się z tym czujesz?

– Boję się ciebie – wyszczerzył zęby.

– Och, to dobrze – ucieszyła się i wyciągnęła rękę.

– Czy możesz mi dać kluczyki?

– I w dodatku chcesz prowadzić? Cholera, Cara, ja jeszcze nie umieram.

– A czy wiesz, gdzie jest szpital?

– Och.

– No właśnie. Kluczyki, proszę.

Wręczył jej kluczyki i bez dalszej dyskusji usiadł po stronie pasażera.

– A co z rybami? – zapytał.

– A niech to – mruknęła Cara, dopiero teraz przypominając sobie o pełnym podbieraku. – Zaczekaj chwilę, zaraz wracam.

Pobiegła sprintem do jeziora, przykucnęła przy brzegu i wyciągnęła siatkę z wody, ale, ku zaskoczeniu Davida, nie przyniosła ryb do samochodu, lecz delikatnie wrzuciła je z powrotem do jeziora.

– Więc jednak nie będę musiał ich patroszyć

– ucieszył się David, gdy Cara znów usiadła obok niego.

Popatrzyła na jego zakrwawioną koszulkę i hak sterczący z pleców i w jej oczach błysnęło współczucie.

– Dopiero teraz zrozumiałam, jak musi się czuć ryba, która połknęła przynętę. Wypuściłam je, żeby było sprawiedliwie.

Serce Davida ścisnęło się. Jej empatia była godna podziwu. Pomyślał o wszystkich latach spędzonych w wojsku i w służbie dla SPEAR i zaczął się zastanawiać, czy Cara współczułaby mu równie mocno, gdyby wiedziała, czego zdarzało mu się dopuszczać w imię wolności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wciąż się sprzecząc, przyjechali na pogotowie. Pielęgniarka siedząca przy biurku recepcji popatrzyła na zakrwawioną koszulkę Davida, a potem zatrzymała zdziwione spojrzenie na twarzy Cary.

– Cara! Co się stało? Boli cię coś?

– Mnie nie. Jego – odrzekła Cara, wskazując na swego towarzysza. – Haczyk na ryby wbił mu się w plecy.

– Rany boskie – pokręciła głową pielęgniarka. – Proszę tędy. Zaraz się tym zajmiemy.

W mieście tak małym jak Chiltingham było oczywiste, że wszyscy znają Carę, ale dla Davida, który większość swego dorosłego życia spędził na udawaniu kogoś innego, było to trochę niepokojące.

– Jak to się stało? – zapytała Frances, sięgając po parę nożyc i wprawnie rozcinając na plecach koszulkę Davida.

– Lubilem tę koszulkę – mruknął z dezaprobatą.

– Możesz sobie kupić inną – westchnęła Cara.

– A teraz przestań kaprysić i pozwól jej robić swoje.

David miał ochotę się odciąć, ale ten przeklęty hak

coraz mocniej dawał mu się we znaki. Skoro pozbycie się dobrej koszulki miało być ceną za ulgę od bólu, to trudno, powiedział sobie. Mogło być gorzej.

– Już – oznajmiła Frances. – Idę po doktora Edwardsa.

Cara przygryzła usta dopiero teraz widząc, jak głęboko utkwiał hak.

– Gdyby trafił mnie w oko, to ośleplabym. Nie mogę zrozumieć, jakim cudem zdążyłeś mnie zasłonić.

– Zwyczajny odruch – wzruszył ramionami David. – Nic wielkiego.

– Dla mnie to bardzo wiele – powiedziała Cara cicho. – Jeśli mówię, że jesteś bohaterem, to znaczy, że jesteś.

W tym momencie w gabinecie pojawił się wysoki, bardzo szczupły mężczyzna, na oko dobrze po sześćdziesiątce. Ubrany był w koszulkę z emblematem Grateful Dead i dżinsy i tylko narzucony na ten strój biały kitel przekonywał Davida, że ma do czynienia z prawdziwym lekarzem.

– Witaj, Cara. Kogo mi tu przyprowadziłaś? – zapytał doktor Edwards, patrząc na Carę zamiast na swego pacjenta.

David zmarszczył brwi. Dlaczego wszyscy zachowywali się tak, jakby był niemową?

– Nazywam się David Wilson – powiedział.

– To mój przyjaciel – dodała Cara. – I gdyby nie jego doskonały refleks, ten hak tkwiłby teraz w mojej twarzy.

Dopiero teraz Marvin Edwards przyjrzał się Davi-

dowi uważniej i wyciągnął do niego rękę.

– W takim razie pozwoli pan, że podziękuję w imieniu wszystkich mieszkańców Chiltingham. Cara jest bardzo lubiana w naszej społeczności, a pan zapewne zapobiegł tragedii. Ja sam lubię wędkować i wiem, jak takie rzeczy się zdarzają. W jednej chwili ryba jest na haczyku, a w następnej już nie. Jeśli żyłka była bardzo napięta, taki haczyk może wyrządzić znaczną krzywdę. Jak udało się panu zareagować w porę?

David nie był w odpowiednim nastroju, by mu wyjaśniać, że zadziałał ten sam instynkt, który tysiące razy ratował mu życie w wietnamskiej dżungli, ostrzegając, że w górze na drzewie siedzi ukryty snajper, że na ścieżce są niewidoczne wilcze doły albo że uśmiechnięty staruszek, który nieoczekiwanie pojawił się na drodze, pod snopem ryżu ukrywa odbezpieczony ręczny granat.

– Nie wiem. Po prostu to zrobiłem – wzruszył ramionami.

Marvin Edwards uśmiechnął się tylko, szanując małomówność Davida. On również często nie miał ochoty na rozmowy. Niestety, jego praca nie pozwalała na luksus zamykania się w sobie.

Odsunął koszulkę z pleców pacjenta i bez komentarza przesunął palcami po licznych bliznach, a potem skinął na Frances.

– Daj mi strzykawkę. Musimy to najpierw znieczulić.

Pielęgniarka podeszła do stołu, ale David poruszył się niespokojnie.

– Doktorze, to nic takiego. Byłem ranny wiele razy w życiu i wiem, że to tylko drobiazg. Trzeba zwyczajnie wyciągnąć ten haczyk, i już.

Marvin Edwards uśmiechnął się. – Wyciągnąć i już? To po to zmarnowałem tyle lat i pieniędzy na szkołę medyczną, żeby teraz zwyczajnie wyciągnąć haczyk?

Jego sarkazm wywołał cień uśmiechu u Davida.

– Przepraszam, to była tylko taka figura retoryczna.

– Przeprosiny przyjęte – powiedział Marvin. Otoczył stół zabiegowy parawanem i wziął od pielęgniarki strzykawkę.

– Proszę się teraz nie ruszać.

David prawie nie poczuł, kiedy lekarz wbił igłę w jego plecy, Cara jednak wyglądała, jakby miała zamiar się rozpłakać.

– Kochanie, może poszukasz łazienki i zmyjesz sobie tę krew z rąk? – zwrócił się do niej.

– Czy to znaczy, że nie chcesz, żebym tu była?

– Skąd. Mówię tylko, że nie musisz tu siedzieć. Znow się rozpłaczysz, a to naprawdę tylko drobiazg.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Ale zaraz wrócę – zastrzegła się jeszcze, znikając za parawanem.

– Tak... – mruknął doktor Edwards. – Masz na imię David, prawda?

David kiwnął głową.

– Czym dokładnie się zajmujesz?

– Właściwie jestem już na emeryturze.

– Hm, rozumiem. A co robiłeś wcześniej?

David nie odpowiedział.

Marvin Edwards podniósł na niego wzrok, ale na widok zamkniętej twarzy spróbował innego tematu.

– Jesteś tu tylko przejazdem czy planujesz zostać dłużej?

Gdy David znów nie odpowiedział, lekarz chrząknął. Ten facet zdecydowanie nie był gadułą. No cóż, Marvin Edwards nie miał nic przeciwko temu.

– To może trochę zabołec – ostrzegł, sięgając po skalpel. – Frances, przygotuj opatrunek.

Pielęgniarka wprawnie zatamowała strumień krwi. Lekarz zrobił jeszcze jedno nacięcie, a potem wziął do ręki przyrząd, który zdaniem Davida bardzo przypominał pęsetę, jaką on sam chciał się posłużyć w pierwszej kolejności. Po kilku delikatnych szarpnięciach hak wyszedł.

– No i już – stwierdził Marvin. – Zdezynfekuj to, Frances, a ja zaszyję.

David poczuł na plecach dotyk zimnego płynu, ale nic ponadto. Znieczulenie nadal działało.

Lekarz założył szwy patrząc na jego twarz. Zauważył, że pacjent trzyma się prosto po wojskowemu i że nawet nie mrugnął okiem podczas całego zabiegu. Skojarzyło mu się to z pewnym sierżantem, którego serdecznie nie znosił.

– Kim właściwie jesteś? – zapytał jeszcze raz.

David westchnął. Jak, do diabła, miał odpowiedzieć na takie pytanie? Naraz przypomniał sobie, jak w podobnej sytuacji zachowała się poprzedniego dnia Cara.

– Nazywam się David Wilson.

– Znałem Carę i jej męża przez wiele lat, ale nigdy nie słyszałem, żeby o tobie wspominali.

– Nie wątpię w to.

To nie była odpowiedź, której Marvin oczekiwał.

– Posłuchaj, ja nie jestem wścibski – westchnął.

– No dobrze, być może trochę tak. Cara jest wdową, a wdowy bywają łatwym celem. Nie chciałbym, żeby...

David wziął głęboki oddech i skoczył na głęboką wodę.

– Czy znasz Bethany, córkę Cary?

– Oczywiście. Odbierałem porody wszystkich jej trojga dzieci.

– Jestem ojcem Bethany.

Szczęka Marvina Edwardsa opadła, ale tylko na krótką chwilę.

– Przepraszam. Nigdy nie słyszałem, żeby wspominali...

– Myśleli, że nie żyję.

– Przez tyle lat?

David wzruszył ramionami.

– Wtedy wydawało się, że to najlepsze wyjście.

Nagle Marvin Edwards zobaczył wszystko w nowym świetle. Przeróżające blizny na ciele pacjenta. Jego tajemniczość. Wojskowa postawa, i do tego jeszcze przypuszczenie, że nie żył. Jego spojrzenie stało się bardziej przenikliwe.

– Byłem lekarzem w Wietnamie – powiedział cicho.

David drgnął.

– Musiałeś być wtedy dość młody.

– Tak. Wielu z nas było za młodych, nieprawdaż?

David pohamował impuls, by rozejrzeć się dokoła w poszukiwaniu podsłuchu. Naraz uświadomił sobie, że to już nie ma znaczenia. W tym kraju żyło wielu weteranów, a on teraz był po prostu jednym z nich. Skinął głową.

– Sam zginąłeś czy Wujek Sam ci pomógł?

David znów poczuł się zaskoczony przenikliwością lekarza.

– Ta część mojego życia jest już zamknięta – powiedział.

– Zamierzasz zostać tu dłużej?

– Niczego nie pragnąłbym bardziej – westchnął David.

Marvin uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

– W takim razie witaj w domu, żołnierzu.

David ucisnął wyciągniętą rękę i po ruchu warg doktora widział, że ten coś jeszcze mówi, ale nie docierało do niego ani jedno słowo. Nigdy nie myślał o sobie jak o człowieku pozbawionym własnego kraju, ale tak było. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że nigdy właściwie nie wrócił z Wietnamu. Ta myśl wstrząsnęła nim do głębi.

– No, już – dodał po chwili Marvin, kończąc ostatni szew. – Grasz może w golfa?

Było to najzwyklejsze pytanie, jakie David usłyszał od czterdziestu lat, i nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Radzenie sobie z codziennym życiem było trudniejsze niż sądził.

– Nie, właściwie nie.

– Szkoda – odrzekł Marvin. – Ciągłe szukam kogoś, z kim mógłbym zagrać dziewięć pierwszych dołków.

– Myślałem, że lekarze zawsze grają osiemnaście – zdziwił się David.

Marvin wzruszył ramionami.

– Nie w miastach tej wielkości. Musimy być dostępni na każde wezwanie. Zawsze ktoś zadzwoni, zanim dotrę do dziewiątego.

Zanim David zdążył odpowiedzieć, Cara wróciła do gabinetu.

– Czy wszystko już z nim w porządku? – zapytała lekarza.

– Mogłabyś zapytać mnie – mruknął David. – W końcu to moje plecy ten facet właśnie pokroił nożem.

Cara zamrugła z zaskoczeniem, ale uśmiechnęła się, gdy Marvin Edwards spokojnie odpowiedział:

– Wszystko poszło śpiewająco. Będzie jeszcze ładniejszy niż wcześniej. Moje szwy są równie piękne jak hafty mojej babci.

David omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Hafty babci? Litości!

Doktor Edwards założył opatrunek i klepnął Davida w udo.

– Pamiętaj, co mówiłem o golfie.

– Nie zapomnę! – skinął głową. – I... będę pamiętał wszystko, co powiedziałaś. – Zawahał się, po czym impulsywnie potrząsnął ręką doktora. – Dziękuję.

– Za co? – zdziwił się Marvin.

Słowa „witaj w domu, żołnierzu,„ nadal dźwięczały

w uszach Davida, ale nie potrafił się zdobyć na to, by przyznać, jak wiele dla niego znaczyły, więc tylko wzruszył ramionami.

– Za wszystko.

– Rachunek przyjdzie pocztą – dodał Marvin i wręczył mu receptę na środki przeciwbólowe.

– Co to? – zapytał David podejrzliwie.

– Coś na ból – usłyszał i potrząsnął głową.

– Nie będę tego potrzebował.

Marvin Edwards znacząco uniósł brwi, zatrzymując spojrzenie na dużej bliźnie przecinającej pierś Davida.

– Mogłem się tego spodziewać.

Cara zignorowała ich obydwu i wzięła receptę, zanim David zdążył zaprotestować.

– Po drodze wstąpimy do apteki.

– Albo lepiej weź to – powiedział Marvin i wyjął z szuflady kilka próbek farmaceutyków.

– Dziękujemy, doktorze.

Doktor Edwards pomachał palcem tuż przed twarzą Davida.

– Uważaj na tę kobietę, chłopcze.

David nie odpowiedział, ale w kącikach jego ust zadrgał uśmiech.

– Ja prowadzę – oświadczyła Cara przed szpitalem.

David nie oponował.

– To mi się podoba – ucieszyła się.

– Co?

– Ten uśmiech na twojej twarzy. Powinieneś częściej się uśmiechać.

David wyobraził sobie, że mógłby każdego ranka

budzić się obok Cary, spać obok niej każdej nocy, robić z nią zakupy, chodzić do fryzjera i grać w golfa z przyjacielem. Tak, wówczas łatwo byłoby się uśmiechać.

– Naprawdę tak myślisz? – mrugnął do niej.

– Naprawdę tak myślę. A teraz jedziemy prosto do domu.

Do domu. Boże. Zacisnął palce na kolanie.

Frank stał przed lustrem w łazience w peruce na głowie, wygładzając przyklejone wąsy. Wszystko było na swoim miejscu. Wygładził kołnierzyk białej koszuli od Gucciego, sprawdził jeszcze raz, czy poły nie wysunęły się z granatowych spodni, a w końcu nałożył na nos okulary przeciwsłoneczne i jeszcze raz spojrzął w lustro. Efekt był doskonały. Z lustra patrzył na niego zupełnie obcy mężczyzna.

Uśmiechnął się i blizny na policzku rozciągnęły się, nadając twarzy nieco demoniczny wyraz. Nawet własna matka by go nie poznała, gdyby jeszcze żyła.

Frank był mistrzem kamuflażu i tej umiejętności zawdzięczał przetrwanie wielu lat. Nie miał żadnego powodu, by sądzić, że tym razem mu się nie powiedzie. Rana na ramieniu prawie już się wygoiła, a peruka dobrze kamuflowała brak połowy ucha.

Z wielką pewnością siebie wyszedł z łazienki, wziął do ręki walizkę, którą spakował ubiegłej nocy i zatrzymał się przy drzwiach, po raz ostatni obrzucając wzrokiem apartament. Upewnił się, że niczego nie zostawił, otworzył drzwi i wyszedł. Dość już miał podłych moteli. Nadszedł czas na kolejną zmianę tożsamości.

Przeszedł przez hall i zostawił klucz w recepcji. Recepcjonista nawet nie podniósł głowy, ale nawet gdyby to zrobił, i tak nie rozpoznałby w nim lokatora z pokoju 413.

Na ulicy od razu złapał taksówkę.

– Dokąd? – zapytał kierowca.

– Na lotnisko, i to gazem – powiedział Frank.

– Śpieszę się na samolot.

David leżał po swojej stronie łóżka. Cara nalegała, by odpoczywał, ale prawdę mówiąc, miał wiele spraw do przemyślenia. Musiał znaleźć jakiś sposób, by powstrzymać Franka i samemu nie stracić przy tym życia.

Sfrustrowany rozmyślaniami o chaosie, jakim było jego życie, w końcu przewrócił się na plecy, krzywiąc nieznacznie, i przymknął oczy. Środki przeciwbólowe zrobiły swoje i David usnął.

Nie wiedział, jak długo spał, kiedy zadzwonił telefon. Obudził się i czekał, aż Cara odbierze, ale sygnał wciąż się powtarzał. Po czwartym dzwonku doszedł do wniosku, że Cara musiała wyjść z domu, i sięgnął po słuchawkę.

– Tak, słucham – mruknął.

Na drugim końcu linii rozległ się czyjś głośny oddech, a potem głos młodej kobiety z wyraźnym niepokojem:

– Kto mówi?

David zawahał się.

– David – rzekł krótko.

– Hm... tu mówi Bethany. Czy jest tam moja mama?

David podniósł się gwałtownie i serce zaczęło mu

mocno dudnić. Boże, pomyślał, słyszę głos własnej córki!

– Halo? Jest pan tam?

David czuł łzy napływające pod powieki. Wziął głęboki oddech, próbując opanować emocje.

– Przepraszam. Tak, jestem tutaj i twoja mama też tu jest, tylko że chyba wyszła do ogrodu. Jeśli chcesz, to mogę sprawdzić.

– Bardzo proszę – powiedziała Bethany.

– Poczekasz przy telefonie? – upewnił się.

– Tak.

Przebiegł przez dom i w tylnych drzwiach zderzył się z Carą.

– To Bethany – szepnął, podając jej słuchawkę.

– Chce z tobą rozmawiać.

Cara spojrzała na niego uważnie i dostrzegła, jak bardzo był poruszony.

– Nie powiedziałaś jej, kim jesteś? – zapytała cicho, a gdy potrząsnął głową, przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Cześć, Bethany.

– Mamo, czy wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, skarbie. Jak tam wakacje? – zapytała, nie spuszczając wzroku z Davida.

– W porządku... Mamo?

– Tak?

W słuchawce rozległo się zirytowane westchnienie. Cara zdała sobie sprawę, że te zwięzłe odpowiedzi nie zaspokoily ciekawości jej córki.

– Kto to jest David? – zapytała w końcu Bethany prosto z mostu.

– Przyjaciel – wyjaśniła krótko Cara, uśmiechając

się do Davida. Bardzo chciała wyjawić córce prawdę, uznała jednak, że rozmowa telefoniczna nie jest najbardziej odpowiednia do tego celu.

Bethany parsknęła.

– Nigdy nie słyszałam, żebyście z tatą wspominali o jakimś Davidzie. Kiedy go poznałaś?

– Wiele lat temu – wyjaśniła Cara. – Wystarczy już o mnie. Jak tam wasze wakacje? Czy dzieci dobrze się bawią?

– Fantastycznie. Prawdę mówiąc, wszyscy bawimy się świetnie. Musimy tu jeszcze kiedyś przyjechać, razem z tobą. Bardzo by ci się spodobało w Parku Disneya. W Epcot Center też.

– Cieszę się, że wszystko u was w porządku – uśmiechnęła się Cara.

– Właściwie zadzwoniłam tylko po to, żeby się przywitać i powiedzieć ci, że wracamy w niedzielę. Samolot przylatuje około drugiej po południu. Powinniśmy być w domu przed zmrokiem. Wtedy porozmawiamy.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz – odrzekła Cara. – Och, a propos... kiedy wrócisz do domu, będziemy musiały porozmawiać. To ważne.

David drgnął. Na samą myśl o tym, że zobaczy swoją córkę i będzie jej musiał wyjaśnić, gdzie był przez całe jej dotychczasowe życie, żołądek podszedł mu do gardła.

– Mamo! Chodzi o tego faceta, który odebrał telefon, tak? Wiedziałam! Nie spotykałaś się z nikim od śmierci taty. Kto to taki? Czy to coś poważnego? – dopytywała się Bethany z niepokojem. – To chyba nie może być nic

poważnego! Przecież nie ma nas zaledwie od ośmiu dni! Proszę, powiedz mi, że znasz go dłużej niż osiem dni!

– O wiele dłużej – zapewniła ją Cara. – A teraz uspokój się. Porozmawiamy, kiedy wrócisz do domu.

– O ile dłużej?– nie ustępowała córka. – Kilka tygodni? Kilka miesięcy?

– Znam go od wielu lat, skarbie. Od bardzo wielu. Życzę wam bezpiecznej podróży do domu. Zadzwoń, kiedy wrócićie.

– Mamo, nie odpowiedziałaś mi na pytanie.

– Pozdrów Toma i dziewczynki, Bethany. I uważaj na siebie.

– Mamo! Nie wolno ci odłożyć słuchawki, dopóki nie...

Cara spokojnie przycisnęła guzik i odłożyła telefon na stół.

– Nasza córka wpadła w panikę – powiedziała do Davida.

– Dlaczego? Z powodu mojej obecności?

Skinęła głową.

– Nie jesteś na mnie zła? Bo jeśli masz mieć przeze mnie jakieś kłopoty, to wyjadę. Nie mam ochoty, ale zrobię to dla ciebie.

Cara wstała z krzesła i usiadła mu na kolanach. Poczul dojmującą ulgę.

– Gdybyś nie był ranny... – uśmiechnęła się, zarzucając mu ręce na szyję.

– To nie jest śmiertelna rana – odrzekł pobłaźliwie, rozpinając guziki jej bluzki.

– Ale twoje szwy...

– W niczym nie będą nam przeszkadzać – dokończył.

– Nie to chciałam powiedzieć.

Wstał i pociągnął ją za rękę.

– Nie zapominaj, że dzisiaj zostałem bohaterem.

Nie musiał prosić jej dwa razy. Bez dalszego oporu pozwoliła się zanieść do sypialni.

– Wydaje mi się, że robimy to ostatnio strasznie często – zauważyła.

David, który właśnie zdejmował koszulkę, spojrzał na nią z błyskiem w oczach.

– Co? Rozbieramy się?

Cara zarumieniała się.

– Nie. To znaczy tak, ale nie o to mi chodziło.

David odrzucił koszulkę na bok i sięgnął do paska spodni.

– To może chodzi ci o to, że ciągle przynoszę cię do łóżka?

Uniosła brwi.

– Dobrze wiesz, że właśnie to chciałam powiedzieć.

– Ach... no cóż – wzruszył ramionami David, zdejmując prawy but. – Ja patrzę na to w ten sposób: muszę sobie powetować czterdzieści lat, a nie mam na to zbyt wiele czasu, więc...

Roześmiała się i rzuciła w niego poduszką. Uchylił się zręcznie i zdjął drugi but. Cara wciąż zanosila się śmiechem, gdy opadł na jej ciało. Śmiech zamienił się w jęk, a potem w westchnienie.

Później, gdy leżeli uspokojeni w swoich ramionach, Cara poczuła, że David zaczyna się od niej oddalać. Uniosła się na łokciu, patrząc na niego.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Zawahał się, po czym westchnął.

– To nie ma nic wspólnego z tobą... z nami. Tylko, że muszę... hm... skontaktować się z biurem.

– Oczywiście – powiedziała i sięgnęła po telefon.
– Czuj się swobodnie i korzystaj z telefonu, kiedykolwiek potrzebujesz. Zaraz się ubiorę i zostawię cię samego.

David przytrzymał jej rękę.

– Bardzo ci dziękuję, ale I nie mogę użyć twojego telefonu.

– Dlaczego nie? Przecież... – Naraz zrozumiała.
– Och.

David pocałował ją w policzek.

– Mam wszystko, czego potrzebuję, w bagażniku samochodu. Ale to zajmie trochę czasu i nie chciałbym, byś myślała...

Tym razem to ona uciszyła go gestem.

– David. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Zrób, co masz do zrobienia, tylko wróć tu cały i zdrowy. To mi zupełnie wystarczy. Rozumiesz?

– Dziękuję, kochanie – uśmiechnął się.

– Idź do którego chcesz pokoju. Ja mam sporo do zrobienia w ogrodzie. Tylko daj mi znać, kiedy skończysz.

Po krótkim zastanowieniu David potrząsnął głową.

– Nie. Nie chcę wnosić tamtego życia do twojego domu. Lepiej pojedę nad jezioro.

Skinęła głową.

– Pamiętasz miejsce, w którym zjechaliśmy na brzeg?

David kiwnął głową.

– Jeśli miniesz ten zjazd i skrócisz w następny, trafisz na gęsty las. Nie ma tam żadnych kempingów ani przystani. To bardzo odludne miejsce.

– Brzmi doskonale – uśmiechnął się.

– Ja w tym czasie zrobię pranie. Masz jakieś brudne rzeczy?

– Nie, kochanie, ale bardzo ci dziękuję – powiedział David i obdarzył ją szybkim pocałunkiem.

W samochodzie, który w kilka minut później jechał w stronę jeziora, nie było już Davida Wilsona. Siedział tam Jonasz. Gdy dotarł na opisane przez Carę miejsce, był już skupiony wyłącznie na swoich zadaniach.

Po pół godzinie wszystkie urządzenia już działały. Przy pomocy laptopa, modemu, kilku prototypowych chipów działających w systemie GPS i paru innych technicznych drobiazgów, które nawet jeszcze nie miały nazw, David zalogował się do swojej skrzynki i przeczytał wiadomości.

W ciągu godziny wysłał dwóch agentów do Illinois, by zbadali groźbę zamachu na prezydenta, następnemu polecił udać się do Teksasu na meksykańską granicę, a ponadto zmienił strukturę listy agentów pozostających poza granicami kraju tak, by lepiej zabezpieczyć ich anonimowość.

Z ciekawości sprawdził konto zarezerwowane dla osobistych wiadomości z Białego Domu. Na szczęście było puste. Jeszcze jedna skrzynka, w której mogły się znajdować przechwycone wiadomości od Franka – tam też nie było nic. Przekonany, że zrobił wszystko, co było do zrobienia, David wylogował się, spakował cały sprzęt z powrotem do samochodu i postanowił się

przespacerować nad jeziorem.

Dzień był spokojny, a powierzchnia wody gładka jak szkło. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, wchłaniając spokój dnia i znów przepoczwarzając się z Jonasza w Davida. Wysoko nad jego głową krążyły trzy mewy. Trio mew krążyło wysoce przez jego głowę. Patrzył na nie przez chwilę, zastanawiając się, skąd się wzięły tak daleko od morza. Pewnie przywiał je tu ostatni sztorm.

Z nim było podobnie; wojna odmieniła jego życie, rzuciła go w miejsca, w które nigdy się nie wybierał. Ale czy to rzeczywiście był tylko przypadek? Gdyby wrócił do domu zaraz po wojnie, jakim byłby mężem i ojcem? Żyłby w przekonaniu, że zabił własnego brata, ukrywając prawdę o jego zdradzie. Zmieniłby w piekło życie własne i Cary. Zapewne rozwiedliby się jeszcze przed trzydziestką. W tej chwili David nie żałował niczego.

Przypomniał sobie coś, co kiedyś powiedziała jego matka: że nic nie dzieje się bez powodu. Nie zawsze łatwo było to zrozumieć; zrozumienie przychodziło z czasem. Matka miała rację. Teraz, patrząc na swoją młodość z dystansu, David był przekonany, że zrobił wówczas najlepszą rzecz dla nich obojga.

Woda kusila. Impulsywnie zrzucił ubranie i wszedł do jeziora. Gdy woda sięgnęła mu do piersi, zaczął płynąć i zawrócił do brzegu dopiero gdy samochód stał się tylko drobną czarną plamką pod drzewami.

Wyszedł z wody zmęczony, ale z odświeżonym umysłem. Idąc do samochodu zaczął się uśmiechać. Już od bardzo dawna nie pozwalał sobie na takie drobne, zmysłowe przyjemności. Może w końcu zaczynał się stawać normalnym facetem?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cały wieczór spędzili oglądając telewizję jak stare, dobre małżeństwo. David na przemian patrzył na ekran i w otwartą książkę, którą trzymał na kolanach, a Cara łuskała groch, który kupiła na pobliskiej farmie.

W końcu nadeszła pora snu. Leżąc już w łóżku, Cara patrzyła, jak David się rozbiera. W świetle czy w ciemnościach, jego ruchy były jednakowo swobodne; wydawało się wręcz, że lepiej czuje się w mroku.

– David – powiedziała nagle.

Rzucił na podłogę koszulkę, którą właśnie zdjął, i obrócił się do niej.

– Tak?

– Ta blizna po kuli na plecach..

– Mhm?

– Skąd ją masz?

Zmarszczył brwi.

– Myślałem, że chcesz się kochać.

– Chcę, ale chciałabym też wiedzieć, z kim jestem w łóżku. Bardzo się zmieniłeś od czasu, gdy odszedłeś na wojnę.

– Gdybyś wiedziała, nie chciałabyś nawet przebywać

ze mną pod jednym dachem, nie wspominając już o spaniu we wspólnym łóżku.

Posępny ton jego głosu zaskoczył ją. Podniosła się na kolana i pociągnęła go obok siebie.

– To nieprawda. Nie pytam po to, by cię osądzać. Pytam z tych samych powodów, z których w twoich oczach pojawia się dziwny wyraz za każdym razem, gdy wspominam o Rayu.

David objął ją mocno i przytulił jej głowę do swojej piersi.

– To nie jest zazdrość, skarbie, wierz mi.

– Wiem, ale straciliśmy tyle lat... cudownych lat, które mogliśmy spędzić razem. Chcę wiedzieć, co się z tobą działo. Tylko w ten sposób mogę podzielić z tobą te lata.

David pocałował ją w policzek i delikatnie ułożył jej głowę na poduszce.

– A czy możesz mi obiecać, że jeśli ci opowiem, to będziesz potem leżeć spokojnie?

Cara westchnęła.

– Czy to znaczy, że nic mi nie powiesz?

– Powiem... tylko trochę później.

Skrzywiła się.

David uszczypnął ją w nos.

– W porządku. Pytałaś o tę bliznę na moim ramieniu?

– Tak.

Pomyślał o piekącym bólu, jaki zadała mu kula wystrzelona z pistoletu Franka.

– Wietnam.

– A ta z boku na szyi?

– Afganistan. Nie pytaj mnie, co tam robiłem.

– A ta długa blizna na prawej nodze?

– Drobną sprzeczką ze snajperem w Bejrucie. Skończyła mu się amunicja i wtedy skoczyłem na niego. Nie wiedziałem, że miał nóż.

Oczy Cary z przerażenia stawały się coraz większe. Od tych wszystkich okropieństw, o których David opowiadał zupełnie spokojnym głosem, zbierało jej się na mdłości. Dotknęła palcami sierpowatej blizny nad jego sercem.

– A to?

Zauważyła, że zawahał się przed odpowiedzią, i położyła dłoń na jego ustach.

– Chyba wolę nie wiedzieć.

– Teraz sama widzisz. Te blizny nie mają już znaczenia, skarbie. Ta część mojego życia jest prawie zamknięta.

Cara odwróciła się i przytknęła oczy. David widział, że walczy ze łzami. Pogładził ją po policzku i lekko pocałował.

– Co się stało, kochanie? Teraz ty się przede mną nie zamykaj.

– Boże, David, nie rozumiesz? Najgorsze jest to słowo, „prawie,..” – Poprowadziła palec wzdłuż starych blizn. – Z tym mogę żyć. Ale najbardziej boję się blizn, których jeszcze nie masz.

Nie mógł jej uspokoić, nie kłamiąc, a nie chciał jej okłamywać.

– Popatrz na to inaczej – powiedział. – Przeciwnicy zawsze przewyższali mnie liczebnie, a jednak przeżyłem. Tym razem przeciwnik jest tylko jeden.

– Dlaczego musisz zajmować się tym sam? Nie masz nikogo do pomocy? Żadnego wsparcia?

David zawahał się.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że ten człowiek chce dostać mnie i tylko mnie. Już prawie od roku próbuje mnie zniszczyć. Przy okazji prawie mu się udało wykończyć system bezpieczeństwa narodowego i większość moich najlepszych agentów. Nie możemy sobie pozwolić... ja nie mogę sobie pozwolić na przeciąganie tego dłużej. Trzeba go powstrzymać.

– W jego głosie pojawił się ostry, ostrzegawczy ton.

– Jak bardzo cenisz swoje życie, a także życie swoich dzieci i wnuków?

Cara ze zdumienia otworzyła usta.

– Gdyby on wiedział o tobie... o Bethany i jej rodzinie... wasze życie nie byłoby warte funta kłaków. Przez ostatnich jedenaście miesięcy ten człowiek porwał, oszukiwał, kradł i zabijał, a wszystko po to, by mnie dostać. Zdecydowałem się ustąpić ze stanowiska, bo nie mogę pozwolić na to, żeby inni ludzie musieli brać udział w walce, która od samego początku była moją sprawą.

– Dobry Boże, David, co to za człowiek? Dlaczego ty? Co mu zrobiłeś, że tak cię nienawidzi?

Zapadło milczenie. David wolałby nie odpowiadać na to pytanie, ale wiedział, że jeśli chce dzielić przyszłość z Carą, to musi również podzielić się z nią tą częścią swojej przeszłości

– To szalenie. Wszystko zaczęło się przed laty, w Wietnamie. Strzelił do mnie, a ja do niego. Myślałem wtedy, że go zabiłem.

– Kto to jest? Kto potrafi tak nienawidzić?

– Znasz stare powiedzenie, że krew nie woda?

Taka nienawiść może istnieć tylko w rodzinie.

Cara zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Twój rodzice nie żyją. Twój brat zginął w Wietnamie. Kto jeszcze...?

Chociaż pokój pogrążony był w mroku, udało jej się odczytać z jego twarzy to, czego nie powiedział głośno.

– Och, Boże... Proszę, David, powiedz mi, że to nie to, co myślę. Frank nie żyje... tak?

Jego milczenie było bardziej wymowne od wszelkich słów.

Cara westchnęła głośno.

– Co możesz mi powiedzieć?

– Nic, co miałoby jakikolwiek sens.

Jej spojrzenie powędrowało do blizny na jego ramieniu. Dotknęła jej nieufnie.

– On ci to zrobił, tak?

David kiwnął głową.

Cara zaczęła płakać.

– Wszyscy próbowaliśmy ciebie zabić, kochanie. Oszustwa. Kłamstwa. Zdrady. Mój Boże, na pewno myślałeś, że nikt nie stoi po twojej stronie. Nawet ja.

– Nie mów tak – szepnął, biorąc ją w ramiona.
– Nigdy nie winiłem ciebie. Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić.

– Zawsze będę winić moich rodziców za kłamstwa o tobie, które mi przekazywali.

– Oni też robili to, co uważali za słuszne. Wybacz im, Cara. Teraz jestem z tobą.

Wtuliła twarz we wgłębienie jego szyi i wyznała:
– Boję się.

David mocniej zacisnął ramiona na jej ciele.

– Ja też się boję, ale nie Franka... tylko tego, co on może zrobić, jeśli go nie powstrzymam, rozumiesz?

– Tak, rozumiem – odrzekła drżącym głosem, z twarzą zalaną łzami. – Obiecuję, że nie będę więcej do tego wracać. Na razie mamy tę chwilę... a kiedy wrócisz, będziemy mieli resztę życia.

Teraz z kolei Davidowi zbierało się na łzy. Położył ją na plecach i zaczął całować, najpierw delikatnie, potem z narastającą rozpaczą, aż w końcu obydwójce zagubili się w namiętności.

Po jednym dniu Frank czuł się już zupełnie dobrze w swojej nowej skórze. Rzucił na ladę garść banknotów, zabrał torby z nowymi ubraniami i wyszedł ze sklepu w centrum Denver w stanie Colorado. Dzień był piękny, na jasnoblękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Pomimo peruki i blizn na twarzy, niejedna kobieta oglądała się za Frankiem na ulicy. Był dotego przyzwyczajony; otaczała go atmosfera niebezpieczeństwa i niektóre kobiety nieomylnie to wyczuwały. Co prawda zwykle były to niewłaściwe kobiety, zupełnie innego rodzaju niż jego ukochana Martha, ale na to już nic nie mógł poradzić. Czekał na czerwone światło myślał o wszystkim, co w życiu stracił. Nazwisko nie było ważne. Tak długo żył w mroku, że przybrana tożsamość nie była wysoką ceną za spokój umysłu. Gdy już załatwi sprawę z Davidem, może znajdzie sobie jakąś dobrą kobietę

i zacznie prowadzić spokojne życie. Choć był już po sześćdziesiątce, ciało i umysł nadal miał młode. Nie było jeszcze zbyt późno, by zacząć nowe życie. Może na Florydzie. Lubił słońce. Właśnie dlatego kiedyś osiadł w Australii. Ale teraz miał już dość buszu; chciał osiąść gdzieś, gdzie jest woda. Mnóstwo wody.

Wrócił do hotelu, rzucił torby z zakupami na łóżko i wyciągnął ze środka kilka rzeczy. Po chwili miał na sobie bawełniane szorty w kolorze khaki i granatową koszulkę, a na głowie czapkę baseballową z logo Denver Broncos. Wrzucił kilka drobiazgów do torebki przy pasku, sprawdził w kieszeniach, czy ma ze sobą portfel i klucz do pokoju, i znów wyszedł. Miał umówione spotkanie.

W pół godziny później taksówka zatrzymała się przed publiczną strzelnicą i Frank wszedł do środka takim krokiem, jakby był właścicielem tego miejsca.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał uprzejmie recepcjonista.

Frank błysnął mu przed oczami metalową odznaką.

– Detektyw Ferraro z Nowego Jorku. Jestem tutaj na urlopie. Moja dziewczyna właśnie wydaje wszystkie moje pieniądze, a ja chciałbym przez ten czas trochę poćwiczyć strzelanie do celu.

– Świetnie pana rozumiem – uśmiechnął się recepcjonista. – Proszę się tutaj wpisać. Zaraz ktoś się panem zajmie.

Po kilku minutach Frank, w okularach ochronnych i słuchawkach na głowie oraz z naładowanym glockiem w ręku, czekał, aż ukaże się przed nim pierwszy cel. Ktoś dotknął jego ramienia.

– Jest pan gotów?

Frank kiwnął głową i czekał. O piętnaście metrów przed nim ukazał się papierowy cel. Szybko i z satysfakcją opróżnił kilka magazynków. Stłumione dźwięki wystrzałów, zapach prochu, przyływ adrenaliny, cała ta mieszanka mocno działała na jego zmysły. Wyobraźnia podsunęła mu obraz twarzy Davida. Frank warknął i znów opróżnił magazynek, a potem przycisnął na ścianie guzik przybliżający cel.

Chrząknął z satysfakcją widząc, że wszystkie kule trafiły w promieniu kilku centymetrów w miejsce, gdzie powinno znajdować się serce ofiary. Zerwał z drutu papierową płachtę i poprawił okulary, czekając, aż ukaze się nowy cel. Było nieźle, ale mogło być jeszcze lepiej.

Tym razem ustawił odległość na trzydzieści metrów i znów szybko, raz za razem wystrzelał cały magazynek, tym razem mierząc w głowę. Ignorując ból mięśni w zranionym ramieniu, zdjął słuchawki i otarł czoło. Jeden z pracowników strzelnicy zajrzał do boksu i gwizdnął przeciągle.

– Dobra robota. Ktokolwiek to był, już nie żyje.

Frank uśmiechnął się. Na zdeformowanym przez blizny policzku pojawił się dziwny grymas.

– Tak... racja – powiedział i poszedł do wyjścia.

Ranek był szary i pochmurny. Zanosiło się na deszcz. Pogrążony w myślach David stał w salonie przy oknie wychodzącym na podwórze. Od strony kuchni dochodził zapach kawy. Cara wygoniła go stamtąd, twierdząc, że chce mu przygotować nie-

spodziankę. Kazała mu wracać do łóżka, on zaś spokojnie ją zignorował.

Teraz, choć dzieliła ich tylko ściana, znajdowali się w zupełnie innych światach: David znów przedzierzgał się w Jonasza i rozmyślał nad najlepszym sposobem zastawienia pułapki na zabójcę.

Zaabsorbowana bez reszty ciastem, które piekła, Cara nawet nie zauważyła, kiedy David wyszedł z domu i przejrzał zawartość bagażnika swojego samochodu. Musiał znów skontaktować się ze swymi agentami. Jeśli Bóg wysłuchał jego modlitw, to może ciało Franka płynęło już East River, ale na to wołał nie liczyć.

Popatrzył na dom. Nie miał wielkiej ochoty znów jechać nad jezioro, ale nie chciał również naruszać spokoju tego domu wprowadzając doń swoje stare życie. Rzucił torbę na przednie siedzenie i wszedł na werandę.

Cara zamknęła drzwiczki piecyka i odwróciła się, słysząc jego kroki.

– Gdzie się tak śpieszysz?

David zawahał się.

– Hm, ładnie pachnie.

Cara zmarszczyła brwi.

– David, wychowałam troje dzieci i słyszałam już wszystkie możliwe wykręty. Co chcesz mi powiedzieć?

– Dobra jesteś – uśmiechnął się z podziwem.

– Owszem. Więc o co chodzi?

– Znów muszę się przejechać. Niedługo wrócę.

Jedynie palce mocno zaciśnięte na trzonku noża

świadczyły o niepokoju Cary.

– W porządku. Jeśli będziesz wracał przez Chiltingham, to czy mógłbyś po drodze kupić karton mleka?

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Od czasu wyjazdu do Wietnamu nie zdarzyło mu się robić zwyczajne zakupy.

– Jasne, nie mam nic przeciwko temu – rozpromienił się i porwał ją na rękę.

– Uważaj na szwy – przestraszyła się.

– Do diabła ze szwami.

Cara śmiała się głośno na widok radości w jego oczach.

– Ty całkiem zwariowałeś! – zawołała i pocałowała go w usta.

– Właśnie od tego wariuję – odrzekł poważnie i postawił ją z powrotem. – Nie zajmie mi to długo – obiecał.

Spojrzała na niego ostrożnie, obawiając się wyjawic swe lęki, on jednak odczytał je z jej twarzy.

– Przysięgam, że wrócę – powiedział miękko.

– Wiem – odrzekła Cara. – A teraz wynoś się, bo nie skończę tego ciasta do wieczora.

David jednak nie ruszył się z miejsca.

– Cara...

– Tak?

– Bardzo cię kocham.

Spojrzała na niego przez łzy. Już od czterdziestu lat nie słyszała od niego tych słów i jej serce gwałtownie przyspieszyło. Objęła jego twarz rękami, z uśmiechem dotykając posrebrzonych skroni.

– Dziękuję ci, kochany. Ja też cię kocham.

Uścisnął ją mocno i dopiero wtedy wyszedł z domu.

Gdy odgłos silnika zamarł na drodze, Cara usiadła i rozplakała się.

David jechał skoncentrowany, wypatrując drogi, w którą poprzednim razem skręcił. Nie zwracał większej uwagi na grające cicho radio, ale gdy zaczęły się wiadomości, podkręcił je głośniejsze i zmarszczył brwi. Kolejny napad z bronią w ręku, prawdopodobnie dokonany przez tych samych trzech bandytów, którzy już od jakiegoś czasu terroryzowali okolicę.

– W końcu popełnią błąd – mruknął David. – Stali się zbyt bezczelni.

Po chwili zauważył właściwy zjazd i skręcił. Samochód podskoczył na zwirowej drodze. Podobnie jak wcześniej, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Szybko rozstawił sprzęt i osiągnął połączenie. Wystukując pierwszy numer znów stał się Jonaszem i po raz pierwszy zauważył, że nie czuje się dobrze w tym wcieleniu. Kilka dni z Carą wystarczyło, by zapomniał o bliźnach pochodzących z czterdziestu lat służby.

Usłyszał głos na drugim końcu linii i podał kod łączący go z główną linią.

– Witaj, Jonaszu, tu mówi prezydent. Jak się czujesz?

– Lepiej, panie prezydencie – odpowiedział krótko. – Czy były jakieś wiadomości od naszego celu?

– Niestety, żadnych. Wygląda na to, że jednak miałeś rację.

David poczuł głębokie rozczarowanie. Cieszył się, że prezydent nie może w tej chwili zobaczyć jego twarzy.

– Mnie też jest z tego powodu przykro, panie

prezydencie.

– Czy potrzebujesz czegoś?

– W tej chwili nie. Dam panu znać, gdy będzie już po wszystkim.

– Dziękuję, Jonasz. Będę ci bardzo wdzięczny.

– Aha.. . panie prezydencie?

– Tak?

– Jeśli chodzi o moje stanowisko...

– Tak?

– Myślę, że powinien zacząć pan szukać odpowiedniego kandydata.

– Skoro tak mówisz – odrzekł prezydent i dodał:

– Wiesz chyba, jak bardzo żałuję, że do tego doszło.

– Tak jest. Dziękuję, ale to było nieuniknione. Nikt nie może pozostawać na tym stanowisku wiecznie.

– Nie krócej niż na moim – zaśmiał się prezydent.

– To prawda – uśmiechnął się David i dodał szybko: – Będę w kontakcie.

Połączenie zostało przerwane i David wystukał kolejny numer. Tym razem odezwał się kobiecy głos:.

– Poczta głosowa Birmingham, mówi Jennifer.

– Cześć, Jennifer, tu David Wilson.

– O, witam, panie Wilson. Dawno pana nie słyszałam – rzekła dziewczyna pogodnie.

– Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– Czy mam coś przesłać?

– Tak.

– W porządku. Poznaję pański głos, ale proszę podać hasło.

– Czwarty lipca – powiedział David.

– Zgadza się. Dokąd tym razem?

– Będę w poniedziałek w Waszyngtonie. Prześlij zawartość skrytki do hotelu Wardman Park. Podaj adres.

Upewniony, że poczta spływająca na jego konto będzie na niego czekała w hotelu, David wykonał kolejne połączenia. Sprawdził sytuację na granicy Teksasu z Meksykiem i wysłał tam jeszcze jednego agenta, a innemu polecił udać się do Illinois. Gdy już załatwił wszystkie sprawy związane z działalnością SPEAR, zadzwonił do hotelu.

– Marriott Wardman Park, czym mogę służyć?

– Proszę mnie połączyć z działem rezerwacji – powiedział David.

Czekanie nie trwało długo. Po chwili w słuchawce odezwał się jakiś głos.

– Mówi David L. Wilson. Numer pięćdziesiąt jeden. Przyjeżdżam w niedzielę po południu.

– Tak, proszę pana. Czy chce pan, żeby samochód z kierowcą czekał na lotnisku?

– Nie tym razem – odrzekł David. – Wezmę taksówkę. Aha... w ciągu najbliższych kilku dni powinna nadejść paczka dla mnie. Proszę ją przechować. Odbiorę ją po przyjeździe.

– Oczywiście. Życzę panu udanego lotu.

David odłożył słuchawkę, zamknął laptopa i opierając się na kierownicy, spojrzał przed siebie. Jezioro było się szare i szkliste. Wydawało się niemożliwe, że zaledwie przedwczoraj łowili tu ryby w pełnym słońcu.

Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, ale myśli przelatywały przez jego głowę w zawrotnym tempie. Zrobił już wszystko, co mógł zrobić. Teraz już mógł tylko

polecieć do Waszyngtonu i czekać, aż Frank się z nim skontaktuje. Nie miał żadnych wątpliwości, że tak się stanie. Jego brat poświęcił całe życie na wytropienie go.

W duchu odmówił krótką modlitwę.

Gdy podniósł głowę, słońce było już za szczytami drzew. Spakował sprzęt do bagażnika i ruszył. Trzeba było kupić mleko i wracać do kobiety, która na niego czekała.

Chiltingham było uroczym miasteczkiem, jak z pocztówki. Małe domki otoczone były wypielęgnowanymi trawnikami i perfekcyjnie utrzymanymi klombami kwiatów. David zaparkował przed supermarketem i wysiadł, pogwizdując.

Wziął wózek i ruszył alejką na drugi koniec sklepu, odgadując, że tam właśnie muszą się znajdować lady chłodnicze. Po drodze jednak skusiły go półki z herbatnikami. Gwałtownie skręcił i zderzył się z kobietą, której twarz wydała mu się znajoma, ale dopiero gdy kobieta się odezwała, przypomniał sobie, jak ma na imię. Macie. To była kobieta, z którą Ray miał romans.

– Ależ... przecież to ukochany Cary! – zawołała Macie, chwytając go za ramię. – Czy to nie zabawne? Uwielbiam, gdy tacy silni mężczyźni zajmują się drobnymi domowymi obowiązkami!

David sięgnął po paczkę herbatników, świetnie zdając sobie sprawę, że tym samym zmusza Macy do cofnięcia się o krok.

– Przepraszam, ale zapomniałem, jak masz na imię – powiedział, doskonale wiedząc, że wytrąci ją tym z równowagi. Sądząc po zmarszczce, jaka pojawiła się

na jej czole, nie pomylił się.

– Macie. Mam na imię Macie.

– Teraz sobie przypominam – skinął głową.
– Przepraszam. Miło było znów cię zobaczyć – dodał i popchnął wózek dalej wzdłuż rzędu półek. Niestety, Macie nie poddawała się tak łatwo.

– Widzę, że lubisz słodczy – rzuciła, zalotnie opuszczając rzęsy. David natychmiast zauważył, że są sztuczne, ciekaw był tylko, czy Macie wie, że jedna odkleiła się jej do połowy. – Wiesz chyba, co się mówi o mężczyznach, którzy kochają jeść?

David uśmiechnął się.

– Owszem, że rosną im wielkie brzuchy. Miło było z tobą porozmawiać. Przekażę Carze pozdrowienia od ciebie.

Macie spojrzała na niego z irytacją.

– Tak, dobrze... zrób to – mruknęła i wreszcie znikła.

David nie patrzył za nią, bo jego uwagę przyciągnęły płatki zbożowe. Wrzucił jedno pudełko do koszyka.

– Mleko. Mleko. Nie zapomnij o mleku – mruknął do siebie pod nosem.

Zanim dotarł do kasy, zdążył przejść przez cały sklep. Wiedział już, gdzie jest papier toaletowy, a gdzie aspiryna i cynamon.

Kasjerka, młoda dziewczyna, która mogła mieć nie więcej niż dziewiętnaście– dwadzieścia lat, spoglądała na niego z nieskrywaną ciekawością. David podał jej dwa banknoty, dziesięcio– i dwudziestodolarowy, i mrugnął do niej. Zarumieniała się aż po korzonki włosów i upuściła dziesięciocentową monetę.

– Przepraszam – wymamrotała, sięgając do szuflady

po drugą dziesięciocentówkę. – Dziękuję i zapraszam
znów.

– Na pewno tu wrócę – obiecał.

– Czy potrzebuje pan pomocy przy niesieniu za-
kupów?

– Oferuje się pani z pomocą?

Dziewczyna zarumieniła się jeszcze mocniej.

– Nie, ale mogę zawołać...

David uśmiechnął się.

– Nie trzeba, dziękuję. Poradzę sobie. Chciałem
się tylko z panią podrażnić.

Kasjerka odzyskała nieco pewności siebie.

– Chyba sobie na to zasłużyłam. Przyznaję, że
gapiłam się na pana. Jest pan tu nowym mieszkańcem
czy tylko przejazdem u nas?

David zawahał się i po chwili odpowiedział:

– Jestem nowym mieszkańcem.

– W takim razie witamy w Chiltingham – powie-
działa dziewczyna.

Ta niewinna uwaga głęboko poruszyła Davida.

– Dziękuję. Im dłużej tu jestem, tym większą
mam pewność, że znalazłem swoje miejsce.

Wyszedł ze sklepu z wrażeniem, że znalazł kolejną,
po doktorze Edwardsie, przyjazną duszę. Zwyczajne
życie zaczynało mu się coraz bardziej podobać.

Wrzucił zakupy do bagażnika i zaczął się śpieszyć
do domu. Myślał o cieście, które Cara piekła, gdy
wychodził, i zastanawiał się, jakie jeszcze czekają go
niespodzianki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

David zatrzymał samochód na podjeździe i pomachał ręką do Cary, która wyszła mu na powitanie.

– Mam mleko – pochwalił się, otwierając bagażnik.

Cara spojrzała mu przez ramię i pohamowała uśmiech.

– Dość trudno je tu dostrzec wśród tych wszystkich rzeczy, które kupiłeś, więc muszę ci uwierzyć na słowo.

– Nie kpij z myśliwego, który przyniósł do domu zaopatrzenie – upomniał ją David surowo.

Tym razem jej uśmiech był zupełnie jawny. David podał jej jedną z toreb, a sam wziął dwie pozostałe i zamknął bagażnik łokciem.

– Prowadź – rzekł krótko.

Zaraz za drzwiami otoczyły go fantastyczne zapachy. Wyróżniał wśród nich aromat ciasta jabłkowego, które Cara piekła, gdy wychodził.

– Mmm, jak tu pięknie pachnie – rzekł z uznaniem, kładąc torby na szafce.

– Już dawno gotowanie nie sprawiło mi tyle

radości – odrzekła.

– Ja też już nie pamiętam, kiedy czułem się tak dobrze – przyznał David, wyjmując zakupy z jej rąk.

Uśmiechnęła się i wsunęła palce w jego włosy.

– Za łatwo się poddajesz – powiedziała miękko.

– Bo zajmuje się mną odpowiednia kobieta.

Cara pocałowała go szybko.

– Zachowaj to na później. Teraz chcę zobaczyć, co przyniósł mój myśliwy.

– Tylko kilka drobiazgów – wzruszył ramionami, wkładając mleko do lodówki.

– Czy jest tu coś jeszcze, co trzeba schować do lodówki? – zainteresowała się Cara.

– Chyba tak.

– Co na przykład?

– Na przykład to... – mruknął David, przekopując się przez torby – ...i jeszcze to. Aha, i to też mogłoby się zepsuć.

Cara coraz szerzej otwierała oczy patrząc, jak on wyciąga z toreb dwulitrowe opakowanie lodów, paczkę polskiej kiełbasy i karton sosu do chipsów.

– To wygląda zupełnie jak zakupy, które przynosił do domu Tyler.

– On jest najmłodszy z twoich dzieci, tak?

Cara kiwnęła głową.

– I jedyny syn. W przyszłym roku skończy trzydzieści lat. Na pewno go polubisz.

– Spotkałem w sklepie Macie – przypomniał sobie David. – Kazała cię pozdrowić.

Cara podniosła na niego wzrok.

– Założę się, że kłamiesz.

David pokiwał głową.

– No, w każdym razie... przywitała się ze mną.

– Co za żmija – mruknęła Cara.

– Raczej barakuda – poprawił ją David, patrząc z przyjemnością na jej uśmiech.

Po chwili Cara uświadomiła sobie, że David zamilkł. Podniosła głowę i spojrzała na niego, próbując przeniknąć wyraz jego twarzy.

– Powiesz mi sam czy pobawimy się w dwadzieścia pytań?

– To życie jest tak zwykłe, tak proste – pokręcił głową. – Martwię się, czy będę tu pasował. I twoje dzieci... Próbuję spojrzeć na siebie ich oczami i nie jestem pewien... Nie jestem pewien, czy na ich miejscu zaakceptowałbym kogoś takiego jak ja.

– Ja cię akceptuję i to jest najważniejsze. Poza tym, gdybyś znał moje dzieci, to byś się o to nie martwił – odrzekła Cara i wręczyła mu pojemnik z lodami. – Włóż to, proszę, do zamrażarki, a potem idź się umyć. Kolacja gotowa.

David westchnął i poszedł do łazienki. Przywykł do tego, że to on wydaje rozkazy, miał jednak wrażenie, że bez trudu uda mu się przystosować do tej zmiany.

Gdy wrócił, Cara wносиła do jadalni ostatnie danie. Pokręcił głową z uznaniem. Stół z drzewa wiśniowego nakryty był porcelaną zamiast codziennej kamionki. Pośrodku stał bukiet kwiatów z ogrodu, a obok palące się świece. Pomyślał o wszystkich dniach i nocach spędzonych samotnie w ciągu ostatnich czterdziestu lat i zabrakło mu słów. Podeszedł do Cary i pocałował ją

w rękę.

– To dla ciebie – powiedziała miękko. – Za te wszystkie posiłki, które jadaleś sam.

David był zbyt wzruszony, by cokolwiek powiedzieć. Cara ochłonęła pierwsza.

– Siadajmy, zanim wszystko wystygnie – powiedziała i podała mu nóż do krojenia mięsa. David zrozumiał, że ma pokroić pieczeń. Popatrzył na długi nóż z cienkim ostrzem i natychmiast w jego umyśle pojawiły się złe skojarzenia. Potrząsnął głową i odłożył nóż na stół.

– Jest coś, co muszę zrobić najpierw – powiedział, biorąc Carę za rękę.

Czekała w milczeniu. David niepewnie pochylił głowę, a potem głębokim, spokojnym głosem poprosił o błogosławieństwo dla posiłku i dla kobiety, która go przygotowała. Zakończył tę niezgrabną modlitwę cichym „amen,,.

Cara uścisnęła jego dłoń.

– Dziękuję ci, kochany. To było piękne. Czy teraz pokroisz mięso?

Tym razem nóż nie niósł już żadnych nieprzyjemnych skojarzeń.

Wrażenia następnych chwil na zawsze wryły się w sercu Davida. Światło świec, łagodzące na ich twarzach ślady minionego czasu. Ciemne, krwistoczerwone wino w kieliszkach. Czysty brząk kryształu, gdy wznosili toast za przyszłość. Błysk radości w oczach Cary na widok twarzy Davida, gdy wziął do ust pierwszy kęs pieczeni. Chrupka, posypana cukrem skorupka ciasta, ciepłe jabłkowo-cynamonowe

nadzieje i zimne, jedwabiste lody waniliowe na wierzchu.

W końcu David z westchnieniem odsunął pusty talerz.

– To był najwspanialszy posiłek, jaki jadłem w życiu.

Cara promieniała.

– Chodź za mną – wyciągnęła do niego rękę.
– Wieczór jeszcze się nie skończył.

David jęknął.

– Cokolwiek jeszcze zaplanowałaś, mam nadzieję, że nie jest to nic do jedzenia.

– Chodź – roześmiała się. – Obiecuję, że nie będziesz rozczarowany.

Przeszli do salonu i Cara kazała mu usiąść wygodnie.

– Tylko zostaw trochę miejsca dla mnie – zastrzegła. Podeszła do telewizora i wsunęła kasetę wideo w kieszeń odtwarzacza, a potem usiadła obok Davida i wcisnęła guzik pilota..

– Co będziemy oglądać? – zapytał z uśmiechem.

– Życie twojej córki.

Uśmiech zamarł na jego twarzy.

– To są taśmy z Bethany?

Cara skinęła głową.

– Valerie i Tyler także na nich będą.

David znieruchomiał, wpatrzony w ekran. Gdy ukazały się pierwsze obrazy, odchrząknął niskim głosem. Wiedziała, dlaczego. To były zdjęcia z dnia, gdy Ray odbierał ją ze szpitala po urodzeniu Bethany. Pielęgniarka wywoziła je obydwie z budynku na

wózku.

– Och, Boże, zapomniałam już, jakie miałam wtedy długie włosy – zaśmiała się Cara, ale do Davida nic nie docierało. Patrzył na smutny uśmiech kobiety na ekranie i wiedział, że to on był przyczyną tego smutku.

Obraz przesunął się na twarz dziecka w ramionach Cary. Był nieostry i chwiejny, jakby fotograf filmował idącą, ale nawet tu widać było podobieństwo drobnej twarzyczki otoczonej pasemkami ciemnych włosów do twarzy Davida.

– Już wtedy wyglądała tak jak ty – powiedziała Cara. – To było jednocześnie błogosławieństwo i cierpienie. Ciągle mi przypominała, jak bardzo kochałam ciebie i jak wiele straciłam.

– Boże – szepnął David. Siedział pochylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach. Przez następne dwie godziny nie odezwał się ani słowem. Gdy taśma się skończyła, podniósł wzrok z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie wybudzono go z głębokiego snu.

– To chyba jeszcze nie wszystko?

Taśma obejmowała pierwszy rok życia Bethany i kończyła się, gdy mała uczyła się chodzić. Cara szybko zmieniła kasetę.

– Ależ nie. Jest tego tyle, że nie zdążyłbyś obejrzeć wszystkiego przez jedną noc. Nie dotarłeś nawet do momentu, gdy w końcu udało jej się włożyć do ust. całą łyżkę płatków i nie pobrudzić się przy tym.

– Masz to na taśmie?

– Tak, dzięki Rayowi.

David rozluźnił zaciśnięte gardło.

– Zdaje się, że bardzo wiele mu zawdzięczam.

– Nie smuć się. Nie chcę zadawać ci cierpienia. Chciałam tylko, byś zobaczył najważniejsze momenty z życia twojej córki. Nie wszystko udało się sfilmować, ale zobaczysz chociaż część.

– Nie jest mi smutno, tylko cholernie przykro.

Cara zawahała się przed naciśnięciem guzika.

– Masz niczego nie żałować, pamiętasz?

– Pamiętam – westchnął.

– W porządku. W takim razie patrz.

David więc patrzył i przeżywał w ciszy życie swojej córki: urodzinowe przyjęcia, lekcje pływania, naukę jazdy na rowerze. Gdy Bethany upadła, David głośno wciągnął oddech. Słyszał jej płacz, widział strużkę krwi na kolanie i omal mu serce nie pękło. Jego córka płakała i ktoś inny ocierał jej łzy. Patrzył, jak biegła do bazy w meczu baseballowym i roześmiał się głośno widząc jej rozpromienioną twarz.

Cara siedziała przytulona do niego, z policzkiem opartym na jego ramieniu, i odpowiadała na jego rzadkie pytania, ale sama nie wtrącała żadnych komentarzy. Życie Bethany przewijało się pod jego spojrzeniem, od dnia, gdy zgubiła pierwszy ząb, do pierwszej randki. David nawet nie zauważył, kiedy Cara usnęła. Dopiero gdy skończyła się kolejna kaseeta, zerknął na zegarek i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że już jest za dziesięć trzecia. Cara spała na kanapie obok niego.

Wyłączył telewizor i zaniósł ją do łóżka. Gdy zdejmował jej buty, otworzyła oczy.

– Óóó, śpij – szepnął z uczuciem.

Cara z westchnieniem obróciła się na bok. David przykrył ją, nie zawracając sobie głowy ściąganiem z niej ubrania. Sam przespał wiele nocy w ubraniu i ziemia nie przestała się od tego kręcić. Zaczął się rozbierać, ale zawahał się, stojąc obok łóżka. Wiedział, że nie będzie w stanie usnąć, nie po tych wszystkich filmach.

Po cichu przeszedł przez dom i zaczął sprzątać ze stołu naczynia pozostawione po kolacji. Pozmywał je, a potem, nie wiedząc, gdzie je pochować, zostawił porcelanę w schludnych stosach na blacie szafki, odwiesił ścierkę i wyłączył światło.

Zatrzymał się w progu jadalni i jeszcze raz obrzucił pomieszczenie wzrokiem, upewniając się, że niczego nie zostawił. Stół był czysty. Miał wrażenie, że okna przyglądają mu się spoza ciemnych zasłon. David zadrżał i poczuł, że tej nocy nie tylko on nie może spać. Gdzieś tam był jego brat, który także nie spał i obmyślał sposoby, by go zabić.

Demony dręczyły Franka. Miniony rok był jednym nieustającym pasmem rozczarowań, a z każdą nieudaną próbą dotarcia do Davida jego frustracja rosła, objawiając się w dziesiątkach rozmaitych symptomów.

Od ostrego jedzenia dostawał mdłości. Głowa bolała go nieustannie od miesięcy. Dręczyły go wielodniowe okresy bezsenności, a gdy wyczerpane ciało w końcu poddawało się, sen nie przynosił odpoczynku, lecz stawał się okazją do ponownego przeżywania

koszmarów przeszłości. Nieuchronnie wszystkie sny przechodziły w ciągle ten sam koszmar – ogień, palone ciało, ogłupiający, przenikliwy ból. Zdradziecka twarz brata była wypalona w mózgu Franka jak kwasem. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki David żyje.

Ten wieczór nie różnił się niczym od innych. Z okna pokoju hotelowego Frank miał widok na Góry Skaliste. Postrzępiony skalnymi graniami horyzont wyglądał jak popruty. Ale majestatyczny widok nie robił żadnego wrażenia na Franku, który ze znużeniem przeciągnął ręką po twarzy, tęskniąc za spokojem.

W nocy, bez peruki i wąsów, był skazany na samego siebie. Twarz, która patrzyła na niego z lustra, nie była twarzą detektywa z Nowego Jorku, lecz uciekiniera. Nienawidził tej twarzy i nienawidził człowieka, którym się stał.

Niespokojnie chodził od okna do okna, nie zwracając uwagi na ruch na ulicy ani na rozgwieżdżone niebo. W takie noce najbardziej tęsknił za Australią. Tam niebo wydawało się większe i bliższe. Martha kochała biwakowanie. Leżeli w śpiworach pod gwiazdami, śpiąc pośrodku otwartej przestrzeni.

Frank gniewnie podniósł głowę i uderzył pięścią o parapet. Przestań wreszcie o tym myśleć, nakazał sobie. To już przeszłość.

Usiadł ciężko na łóżku i zakrył twarz rękami, nieświadomie przesuwając palce wzdłuż blizn. Na ulicy rozległ się klakson, a w pewnej odległości policyjne syreny. Tęsknił za spokojem interioru.

Może jednak osiedlenie się na Florydzie nie było najlepszym pomysłem. Spokój był ostatnią rzeczą, jaką mógł tam znaleźć. Bagna, aligatory, pomarańcze i huragany. Setki tysięcy ludzi, dla których angielski nie był ojczystym językiem. Starzy ludzie, którzy przynosili się tam, by dożyć swoich dni.

Frank westchnął. Do diabła, czy na całym świecie nie było odpowiedniego dla niego miejsca?

Wyciągnął się na łóżku, przymknął oczy i w końcu zapadł w głęboki sen bez koszmarów.

Ten nieoczekiwany odpoczynek pozwolił mu spojrzeć rankiem na wszystko z nowej perspektywy. Obudził się z uczuciem, że świat należy do niego. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł zaufanie do własnych umiejętności. Ubrał się i zaczął obmyślać plany na ten dzień. Może jeszcze jedna runda na strzelnicy, dobry lunch około południa, a potem trzeba będzie poszukać dobrego biura podróży. Jeszcze jedna noc w Denver i nadejdzie czas, by ruszyć dalej.

Hotel, w którym teraz mieszkał, był o niebo lepszy od obskurnego motelu w Los Angeles, wtedy jednak Frank nie miał wielkiego wyboru. Łatwiej było zaszyć się w podrzędnej dziurze niż wyjaśniać, dlaczego nosi bandażę. Teraz, gdy rany prawie się wygoiły, mógł wrócić do zwykłego stylu życia.

Usiadł na kanapie, otworzył laptopa, podłączył modem i zalogował się do internetu. Ręce co prawda mu nie drżały, ale serce waliło głośno. Codziennie wysyłał tę samą wiadomość pod ten sam adres, przekonany, że w końcu dostanie odpowiedź, na którą

czekał. Możliwości internetu nie przestawały go zdumiewać. Wiele już w życiu widział, ale ze wszystkich wynalazków to właśnie ogólnie dostępna sieć najbardziej zmieniała życie.

Na ekranie pojawiło się okienko z napisem: Nadeszła nowa poczta. Frank szybko przebiegł wzrokiem nagłówki wiadomości, natychmiast usuwając wszystkie, które nie pochodziły od Davida Wilsona. Wśród trzydziestu dziewięciu wiadomości niestety nie było żadnej, która by go zainteresowała. Westchnął z frustracją i wzruszył ramionami. To nie miało znaczenia. W końcu nie był ograniczony czasem. Mógł sobie pozwolić na czekanie.

Po raz kolejny wysłał tę samą wiadomość, a potem zamknął komputer. Był głodny i miał ochotę się przejść. Wyszedł z hotelu i stanął na krawężniku, chcąc złapać taksówkę. Naraz usłyszał ostry, przenikliwy głos dziecka.

– Dziadzio! Dziadzio!

Frank z ciekawości opuścił wzrok i ku swemu zdumieniu przekonał się, że dziewczynka, dwu- albo najwyżej trzyletnia, woła do niego. Frank znieruchomiał. Dziewczynka rzuciła się do jego nogi.

– Na łęce! – wołała. – Ja ce na łęce!

Zanim Frank zdążył zareagować, z drzwi hotelu wybiegła młoda kobieta z przerażonym wyrazem twarzy.

– Martie! Martie! Gdzie jesteś?– wołała.

Frank pomachał ręką, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– Proszę pani... czy to pani dziecko?

– Och, mój Boże! – wykrzyknęła kobieta. Podbiegła i oderwała dziewczynkę od nogi Franka. – Niegrzeczna Martie! Uciekłaś mamie!

Mała wygięła usta w podkówkę.

– Dziadzio!

Jej matka dopiero teraz spojrzała na Franka uważniej i zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

– Och, Boże. Nic dziwnego, że Martie do pana przybiegła!

– Przepraszam? – zdziwił się Frank, zupełnie pewny, że widzi je obydwie po raz pierwszy w życiu.

– Nie, to ja powinnam pana przeprosić – stwierdziła nieznajoma, wyciągając rękę. – Nazywam się Beth Stalling, a to jest moja córka, Martha. Wołamy na nią Martie. Pan wygląda zupełnie jak mój teść. Mógłby pan być jego bliźniakiem. A Martie bardzo kocha dziadka Julesa. Na pewno wzięła pana za niego.

Frank uściśnął wyciągniętą rękę, ale zupełnie przestał ją słyszeć, gdy dotarło do niego imię dziewczynki. Martha. Martha z niebieskimi oczami i platynowoblond włosami. Mała miała taki sam kolor włosów i oczu jak jego Martha.

– ...więc mam nadzieję, że pan rozumie – dokończyła kobieta.

Frank nieprzytomnie zamrugał powiekami.

– Oczywiście Nic się nie stało – stwierdził krótko i nieoczekiwanie zdobył się na zupełnie niezwykły dla siebie gest: wyciągnął rękę i lekko dotknął miękkich loków dziewczynki.

– Myślę, że dziadek Jules jest bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Dziękuję – rozpromieniła się nieznajoma.

Frank nagle poczuł się nieswojo. Wymamrotał o spóźnieniu na spotkanie, podszedł do krawężnika i zatrzymał taksówkę, po czym odetchnął z ulgą, zamykając za sobą drzwi. Nie obejrzał się, nie chcąc, by cokolwiek przypominało mu o życiu, które z własnej woli porzucił. Z chwili na chwilę robiło mu się coraz ciężej na sercu. Przyszło mu nawet do głowy, by wyrzec się zemsty i zagubić gdzieś w Ameryce. Mógłby tak zrobić. Robił to już wcześniej. Każdy wiedział, że dysponując odpowiednią ilością pieniędzy, w Ameryce można kupić wszystko. Stać go było na nową tożsamość i spędzenie reszty życia we względnym komforcie. Ale wyglądając przez okno zobaczył przelotnie własne odbicie w szybie i uświadomił sobie, że to nie jest jego twarz, lecz maska, pod którą kryje się tylko pustka.

Myśl o przebaczeniu i zapomnieniu szybko zgasła.. David go skrzywdził i będzie musiał za to zapłacić. Frank wiedział jednak, że długo będzie pamiętał dotyk jedwabistych włosów dziecka na swojej dłoni.

– Niech się pan tutaj zatrzyma – powiedział do taksówkarza. Rzucił mu garść dolarów i odszedł szybkim krokiem. W końcu zwolnił, gdy zauważył po przeciwnej stronie ulicy biuro podróży.

Wieczorem Frank Wilson był już w Chicago i miał ściśle obmyślane plany na następne cztery dni. Wieczorem w hotelu czekała go niespodzianka: otrzymał długo oczekiwaną wiadomość od Davida.

Cara wyszła z kuchni niosąc wazon z kwiatami,

które postawiła na stole w jadalni. Wszystkie drewniane powierzchnie w całym domu błyszcząły jak lustro, a z kuchni rozchodziły się ponętne zapachy. David jednak wiedział, że tym razem te cuda nie są przeznaczone dla niego.

Poprzedniego wieczoru Cara zerknęła na kalendarz i złapała się za głowę. Następnego dnia w jej domu miało się odbyć spotkanie komitetu organizującego doroczny jarmark kościelny! Wiedziała o tym od wielu tygodni, ale w emocjach związanych z przyjazdem Davida zupełnie jej to wyleciało z głowy.

W jej domu miało się pojawić dwanaście kobiet, które same miały własne domy, mężów i dzieci i oceniały jej wartość według tego, czy potrafiła zachować porządek w domu oraz czy smacznie gotowała.

Cara nastawiła budzik na wpół do siódmej, ale wstała jeszcze wcześniej i od razu zaczęła wielkie porządki. David rozsądnie zadowolił się miską płatków na śniadanie, a gdy zjadł, sam umył miskę, wytarł i odłożył na miejsce. Potem podjął następną mądrą decyzję: wyciągnął z szopy kosiarkę i zaczął kosić trawę na podwórzu. Jego mądrość została nagrodzona, gdy w godzinę później Cara przyniosła mu zimny napój i obdarzyła gorącym pocałunkiem.

– Podwórze wygląda cudownie – stwierdziła.
– Muszę wracać do kuchni.

– Nie wiem, czy zdążę z tym skończyć, zanim przyjdą. Nie będzie ci to przeszkadzało, jeśli będę nadal kosił? – zapytał David.

– Och, oczywiście, że nie.

Odetchnął z ulgą. To był bardzo dobry pretekst, by wykręcić się od udziału w uroczystości.

Skończył koszenie z przodu domu i wszedł do środka, by się czegoś napić. Na widok przygotowanych przez Carę potraw oniemiał. Jedzenie wyglądało jak z pięciogwiazdkowej restauracji.

– Nie miałem pojęcia, że potrafisz przygotowywać takie potrawy – wyznał zupełnie szczerze.

Rzuciła mu przelotny uśmiech i wzruszyła ramionami.

– Zdziwiłbyś się widząc, co kobieta potrafi zrobić w nagłej potrzebie.

Potrząsnął głową bez dalszych komentarzy. Cara traktowała to spotkanie, jakby było kwestią życia i śmierci. „Nagła potrzeba„ dla niej oznaczała zupełnie coś innego niż dla niego, coś mu jednak mówiło, że łatwiej byłoby stawić czoło międzynarodowemu terroryście niż tym dwunastu kobietom.

– Zrobiłam ci coś do zjedzenia – dodała Cara.
– Chociaż oczywiście jeśli masz ochotę, to możesz zjeść lunch razem z nami.

– Nie – rzekł szybko David. – Ale dziękuję za zaproszenie.

– Ja też wolałabym zjeść sama – westchnęła Cara.
– Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam o tym spotkaniu!

David odsunął jej włosy na bok i pocałował ją w szyję.

– Zjem później, gdy skończę koszenie za domem, dobrze? I jeśli do tego czasu nie skończycie, to wolałbym zjeść w kuchni.

Roześmiała się i uszczypnęła go w nos.

– Tchórz!

– I dumny z tego! – odparował.

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód.

– Masz pierwszego gościa – zauważył David.

Cara szybko wyjrzała przez okno.

– Och, Boże! To Hillary, najbardziej krytyczna z nich wszystkich.

Głowa do góry, skarbie – pocieszył ją David.

– Pamiętaj, że masz na podwórzu faceta, który w każdej chwili gotów jest stanąć w twojej obronie.

Rzucił jej szeroki uśmiech, mrugnął szelmowsko i zniknął w tylnych drzwiach w chwili, gdy przy frontowych rozległ się dzwonek. Cara pobiegła, by otworzyć, wygładzając po drodze bluzkę.

– Hillary! Wyglądasz wspaniale, jak zawsze. Wejdz.

Hillary Redford wiedziała, że wszyscy znajomi bali się jej wizyt, i sprawiało jej to niekłamaną przyjemność. Czuła się dzięki temu ważna.

– Jak miło tu wszystko wygląda – powiedziała, spoglądając z aprobatą na wypolerowane meble i świeże kwiaty.

Cara omal nie parsknęła głośno. Miło? Obydwie wiedziały, że cały dom wygląda świetnie.

– Usiądź, proszę. Muszę tylko wyjąć coś z piekarnika i zaraz do ciebie wrócę.

Hillary ostrożnie usiadła na kanapie, wstępnie przetestowała wszystkie poduszki i znalazła taką, która odpowiadała jej najbardziej. Po chwili zaczęły się pojawiać następne kobiety i już wkrótce w salonie panował hałas niczym w miejscowym barze w sobotni wieczór. Cara krzątała się między salonem a kuchnią,

przynosząc przekąski i kieliszki białego wina. Doskonale wiedziała, że za każdym jej wyjściem dwanaście kobiet w salonie natychmiast zmieniało temat rozmowy i zajmowało się obgadywaniem jej.

Zaniosła ostatni półmisek do jadalni i ustawiła na kredensie. Jeszcze raz obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem, by się upewnić, że o niczym nie zapomniała, i poszła zaprosić swych gości na lunch.

– Drogie panie, przejdźmy do jadalni. Będziecie tam mogły spokojnie kontynuować rozmowę o moim życiu, a jeśli któraś z was przypomni sobie przy okazji, że miałyśmy zaplanować jarmark kościelny, to będzie wspaniale.

Zapadło zakłopotane milczenie. Hillary pierwsza poczuła potrzebę, by się usprawiedliwić..

– Och, Cara, właściwie nie rozmawiałyśmy o tobie, tylko ciekawe jesteśmy tego nowego mężczyzny, który pojawił się w twoim życiu. Chyba nie możesz nas za to winić.

Cara uśmiechnęła się, zadowolona, że wyjęła im broń z ręki.

– Mmm, to wszystko cudownie pachnie powiedziała jedna z kobiet na widok stołu.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Cara. – To w gruncie rzeczy bardzo proste dania z moich ulubionych przepisów.

Kobiety zaczęły napełniać talerze i rozmowy przycichły. Dopiero teraz do ich uszu dobiegł warkot pracującej za domem kosiarki. Hillary pierwsza odważyła się na komentarz.

– Zauważyłam, że twój trawnik przed domem

został świeżo skoszony – powiedziała.

– Tak, ale David nie skończył jeszcze za domem.

– Kto to jest David? – zapytała Hillary.

– Ojciec Bethany – wyjaśniła Cara po prostu.

Dwanaście par oczu natychmiast utkwilo w jej twarzy.

– Muszę go zobaczyć – oświadczyła Hillary bezceremonialnie i poszła do kuchni, a jedenaście pozostałych podążyło za nią gęsiego. Cara uśmiechnęła się w duchu i poszła za nimi. Na szczęście zdążyła wcześniej uprzątnąć prawie wszystkie brudne naczynia.

Ale nawet gdyby tego nie zrobiła, nikt by nie zauważył. Dwanaście oniemiałych z wrażenia kobiet stało przy wszystkich oknach w kuchni, przyklejając nosy do szyb.

– To on? – wyjąkała Hillary, stukając palcem w szybę.

Cara zerknęła ponad jej ramieniem.

– Tak, to on.

– Litości – szepnęła któraś. – On wygląda jak ten aktor... och, jak on się nazywa? Grał w tym filmie, „Snajper”, i w kilku innych...

– Berenger? – odpowiedziała inna.

– Tak, właśnie! Berenger! On wygląda jak Tom Berenger.

Jak na komendę, wszystkie odwróciły się i dla odmiany zaczęły gapić na Carę, jakby widziały ją pierwszy raz w życiu. Cara skrzyżowała ręce na piersiach, powstrzymując śmiech. Pomimo wszelkich jej starań kulinarnych, gwoździem programu okazał się półnagi mężczyzna przy kosiarce. I nawet nie mogła go za to winić.

– Cara? – odezwała się niepewnie Susan Hanover, żona bankiera.

– Tak?

– Czy on jest taki, hm, sprawny pod każdym względem?

Cała gromada oczekiwała na odpowiedź z widocznym napięciem. Cara uśmiechnęła się uprzejmie, jakby właśnie poproszono ją o przepis na ciasto.

– Tak – przyznała.

– O mój Boże – jęknęła Susan i oparła się o ścianę, jakby groziło jej, że zasłabnie.

To pytanie przełamało lody ciekawości. Kolejne posypały się ze wszystkich stron. Czym on się zajmuje? Gdzie był dotychczas? Czy zostanie na stałe? Czy wyjdiesz za niego? Czy przyjdzie do domu?

Cara zbyła je wszystkie jednym machnięciem ręki.

– Jedzenie stygnie – przypomniała im i pierwsza poszła do jadalni.

Uprzejmość wymagała, by podążyły za nią. Gdy wreszcie usiadły i znów zaczęły jeść, wszystkie patrzyły na Carę z szacunkiem, myśląc o własnych mężach, w większości łysych i z nadwagą.

Po chwili napięcie nieco opadło i udało im się ustalić większość spraw związanych z jarmarkiem. Dopiero gdy Cara podała ciasto, tylne drzwi domu trzasnęły. David skończył koszenie.

Dwanaście kobiet zastygło i wstrzymało oddech z nadzieją, że uda im się choć przelotnie ujrzeć owego bohatera. David nie zawiódł ich oczekiwań. Wciąż półnagi, z koszulką w rękę, wetknął głowę do pokoju. Tors i włosy miał wilgotne od potu.

– Cara, skończyłem już wszystko. Wezmę teraz prysznic, a potem zjem – powiedział i obdarzył gromadę kobiet szerokim uśmiechem. – Mam nadzieję, że miłe panie zostawiły mi coś na lunch.

Wrzuciwszy tę słowną bombę w sam środek zgromadzenia, odwrócił się i wyszedł, obdarzając je na deser widokiem napiętych pośladków i długich nóg. Susan, żona bankiera, odłożyła widelec na talerzyk i zakryła oczy dłońmi.

– Boże, wybacz mi moje myśli – szepnęła najzupełniej poważnie.

Kobiety wybuchnęły śmiechem, zadowolone, że jedna z nich powiedziała głośno to, co wszystkie myślały.

Nie spieszyły się z wyjściem. Któraś nawet zjadła drugi kawałek ciastka tylko po to, by przedłużyć swą obecność w domu Cary. W końcu David wyszedł z sypialni, ubrany w luźne spodnie i niebieską koszulę z dżerseju.

– W ubraniu też wygląda dobrze – szepnęła Susan.

David usłyszał ją i uśmiechnął się. Świadom był zamieszania, które spowodował, i nie wiedział, czy powinien się przywitać, czy też dyskretnie zniknąć w kuchni. Cara wybawiła go z kłopotu.

– Zachowałyśmy dla ciebie kawałek ciasta – powiedziała, wchodząc za nim do kuchni.

– Na pewno chcesz, żebym tam poszedł? – upewnił się David.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Musiałbyś być ślepy i głuchy, żeby nie zauważyć, że wszystkie tylko na to czekają.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze.

– No pewnie. To się zaczęło, kiedy zobaczyły cię nagiego.

– Jak to, nagiego!?

– Skarbie, kiedy mężczyzna ma na sobie tylko szorty i nosi je tak nisko na biodrach jak ty, kobiety potrafią dośpiewać sobie resztę. Więc już lepiej wejź i pokaż im się z bliska.

David z szerokim uśmiechem poszedł za nią do jadalni.

– Podobno zostało trochę ciasta – powiedział od progu.

– Tutaj! Prosimy tutaj! – zawołała jedna z kobiet, podrywając się z krzesła.

– Och, nie, dziękuję bardzo – pokręcił głową. – Dżentelmen nigdy nie siada w pokoju pełnym pań. Zjem na stojąco, w ten sposób więcej mi się zmieści. Czy już skończyście?

Dwanaście zaskoczonych kobiet popatrzało na jego twarz, a potem na swoje talerze.

– Miałem na myśli spotkanie – wyjaśnił David.

Cara roześmiała się. Robił z nimi, co chciał.

– Zachowujesz się okropnie – zbesztła go. – W tej chwili przestań się z nimi drażnić, rozumiesz?

Uśmiechnął się i pocałował ją prosto w usta. W jadalni rozległo się dwanaście westchnień zachwyту. Cara uśmiechnęła się do siebie.

Jej lunch okazał się sukcesem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Policja nadal poszukuje sprawców szeregu zbrodni popełnionych na terenie trzech hrabstw. Ostatniego wieczoru około północy bandyci znów uderzyli. Tym razem ich ofiarą stał się pracownik całodobowego sklepu, który stracił przytomność wskutek pobicia. Trzydziestodwuletni mężczyzna, ojciec dwojga dzieci, znajduje się na oddziale intensywnej terapii szpitala Burney. Jego stan jest krytyczny.”

Słyszając te słowa Cara, która właśnie nakładała makijaż w łazience, szybko poszła do sypialni, gdzie David oglądał wiadomości w zamontowanym na ścianie naprzeciwko łóżka telewizorze.

– Biedny facet ...i jego rodzina – powiedziała z westchnieniem. – Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie złapano tych bandytów.

David w milczeniu skinął głową. To nie była sprawa dla SPEAR, ale nie mógł słuchać takich rzeczy spokojnie. Był to już trzeci wypadek tego typu w okolicy od czasu jego przyjazdu do domu Cary, a szósty w ciągu ostatnich dwóch tygodni. David wiedział, jak zachowują się przestępcy tego rodzaju.

Zdążyli się rozzuchwalić i nabrać pewności, że wszystko ujdzie im na sucho, nawet morderstwo. Oprócz niezliczonych napadów, mieli już na koncie śmierć dwóch osób. Jeśli ten młody sprzedawca umrze, to będą trzy. David nieświadomie zwinął dłonie w pięści i jego twarz pociemniała.

Cara pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

– Nie możesz naprawić całego zła na świecie – powiedziała miękko.

Łagodność w jej głosie głęboko go poruszyła. Posadził ją sobie na kolanach i wtulił twarz w jej szyję. Cara wyczuła, że coś go gnębi i podejrzewała, że nie ma to nic wspólnego z wiadomościami telewizyjnymi.

– Czy jest coś, co chcesz mi powiedzieć? – zapytała.

David znieruchomiał. Była cholernie bystra. Ale to nie był odpowiedni moment.

– Nie, kochanie... w każdym razie nie teraz. – Podniósł głowę i zmusił się do uśmiechu. – Wyglądasz tak apetycznie, że mógłbym cię zjeść, ale na razie zadowolę się hamburgerem.

– W porządku, David, mogę zagrać w twoją grę. Będę udawać głupią blondynkę, która nie ma o niczym pojęcia, a ty będziesz wielkim, silnym bohaterem, który musi chronić swoją kobietę przed nią samą.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie i wstyd, że ona na wylot przeniknęła jego myśli. Cara zsunęła się z jego kolan i wygładziła ubranie.

– Tylko pamiętaj, że każda gra kiedyś się kończy, a wtedy będę chciała usłyszeć od ciebie prawdę.

Umowa stoi?

Przeszyła go żelaznym spojrzeniem i wyciągnęła rękę. Westchnął i poddał się.

– Stoi – odpowiedział. – Czy jesteś już gotowa do wyjścia?

Wybierali się do Chiltingham na zakupy. Cara kiwnęła głową.

– Muszę tylko wziąć z kuchni listę zakupów spożywczych.

– Poczekam na ciebie przed domem

– Może weźmiemy mój samochód? – zaproponowała.

David zawahał się, ale po chwili potrząsnął głową.

– Nie, weźmy mój. Tak czy inaczej, muszę zatan-kować.

Cara nie potrzebowała żadnych więcej dowodów, by nabrać przekonania, że David wkrótce ją opuści. Serce ścisnęło jej się boleśnie, ale na razie wołała tego nie komentować.

Zanim wyszła przed dom, udało jej się odpędzić łzy. David stał obok samochodu przy drzwiczkach pasażera i czekał na nią.

– Dokąd jedziemy najpierw? – zapytał, ruszając.

– Powiedziałabym: Hawaje, ale obawiam się, że nie wystarczyłoby ci benzyny.

Usłyszał rozpacz w jej głosie i sięgnął po jej rękę.

– Nie tym razem, kochanie. Ale być może wkrótce. Byłaś już kiedyś na Hawajach?

– Nie – westchnęła – i zawsze chciałam się przekonać, czy woda rzeczywiście jest tam tak niebieska, jak mówią.

– Rzeczywiście.

Cara uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Powinnam odgadnąć, że ty już tam byłeś.

David pomyślał o sześciotygodniowym pościgu za dealerem narkotykowym, którego w końcu dopadł na wschodnim brzegu Oahu.

– To nie były wakacje – odrzekł cicho. – Kiedy chciałabyś tam pojechać? Tej jesieni? Następnej wiosny? Wyznacz termin.

Cara szeroko otworzyła oczy.

– Czy ty mówisz poważnie?

David zatrzymał samochód na poboczu i wziął ją w ramiona.

– Ja wcale nie żartuję. Jestem w tobie zakochany. Chciałem cię o to zapytać wieczorem, ale coś mi mówi, że powinienem zrobić to teraz.

– O co chciałeś mnie zapytać?

– Jeśli uda mi się wrócić... a zrobię wszystko, co w mojej mocy, by się udało... to czy wyjdiesz za mnie?

To była ostatnia rzecz, jaką Cara spodziewałaby się usłyszeć. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinni spędzić razem więcej czasu przed podjęciem takiej decyzji, ale zdrowy rozsądek, kiedyś już postąpiła rozsądnie i kosztowało ją to czterdzieści lat życia bez Davida. Nie zamierzała powtarzać tego błędu.

– Tak – odrzekła po prostu.

David był pewien, że będzie musiał ją przekonywać, i ta szybka zgoda zupełnie go zaskoczyła.

– Naprawdę? – powtórzył z niedowierzaniem.

Ona kiwnęła głową.

– Tak po prostu? Nie mając pewności, czy...

Położyła dłoń na jego ustach, uciszając go.

– Nie mów tego głośno. Nie nadawaj słowom mocy, David. Zrób to, co musisz zrobić, i wróć do mnie, gdy już będzie po wszystkim.

– Och, Boże – westchnął – obiecuję, że nie będziesz tego żałować.

– Za pierwszym razem powiedziałam ci „nie”, i żałowałam tego przez czterdzieści lat. Nie zamierzam powtarzać drugi raz tego samego błędu.

David mocno pocałował ją w usta. Kierowca mijającego ich samochodu głośno zatrąbił.

– Kto to był? – zapytał David.

Cara westchnęła.

– Hm, nie jestem pewna, ale wyglądało to jak samochód Harolda Beltona.

– Szybki Harold? – uśmiechnął się David.

– Ten sam. I zetrzyj sobie z twarzy ten zadowolony uśmieszek.

David wrzucił bieg i wyjechał na drogę.

– Wcale nie miałem zadowolonego uśmieszku.

– Owszem, miałeś.

– To było raczej...

– Uśmiechałeś się z satysfakcją, David. Miej odwagę przyznać się do tego.

Zerknął na nią z ukosa, z błyskiem w oku i szerokim uśmiechem. W tym momencie Cara znów zobaczyła w nim młodego chłopca.

– Niech ci będzie. Uśmiechałem się z satysfakcją – oświadczył.

– Dziękuję ci za uczciwość.

– Uśmiechałem się z satysfakcją, ponieważ ja cię zdobyłem, a nie on.

– To prawda – przyznała Cara. – Ale miałeś przewagę na starcie.

– Masz na myśli Bethany?

– Nie. Płaski brzuch i zbijający z nóg pocałunek.

David uśmiechnął się jeszcze szerzej. Po chwili zatrzymał się przed supermarketem, ale nie zgasił silnika.

– Nie wchodzisz? – zdziwiła się Cara.

– Na razie nie. Muszę jeszcze coś załatwić. To nie potrwa długo. Wrócę, zanim skończysz z zakupami, dobrze?

– W porządku. Znajdziesz mnie w sklepie. Muszę kupić trochę jedzenia. Chcę przygotować w niedzielę odświętną kolację dla Bethany i jej rodziny. – Jej twarz rozjaśniła się. – Och, David, ona będzie taka szczęśliwa, gdy cię pozna...

W niedzielę. W niedzielę już go tu nie będzie. Niech to diabli. Musi powiedzieć o tym Carze... ale jeszcze nie teraz.

– Znajdę cię – obiecał.

Kiwnęła głową i wysiadła z samochodu. David patrzył za nią przez chwilę, a potem zawrócił i dotarł do głównej ulicy. Przypominał sobie, że gdzieś tu był sklep jubilera. Tym razem nie zamierzał zostawić Cary bez pierścionka.

W dziesięć minut później Cara nadal była w pierwszej alejce. Gdy dotarła do końca i skręciła w następną, usłyszała jakieś zamieszanie przy drzwiach.

Pamiętała, że znajdowała się tam sterta puszek, pomyślała więc, że puszki zapewne się rozsypały i nie zwracała więcej uwagi na hałas.

Naraz jednak usłyszała kobiecy krzyk i płacz. Obawiając się, że zdarzył się jakiś wypadek, pobiegła w tamtą stronę. Ale to nie był wypadek. Wyszła spomiędzy półek i znalazła się naprzeciwko trzech uzbrojonych mężczyzn. To był napad na sklep!

Instynktownie obróciła się na pięcie, rzucając się do ucieczki, ale jeden z mężczyzn złapał ją za rękę i pociągnął do grupy klientów stojących z boku.

– Idź tam i nie wrzeszcz – usłyszała.

– Au – jęknęła, bo napastnik wykręcał jej rękę.

– Zamknij się, kobieto, bo jak nie, to dopiero wtedy będziesz miała powód do płaczu.

Cara posłusznie podeszła do grupy zakładników, chociaż realność sytuacji jeszcze do niej nie docierała. Napastnicy przetrząsali kasy w poszukiwaniu pieniędzy. Dopiero gdy jeden z nich przystawił pistolet do twarzy kierownika sklepu, domagając się otwarcia sejfu, zrozumiała, że to ci sami ludzie, o których niespełna godzinę wcześniej słyszała w telewizyjnych wiadomościach.

Niespokojnie popatrzyła za okno, modląc się, by David wrócił jak najszybciej. To była dla nich wszystkich jedyna nadzieja ocalenia.

– Ruszcie się! – wykrzyknął nagle jeden z rabusiów i dwaj pozostali z bronią w ręku spędzili zakładników na zaplecze.

Panika Cary rosła z chwili na chwilę. Boże, modliła się w duchu, nie pozwól mi zginąć.

David rzucił na ladę kartę kredytową i uśmiechnął się do siebie, patrząc na aksamitne pudełeczko, które jubiler właśnie wkładał do papierowej torebki. To był bez wątpienia najważniejszy zakup, jakiego kiedykolwiek dokonał. Decyzja zajęła mu niecałe dziesięć minut.

– Myślę, że dama będzie zadowolona z wyboru – powiedział jubiler, oddając mu kartę.

– Ja też tak myślę – odrzekł David i szybko wyszedł ze sklepu.

Wsiadając do samochodu nadal się uśmiechał, ale w drodze do supermarketu ogarnęło go dziwne przecucie. Nie wiadomo dlaczego poczuł, że musi się śpieszyć. Dobrze znał to uczucie, ale nie miał pojęcia, jaka tym razem jest jego przyczyna. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy zatrzymał się na parkingu i wysiadł.

Drzwi do supermarketu były zamknięte. Ze zmarszczonymi brwiami David przyłożył dłoń do szyby i zajrzał do środka. Szuflady kas fiskalnych były otwarte, a w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Wrócił do samochodu i zabrał z bagażnika wytrych oraz pistolet. Obok niego zatrzymał się drugi samochód. W środku siedziała kobieta.

– Czy ma pani telefon komórkowy? – zapytał ją David.

W milczeniu kiwnęła głową.

– To proszę zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Sklep został napadnięty.

Kobieta kątem oka zerknęła na pistolet w jego ręku, a potem na jego twarz.

– To nie ja – rzucił David niecierpliwie. – Drzwi są zamknięte, a kasy fiskalne otwarte. Spróbuję się tam dostać, ale potrzebuję pomocy, rozumie pani?

Kiwnęła głową z wyraźnym przerażeniem na twarzy.

– Proszę wezwać policję, a potem niech pani ustawi samochód przy wjeździe na parking i nie wpuszcza tu nikogo, rozumie pani? Nie potrzebujemy tu gapiów, którzy mogliby stać się ofiarami bandytów.

– Nie! Och, mój Boże! Nie mogę uwierzyć...

– Niech pani dzwoni i wyjedzie stąd jak najszybciej! – zawołał David i pobiegł do drzwi. Nie myśląc na razie o tym, co zastanie w środku, wsunął wytrych do szczeliny zamka. Po kilku zręcznych ruchach drzwi ustąpiły. David cicho wsunął się do sklepu.

Stał przy ścianie z pistoletem w ręku i nasłuchiwał jakichś odgłosów, ale w budynku panowała przerażająca cisza. W końcu usłyszał jakiś okrzyk na drugim końcu sklepu. Przymknął oczy i odtworzył w pamięci układ piętra.

– Do diabła, Travis, zamknij gębę tej babie albo ja to zrobię – wrzasnął jeden z napastników, Darryl Wayne, i w następnej chwili w stronę zakładników poleciała puszką groszku. Cara zdążyła się uchylić i osłonić głowę rękami. Puszką przeleciała obok jej ucha i trafiła w głowę jednej z kasjerek. Dziewczyna osunęła się na podłogę, tracąc przytomność. Cara przykucnęła obok niej i spróbowała zatamować krew z rozciętej głowy brzegiem bawełnianej koszulki.

– Kazałem ci się nie ruszać! – warknął ten sam

niski mężczyzna i z całej siły uderzył ją w twarz.

Z bólu łzy napłynęły jej do oczu. Policzek pulsował. Podniosła na napastnika błagalne spojrzenie.

– Proszę, czy mogę się nią zająć? Głowa... to bardzo krwawi.

Darryl chwycił ją za włosy i szarpnięciem postawił na nogi

– Patrz na mnie!

Patrzyła, sparaliżowana strachem.

– Widzisz mnie? Słyszysz, co mówię?

Kiwnęła głową i skrzywiła się, gdy znów mocno szarpnął ją za włosy.

– Mówię ci po raz ostatni, że masz się nie ruszać. Rozumiesz to?

Znów kiwnęła głową. Napastnik popchnął ją tak mocno, że upadła na podłogę obok nieprzytomnej dziewczyny. W tej pozycji widziała, co się dzieje za uchylonymi drzwiami biura. Trzeci z bandytów trzymał pistolet przy głowie kierownika, który otwierał sejf. Teraz już Cara była zupełnie pewna, że to ostatni dzień jej życia. Po otwarciu sejfu zakładnicy nie byli już do niczego potrzebni. David, gdzie jesteś? – zastanawiała się rozpaczliwie.

– Szybciej z tym sejfem! – krzyknął Darryl. – Nie będziemy tu siedzieć przez cały dzień!

Trzeci z bandytów stanął w progu biura.

– On mówi, że nie może otworzyć tego sejfu

– Bzdury! – zirytował się Darryl. Obrócił się w stronę zakładników i strzelił do najbliższej osoby. Była to żona pastora metodystów. Kula przeszła jej ramię na wylot i odbiła się rykoszetem od betonowej

ściany. Kobieta upadła, nie wydając żadnego dźwięku.

– Jedna z głowy. Zostało jeszcze dziesięć – oświadczył Darryll. – A teraz zobaczymy, jak szybko uda mu się otworzyć ten sejf.

Trzeci z bandytów znów się cofnął do biura. Wśród zakładników zapanowało przerażone milczenie. Nikt nie ośmielił się choćby podnieść wzroku z obawy, by nie stać się następną ofiarą. A ponieważ wszyscy mieli pochylone głowy, nikt nie zauważył mężczyzny, który po cichu wsunął się do magazynu i błyskawicznie skrył się za stertą drewnianych palet.

Żołądek podchodził Davidowi do gardła. Był już o pół metra od drzwi, gdy usłyszał strzał, i choć wiedział, że zakładników na pewno jest więcej, oblał go zimny pot i zaczął się modlić w duchu, by to nie była Cara.

W chwilę później ostrożnie zajrzał do środka przez półotwarte drzwi. Naliczył jedenaścioro zakładników, w tym dwie osoby leżały na podłodze – nieprzytomne, być może martwe. Zauważył czubek głowy Cary i w duchu szybko odmówił modlitwę dziękczynną.

Wsunął się do magazynu i korzystając z tego, że dwaj uzbrojeni napastnicy byli zwróceny do niego plecami, szybko ukrył się za stosem palet. Bandyci rozmawiali z trzecim, który zapewne znajdował się w biurze po sąsiedzku. David zerknął na jego zegarek, próbując oszacować, ile ma czasu, zanim przed sklepem rozlegnie się dźwięk policyjnych syren. Obliczył, że o ile policja pojawi się od razu, to pozostały mu

jakieś cztery minuty.

Naraz w jego polu widzenia pojawił się trzeci napastnik. Prowadził przed sobą jakiegoś mężczyznę, trzymając go na muszce. David zastygł. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć pleców bandyty.

– Gotowe! – powiedział ten, który właśnie wszedł.
– A teraz wynośmy się stąd.

David wstrzymał oddech. Gdyby tak zrobili, byłoby to najbezpieczniejsze dla wszystkich wyjście. Niestety, jego krępy kolega, który sprawiał wrażenie przywódcy, miał inny pomysł.

– Żadnych świadków – pokręcił głową i spokojnie wycelował pistolet w stronę najbliższej stojącej osoby. Ku przerażeniu Davida, była to Cara. Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

Wycelował pięścią w tył głowy najbliższego bandyty i pochwycił go, zanim ten upadł, a potem, zasłaniając się nim jak tarczą, wziął na cel pozostałych. Rozległy się dwa szybkie wystrzały. Ten niski i krępy upadł pierwszy, a zaraz po nim drugi.

Przez chwilę panowała śmiertelna cisza, a potem wybuchła wrzawa. Kilka osób rzuciło się do wyjścia. David zatrzymał ich okrzykiem.

– Zaczekajcie!

Wszyscy zastygli w miejscu.

David odnalazł wzrokiem Carę, która klęczała obok jednej z ofiar, próbując zatamować krew lejącą się z rany na ramieniu.

– Cara!

Podniosła na niego wzrok. Oczy miała pełne łez, ale David zauważył, że była cała i zdrowa. Jednym

ruchem ściągnął koszulkę przez głowę i rzucił jej.

– Zrób opatrunek uciskowy. Policja już tu jedzie.

Jeden z magazynierów również podał jej swoją koszulkę. Cara skinęła głową, złożyła je razem i przycisnęła do rany po obu stronach ramienia. Druga z ofiar zaczęła już odzyskiwać przytomność. David rozpoznał w niej kasjerkę, z którą żartował poprzedniego dnia.

– Zajmijcie się nią także – powiedział i natychmiast kilka osób pochyliło się nad leżącą dziewczyną.

David skinął na menedżera.

– Słysząc już syreny. Niech pan pójdzie do wejścia i wytłumaczy policji, że sytuacja została opanowana i wszystko jest pod kontrolą.

Mężczyzna skinął głową i wciąż roztrzęsiony, nie mogąc uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło, pobiegł przez sklep.

Bandyta, którego David uderzył najpierw, leżał na podłodze i jęczał. David znalazł na półce rolkę wzmocnionej taśmy klejącej i szybko skrępował mu ręce i nogi, a potem upewnił się, czy dwaj pozostali nie żyją. Dopiero potem podszedł do Cary i przyklęknął obok niej. Podniosła na niego wzrok.

– Wiedziałam, że się pojawisz..

Objął jej twarz dłońmi i szybko pocałował.

– Pomogę ci – powiedział cicho i pochylił się nad żoną pastora. Cara zakotłosała się na piętach i zaczęła płakać.

– Już wszystko dobrze, skarbie – powiedział David cicho, sprawdzając ranę na ramieniu kobiety. Kula przeszła na wylot, ale na szczęście nie uszkodziła żadnego ważnego organu. Uspokojony David założył

z powrotem prowizoryczny opatrunek i czekał.

Tymczasem kasjerka, która już odzyskała przytomność, podniosła głowę i rozejrzała się dokoła, oszołomiona. Zatrzymała wzrok na twarzy Cary, a potem dostrzegła krew na sukience żony pastora i wybuchnęła płaczem.

– Hej! – zawołał David szybko. – Spójrz na mnie!

Zamrugła powiekami i na jej twarzy pojawił się błysk rozpoznania.

– Znam pana – szepnęła. – To pan jest tym nowym mieszkańcem.

– I całe szczęście – westchnął któryś z zakładników. – Gdyby nie pan, oni by nas wszystkich pozabijali. To pan nas uratował.

– Och – jęknęła dziewczyna i przymknęła oczy.

– Niedobrze ci? – zapytał David.

Skinęła głową.

– Schyl głowę między kolana – doradził i skinął na stojącego obok chłopaka z obsługi sklepu. – Czy macie tu maszynę do robienia lodu?

– Tak.

– Weź plastikową torebkę, napełnij ją lodem i przyłóż jej do głowy. – Spojrzał na Carę i dodał: – Przynieś dwie torebki, drugą dla pani Justice.

Cara chciała mu podziękować, ale obawiała się, że jeśli otworzy usta, to wybuchnie niepowstrzymanym krzykiem. Zaczynała już odczuwać opóźnione skutki szoku. Gdy chłopak wsunął jej do rąk zimną, mokrą plastikową torbę, w milczeniu przyłożyła ją do twarzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W chwilę później usłyszeli krzyki przed budynkiem i odgłosy biegnących stóp. Nagle magazyn na zapleczu wypełnił się umundurowanymi policjantami i ratownikami pogotowia.

– Tutaj! – zawołał David. – Ta kobieta jest w najgorszym stanie. Kula przeszła na wylot przez ramię. Nie ma komplikacji, ale straciła dużo krwi. – Następnie wskazał ruchem głowy na kasjerkę, która wciąż trzymała przy głowie torbę z lodem. – A ona została uderzona w głowę i straciła przytomność. Może mieć wstrząs mózgu.

Jeden z ratowników wskazał dwa ciała na podłodze.

– A ci dwaj?

– Ci są martwi, choć zasłużyli sobie na gorszy los – mruknął David i odszedł na bok, żeby im nie przeszkadzać. Podeszedł do Cary i objął ją mocno. Nadal ścisnęła w ręku torbę z resztkami lodu. Zimny plastik dotykał pleców Davida, ale on nie protestował.

– Wszystko już dobrze, kochanie – powiedział, gładząc ją po plecach. – Już po wszystkim. – Uratowałeś nas, David. Uratowałeś nas wszystkich – po-

wtarzała.

– To prawda. Niech pana Bóg błogosławi – powiedział jeden z zakładników, klepiąc go po ramieniu.

Jeden po drugim, zakładnicy podchodzili i dziękowali mu, ściskali, a niektórzy tylko go dotykali i odchodzili w milczeniu. Gdy David miał nadzieję, że już po wszystkim, na scenie pojawiła się następna grupa policjantów, tym razem po cywilnemu. Westchnął głęboko. Detektywi. Teraz zacznie się przesłuchanie. Ale co miał mówić? Wolałby nie ujawniać swojej tożsamości, ale wydawało się to niemożliwe, tym bardziej, że pozostawił przy życiu tylko jednego przestępcę.

– Więc gdzie jest ten Rambo, o którym wszyscy mówią? – dopytywał się jeden z detektywów.

– To on, Robert! To jest ten mężczyzna, który kazał mi zadzwonić na policję.

David obejrzał się i rozpoznał kobietę z parkingu, a potem popatrzył na Carę. Twarz miała spuchniętą po uderzeniu i nadal drżała na całym ciele. Trzeba było zabrać ją stąd jak najszybciej.

Detektyw spojrzał najpierw na Davida, a potem na kobietę w jego ramionach i na jego twarzy odbiło się zaskoczenie.

– Pani Justice, czy to naprawdę pani?

Cara podniosła na niego wzrok.

– Och, Robert! Właściwie nie powinnam się dziwić, że cię tu widzę, ale to wszystko wydaje się tak nierzeczywiste... Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Gdyby nie David, nikt z nas by już nie żył. David, kochanie, to jest Robert... och, przepraszam

cię, Robert. Zapomniałam, że wy wszyscy już dorośliście. Teraz to już detektyw Foster, kolega z dzieciństwa mojego syna Tylera.

David uściskał wyciągniętą dłoń.

– Detektyw – powtórzył.

– Opowie mi pan, co tu zaszło? – zapytał Foster, zastanawiając się, dlaczego David jest nagi od pasa w górę. W tej samej chwili jednak zauważył zakrwawioną koszulkę na podłodze, gdzie rzucił ją jeden z ratowników. – To pańska koszulka?

David jednak bardziej przejmował się stanem Cary niż własną odzieżą.

– Czy możemy gdzieś usiąść? Cara jest w szoku.

– Nic mi nie jest – wyjąkała Cara, ale gdy spróbowała przejść parę kroków, nogi ugięły się pod nią. David podtrzymał ją w porę.

– Czy on na pewno nic ci nie zrobił?

Potrząsnęła głową.

– Tylko uderzył mnie w twarz. To nic w porównaniu z raną Margie... – Naraz wybuchnęła szlochem: – Mój Boże, mój Boże... Myślałam, że nas pozabijają...

David podprowadził ją do sterty skrzynek i posadził, a sam usiadł obok i znów ją objął.

– Powinien ją zbadać lekarz – zauważył Foster.

– Nie trzeba – wymamrotała Cara. – Nie jestem ranna, tylko strasznie się przestraszyłam.

– Ale może jakiś środek nasenny...

– Nie potrzebuję niczego. Wystarczy mi David.

– Czy mógłby pan to załatwić jak najszybciej? – zwrócił się David do Fostera. – Jeśli są jakieś szczegóły, które można ustalić później, to może pan

podjechać do domu Cary. Będę tam jeszcze jutro.

– Wyjeżdża pan z miasta? – zapytał Foster.

David poczuł, że Cara sztywnieje w jego rękach, ale nie było sensu zaprzeczać.

– Tak, ale tylko na kilka dni.

– W takim razie proszę mi krótko opowiedzieć, jak to się stało, że się pan tu znalazł?

David pokrótce przebiegł przez wydarzenia aż do momentu, gdy znalazł się na zapleczu.

– Ten niski, krępy postrzelił już jedną osobę, a jedną pozbawił przytomności. Kiedy powiedział, że nie chce zostawiać żadnych świadków i zwrócił pistolet na Carę, pozbyłem się wszelkich oporów.

– Rozumiem – powiedział Foster, obracając w rękach pistolet Davida. – Musi pan być dobrym strzelcem.

– Tak.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego pistoletu. Skąd pan go ma?

David zawahał się.

– Bo to jedyny taki egzemplarz.

Foster zauważył, że David odpowiedział tylko na połowę pytania.

– Prototyp?

David kiwnął głową.

– Ciekawe. Skąd pan go wziął? Sam pan to zaprojektował?

– Nie, ja nie jestem taki zdolny.

– Nie sądzę, żeby pan go ukradł? Nie chciałbym usłyszeć czegoś takiego, szczególnie że stał się pan bohaterem dnia.

David westchnął.

– Nie ukradłem tego pistoletu. Niech pan wprowadzi do komputera numer seryjny razem z numerem mojego prawa jazdy, a wszystko się wyjaśni.

– To mi wystarczy – stwierdził Foster.

– Czy możemy już pójść do domu? – zapytała Cara. Foster niechętnie skinął głową.

– Sprawdzę numery pistoletu i wpadnę do domu pani Justice dzisiaj wieczorem, w porządku?

– Będę tam – potwierdził David.

Na parkingu panowało zamieszanie. Karetki podjeżdżały i odjeżdżały, a sądząc po ilości policji, ściągnięto posiłki z całego stanu. Niektórzy byli po cywilnemu, ale na równi z umundurowanymi robili, co mogli, by utrzymać gapiów w bezpiecznej odległości.

Na widok Davida i Cary z tłumu rozległy się oklaski. Oczywiście nowiny o bohaterskim wyczynie Davida rozniosły się już po mieście. Na widok ekipy telewizyjnej, która właśnie wypakowywała sprzęt, David nisko pochylił głowę i pociągnął Carę za rękę do samochodu.

– Pośpieszmy się, zanim zaczną nas filmować.

Cara spojrzała na niego zaskoczona i dopiero po chwili zrozumiała, jakie konsekwencje może mieć jego wyczyn. Na całym świecie nikt nie rozpoznałby w nim Jonasza – nikt oprócz Franka, który z pewnością poznałby twarz własnego brata.

Dzięki pomocy kilku policjantów szybko usunięto radiowóz blokujący wyjazd i David ruszył. Szybko wyjechał z miasta i dopiero wtedy odetchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu, już po wszystkim – szepnęła Cara,

przymykając oczy.

David zerknął na nią i powstrzymał się od komentarza. Najwyraźniej Cara nie zdawała sobie sprawy, że zamieszanie dopiero się zaczyna. Dobrze wiedział, że w chwili, gdy Foster wprowadzi numery seryjne pistoletu do systemu NCIC, w Waszyngtonie rozdzwonią się dzwonki alarmowe. No i pozostawał jeszcze Frank. David nie mógł już liczyć na anonimowość. Musiał pozostawić jakiś trop, który odciągnąłby jego brata jak najdalej od Cary.

W chwilę później zatrzymali się przed domem. Cara zatoczyła się w drzwiach samochodu i pomimo jej protestów, David zaniósł ją do domu na rękach. Zaraz za progiem rozszłochała się głośno.

– Wszystko w porządku, kochanie – powtarzał jej David czule. – Płacz, ile chcesz. Masz do tego pełne prawo. Sam parę razy miałem ochotę się rozplakać.

Posadził ją na łóżku i pomógł jej zdjąć zakrwawione ubranie, a potem obejrzał z bliska posiniaczony policzek i skrzywił się.

– Sukinsyn. Gdybym mógł, to zabiłbym go jeszcze raz.

Westchnęła i oparła czoło o jego czoło.

– Och, David, gdybyś nie przyjechał na czas, już by mnie tu nie było!

– Nie rób tego! – powiedział David stanowczo. – Nie zadręczaj się takimi myślami, bo zwariujesz!

Zarzuciła mu ręce na szyję i uściśnęła go mocno.

– Wcześniej nie mogłam myśleć spokojnie o tym, co nasz rząd z tobą zrobił, ale dzisiaj...

David zrozumiał, co chciała powiedzieć. Ponieważ

potrafił zabijać, udało mu się uratować życie wielu ludzi.

– Zdejmij wreszcie resztę tych zakrwawionych rzeczy. Poradzisz sobie sama pod prysznicem czy wolisz wziąć kąpiel?

– Wolę prysznic. Daję słowo, że nie upadnę – oświadczyła Cara, zdejmując ostatnią część ubrania. Rzuciła wszystko na stertę na podłodze i kopnęła na bok.

– Wyrzuć to.

– Wszystko? – upewnił się David.

Kiwnęła głową. – Nie chcę już nigdy zakładać tych ubrań.

David zebrał je z podłogi i poszedł do drzwi, ale zawahał się w progu.

– Cara?

– Co?

– Ubrania można uprać.

– Ale ja...

Zauważyła na jego twarzy rozpacz i naraz zrozumiała. David miał krew nie tylko na ubraniu, ale również na rękach. Zmusiła się do uśmiechu.

– Masz rację. Za mocno zareagowałam. Poza tym to są moje ulubione spodnie. Mógłbyś je namoczyć w zimnej wodzie?

Na jego twarzy pojawił się rzadki uśmiech aprobaty.

Telefon zadzwonił, gdy jedli przygotowane przez Davida kanapki. Cara podniosła na niego wzrok.

– Chcesz, żebym odebrał? – zapytał.

Westchnęła. Nie było sensu uciekać przed czymś, z czym w końcu i tak będzie musiała się zmierzyć.

– Nie, odbiorę sama, ale w każdym razie dziękuję.

Podniosła słuchawkę, spojrzała na identyfikację dzwoniącego i przewróciła oczami.

– Słucham.

– Boże, Cara, właśnie usłyszeliśmy...

– Cześć, Debra. Zdaje się, że wiadomości szybko się rozchodzą.

– Chyba nie mówisz poważnie? Nie chodzi o plotki! Cała historia jest w telewizji.

– Teraz?

– Właśnie w tej chwili.

– Telewizor – szepnęła Cara do Davida. – Debra mówi, że w wiadomościach jest relacja.

David pobiegł do salonu, a Cara poszła za nim ze słuchawką w ręku. Ku wielkiej konsternacji ich obojga okazało się, że nie chodziło o lokalne wiadomości, ale o ogólnokrajowy dziennik. Właśnie nadawano relację na żywo sprzed supermarketu. Policja nadal otaczała parking. Cara szybko skończyła rozmowę i usiadła obok Davida na kanapie.

– Dla ciebie to chyba nic dobrego? – zauważyła.

– Nie zdążyli nas sfilmować. Wszystko powinno być w porządku.

W tym momencie w relacji padło jego nazwisko.

– Och, nie – jęknęła Cara.

Twarz Davida pociemniała. Ona miała rację. To nie wróżyło nic dobrego. Chociaż w Stanach Zjednoczonych najprawdopodobniej żyły tysiące Davidów Wilsonów, zapewne niewielu z nich potrafiłoby

w pojedynkę uwolnić jedenastu zakładników. Chwała treningom w SPEAR i żegnajcie, marzenia o anonimowości.

W niecałe dziesięć minut później telefon znów zadzwonił. Tym razem Cara podała mu słuchawkę z błagalnym wyrazem twarzy. David przyjął ją niechętnie.

– Mogłabyś go zwyczajnie wyłączyć z sieci – powiedział.

– Proszę? – zdziwiła się.

Uśmiechnął się i nacisnął guzik.

– Dom pani Justice.

– Czy to David?

David wstrzymał oddech. Słyszał ten głos tylko raz w życiu, ale to wystarczyło, by jego brzmienie wryło się w jego pamięci równie mocno jak twarz Cary.

– Bethany?

– Tak! Przed chwilą usłyszeliśmy w wiadomościach o napadzie na supermarket w Chiltingham.

– My też – odrzekł David. – Daję ci mamę.

– Dzięki. Aha, David...

– Tak?

– Miło było z tobą rozmawiać.

– Mnie też było miło – odpowiedział ze szczęśliwym uśmiechem. Oddał telefon Carze i chciał odejść, by mogła porozmawiać z córką bez asysty, ona jednak przytrzymała go za rękę.

– Bethany, kochanie, co u ciebie słyhać?

– Wszystko w najlepszym porządku, ale musiałam zadzwonić. To strasznie dziwne wrażenie, zobaczyć nasze miasteczko w wieczornych wiadomościach. Mó-

wili, że ktoś został postrzelony. Czy wiesz, kto?

– Margie Weller, żona pastora metodystów.

Bethany wstrzymała oddech.

– Ależ to okropne! Czy jest poważnie ranna? Wyzdrowieje?

– Tak. Bardzo się o nią obawialiśmy, ale zoperowano ją i prognozy są dobre.

– Chwała Bogu – ucieszyła się Bethany. – Jak to nigdy nic nie wiadomo. Kto mógłby przypuszczać, że coś takiego wydarzy się akurat u nas, prawda?

– Prawda – westchnęła Cara.

– Mówili, że tam było jedenastu zakładników i że jakiś facet o nazwisku Wilson uratował wszystkich.

– Tak – potwierdziła Cara krótko. Bardzo chciała powiedzieć Bethany, że to jej ojciec był bohaterem dnia, ale nie mogła tego zrobić przez telefon.

– Czy to jakiś nowy policjant?

– On nie jest policjantem.

W słuchawce zapadło krótkie milczenie i nagle rozmowa przybrała charakter przesłuchania.

– Mamo, czuję, że jest coś, czego mi nie chcesz powiedzieć.

Cara westchnęła.

– Wszystko jest w porządku. Porozmawiamy, kiedy wrócisz do domu.

– Mamo! Proszę, nie mów mi tylko, że ty też tam byłaś!

Wahanie Cary omal nie doprowadziło jej córki do hysterii. Bethany zaczęła krzyczeć coś do męża. Cara napotkała wzrok Davida i przewróciła oczami.

– A czego się spodziewałaś? – zapytał ją spokojnie.

– Skarbie, taka wiadomość wystraszyłaby każdego.

– Chyba tak – przyznała Cara niechętnie i znów przyłożyła słuchawkę do ucha. – Tak, kochanie, jestem tutaj. Skończyłaś już krzyczeć?

Teraz dla odmiany Bethany płakała.

– Boże drogi, mamó, czy nic ci się nie stało?

– Absolutnie nic.

– Nie mogę w to uwierzyć!

Cara próbowała się roześmiać, ale nawet dla niej nie brzmiało to przekonująco.

– Wiem, jak się czujesz. Nawet nam trudno uwierzyć, że tam byliśmy.

– W słuchawce znów zaległa cisza. W końcu Bethany zapytała:

– On też tam był?

– Przypuszczam, że masz na myśli Davida? Tak, on też tam był. Właściwie, jest teraz bohaterem dnia w Chiltingham. Nie byłabym zaskoczona, gdyby nazwali jego imieniem jakąś ulicę.

Teraz z kolei David przewrócił oczami.

– To on jest tym człowiekiem, o którym mówili w wiadomościach... tym, który uratował was wszystkich?

– Tak.

– Chcę z nim porozmawiać – oświadczyła Bethany.

– Chwileczkę. – Cara zakryła słuchawkę dłonią i spojrzała na Davida. – Ona chce z tobą rozmawiać.

Skinął głową, zbierając wszystkie siły, by pohamować emocje.

– Bethany, daję ci słowo, że twoja mama jest cała

i zdrowa.

W Nie odpowiedziała od razu. Wydawało mu się, że usłyszał płacz.

– Bethany... jesteś tam?

– David, kimkolwiek jesteś, chcę cię z całego serca przeprosić za wszystko, co o tobie wcześniej myślałam. Nigdy nie będę w stanie wystarczająco ci podziękować za to, że ocaliłeś życie mamy.

– Nie ma za co – powiedział cicho i usłyszał jej westchnienie.

– Chcę cię przeprosić – powtórzyła jeszcze raz.

– Za co? – uśmiechnął się.

– Bo uważałam cię za jakiegoś naciągacza, któremu chodzi o pieniądze mamy. Nie jest bogata, ale ma dom i emeryturę po tacie, więc... sam rozumiesz.

Bolało go, gdy słyszał z jej ust. słowo „tato,, i widział, że chodzi o Raya Justice’a, ale cóż. Ray zasłużył sobie na ten tytuł.

– Rozumiem i nic mnie nie obchodzi to, że twoja mama nie ma dużo pieniędzy, bo ja je mam. W porządku?

Cara szeroko otworzyła oczy.

– Co ona mówi, do licha?

– Myślała, że jestem naciągaczem, który dybie na twoje pieniądze – odszepnął David.

– Och, słowo daję – zirytowała się. – Daj mi ten telefon.

Wyszarpnęła słuchawkę z ręki Davida i zawołała donośnie:

– Posłuchaj, Bethany, może i jesteś już dorosła, ale nigdy nie będziesz na tyle dorosła, by kwestionować

moje zachowanie, zrozumiałaś?

– Tak, proszę pani.

– To pamiętaj o tym. Nie chciałabym więcej wracać do tej rozmowy.

– Wracamy do domu o dzień wcześniej – oznajmiła Bethany. – Zobaczymy się jutro po południu. Samolot ląduje na lotnisku Canandaigua około dziesiątej rano.

Cara zawahała się.

– Bardzo się cieszę, że wracacie, ale proszę, nie skracajcie sobie wakacji z mojego powodu!

– Mamo, czy naprawdę sądzisz, że moglibyśmy zapomnieć o tym wszystkim, co dzisiaj usłyszeliśmy, i dalej spokojnie się bawić? Wszyscy chcemy już wracać.

– Skoro tak, to życzę wam udanej podróży.

– Dziękuję – powiedziała Bethany i dodała: – Pożegnaj ode mnie Davida.

– Sama go pożegnaj – uśmiechnęła się Cara i David po raz kolejny wziął od niej słuchawkę.

– David, jeszcze raz bardzo ci dziękuję. I...

– Tak?

– Bardzo chcę cię poznać.

Westchnął i przymknął oczy.

– Ja też nie mogę się już doczekać, kiedy cię poznam.

– A więc ... do zobaczenia wkrótce.

– Tak, skarbie. Do zobaczenia.

Bethany rozłączyła się. David odłożył telefon i mocno objął Carę.

– Boże, chyba nigdy w życiu tak się nie bałem... może oprócz chwili, gdy ten drań wycelował pistolet

w twoją twarz. Nawet w Wietnamie. Ona ma pełne prawo mnie nienawidzić.

– Nie ma prawa nikogo nienawidzić – odrzekła Cara spokojnie. – Niczego jej w życiu nie brakowało. Była kochana od pierwszych dni życia, zarówno przez Raya, jak i przeze mnie. Miała kochających dziadków z obu stron i rodzeństwo. Od samego początku wiedziała, że Ray Justice był jej przybranym ojcem. Gdy się teraz dowie, że żyjesz, będzie to dla niej równie wielka radość jak dla mnie.

– Jesteś pewna? – zapytał David.

– Mogę przysiąc.

Uśmiechnął się z wdzięcznością do tej kobiety, która potrafiła dać mu coś, co myślał, że utracił na zawsze – nadzieję.

– Pamiętasz, dzisiaj rano... zanim pojechaliśmy do miasta...

– Chodzi ci o to, że mi się oświadczyłeś? – rozpromieniła się. – Tak, pamiętam, więc nie łudź się, że teraz możesz zmienić zdanie!

– Nie chcę zmieniać zdania, chcę się tylko upewnić, że ty go nie zmienisz.

Wyjął z kieszeni małe, obciążone aksamitem pudełeczko i przyklęknął na jedno kolano.

– Och, David – szepnęła Cara przez łzy.

– Właśnie po to poszedłem kiedy zostawiłem cię przed sklepem. Wiesz już, że muszę wyjechać, ale mam nadzieję, że nie na długo. Tak bardzo cię kocham i tyle jestem ci winien. Wojna zabrała nam tyle lat. Chcę ci teraz dać wszystko, wszystko od razu. Nie mogę zagwarantować ci przyszłości, więc na razie

będziesz musiała się zadowolić tym.

Wsunął pierścionek na jej drżące palce.

– Pasuje – zauważyła z zaskoczeniem.

– Mam dobre oko do takich rzeczy.

– Nie tylko w tym jesteś dobry – odrzekła, zarzucając mu ręce na szyję. – Nie mogę już się doczekać dnia, gdy zaczniemy życie... nasze życie.

– Ja też. Czy chcesz...

Przerwał mu dzwonek u drzwi. Cara drgnęła i spojrziała na zegar. Było już po dziewiątej. Kto mógł tu przyjść o takiej porze?

– Ja otworzę – powiedział David i wielkimi krokami poszedł do drzwi.

Na progu stał detektyw Foster, a za nim dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. David spojrzął na nich i westchnął.

– Wejdźcie, panowie. Spodziewałem się was.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Robert Foster przestąpił próg, patrząc na Davida z nieskrywaną złością. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po nieoczekiwanej konfrontacji z dwoma federalnymi agentami.

Zrobił tylko to, co należało do jego obowiązków: wprowadził numery seryjne pistoletu Davida do komputera, a potem, czekając na wyniki identyfikacji, spokojnie pracował nad raportem.

W pół godziny później dwaj obcy ludzie w garniturach weszli do jego pokoju jak do siebie, błysnęli odznakami, rzucili mu dyskietkę z kopią pliku, który osobiście przesłał przez system NCIC i zażądali, by zaprowadził ich do właściciela pistoletu.

Robert Foster czuł się jak chłopiec na posyłki. Nie powiedzieli mu nawet „dzień dobry”. W ogóle nic. Nie podobało mu się to. Absolutnie mu się to nie podobało.

Spojrzał na nich teraz ze złością i zapytał:

– Zadowoleni?

Bez słowa popatrzyli na Davida, porównując jego wygląd z opisem, jaki im przedstawiono. Nie mieli

pojęcia, kim on był, ale ponieważ otrzymali dyspozycje bezpośrednio od samego prezydenta, nie zadawali żadnych pytań. Gdy już byli pewni, że mają do czynienia z właściwą osobą, jeden z nich wystąpił naprzód i oddał Davidowi pistolet.

– Wiedział pan, że coś takiego się wydarzy, prawda? – warknął gniewnie Foster.

– O czym miałem wiedzieć? – zdziwił się David łagodnie.

Detektyw wskazał ręką na swą niechcianą eskortę.

– Że ci dwaj będą próbowali zjeść mnie na obiad.

David stłumił uśmiech.

– Oni nie gryzą – uspokoił nieszczęsnego policjanta. – W każdym razie dopóki ich o to nie poproszę.

Federalni agenci wydawali się zaskoczeni i jeszcze bardziej zaciekawieni jego osobą, ale znów się nie odezwali.

Foster wiedział, że jest na przegranej pozycji, i rozłożył ręce w geście poddania.

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi, ale chyba lepiej nie będę pytał.

– Cara mówiła, że jesteś bystry – rzekł David z aprobatą.

Foster poruszył się nerwowo.

– Jest pan kimś szczególnym, tak? – Wzruszył ramionami. – Psiakrew... Powinienem się domyślić od początku... nie każdy potrafi wejść do supermarketu i załatwić trzech uzbrojonych bandytów. Ale co chciałem powiedzieć... niech pan zabiera ten swój cholerny pistolet, i kimkolwiek pan jest, miło było pana poznać.

David wyciągnął rękę do młodego detektywa.

– Mnie również.

– David, czy wszystko w porządku?

Wszyscy mężczyźni obrócili się i spojrzeli na Carę.

– Pani Justice, mam nadzieję, że czuje się pani już lepiej? – zapytał uprzejmie Foster.

– O wiele lepiej. Nie przedstawiś mi swoich przyjaciół?

– Zrobiłbym to, gdybym tylko wiedział, jak się nazywają – mruknął policjant.

– Oni są tutaj ze względu na mnie – wyjaśnił David spokojnym, stanowczym tonem. Cara zamarła i spojrzała na niego, błagając wzrokiem, by zaprzeczył jej najgorszym obawom. Zauważył to i potrząsnął głową.

– Wszystko w porządku – powiedział.

Agenci podeszli o krok bliżej. Jeden z ich wręczył Davidowi komórkę.

– Agent federalny Thomas Ryan. A to jest agent Patrick O’Casey. Za niecałą minutę zadzwoni do pana prezydent. Mamy instrukcje, by zaczekać na pańskie rozkazy.

Cara z trudem złapała oddech. Foster szepnął tylko: – Litości.

W kilka sekund później telefon zadzwonił.

– Tak jest? – odezwał się David.

– Synu, widzę, że gdy bierzesz urlop, to nie starasz się specjalnie o dyskrecję, co?

David rozluźnił się. Oczekiwał reprimendy za angażowanie się w publiczne sprawy.

– Dokonałem wyboru i zrobiłbym to samo po raz drugi – odrzekł.

– A ja tego właśnie oczekiwałbym od ciebie. Ale

przejdźmy do ważniejszych spraw. Nasi ludzie monitorują twoją starą stację kontaktu. Otrzymałeś pocztę od obiektu.

Twarz Davida w jednej chwili straciła wszelki wyraz. Na ten widok Cara zadrżała i nieświadomie cofnęła się o krok. Miała wrażenie, że patrzy na zupełnie obcego człowieka.

– Mam nadzieję, że ta linia jest bezpieczna.

Prezydent zaśmiał się cicho.

– Tak. Możesz mówić swobodnie.

– Co jest w tych wiadomościach?

– On chce się z tobą spotkać.

David obrócił się gwałtownie, poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– Czy mógłby pan dopilnować, by przekazano mu odpowiedź?

– Chwileczkę, synu, połączę cię z kimś innym. Powiedz mu, co chcesz przekazać w odpowiedzi.

– Dziękuję panu.

W chwilę później w słuchawce odezwał się inny głos.

– Gotów do transmisji.

– Przekaż... Waszyngton D. C.

– Zrobione. Coś jeszcze?

– Nie.

Po kilku sekundach znów odezwał się prezydent.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

David pomyślał o setkach agentów, których mógł mieć do dyspozycji w każdej chwili, ale wiedział, że ich obecność nie przyniosłaby mu żadnego pożytku, mogłaby tylko wypłoszyć Franka do jakiejś kryjówki.

– Nic. Zawiadomię pana, gdy będzie już po wszys-

tkim.

Wyczuł wahanie prezydenta.

– Tylko masz mi o tym powiedzieć osobiście, rozumiesz, synu?

David uśmiechnął się, wiedząc, że te słowa oznaczają „uważaj na siebie,,.

– Oczywiście, panie prezydencie, rozumiem.

– To dobrze. Ci dwaj agenci wiedzą, że mają wypełniać wszelkie twoje polecenia. Możesz z nich skorzystać albo odesłać ich do domu, jak wolisz.

– Tak, panie prezydencie. Jeszcze raz przepraszam za zamieszanie.

– Była taka potrzeba i podjąłeś właściwą decyzję. A teraz zajmij się swoimi sprawami.

David wyłączył telefon, wrócił do salonu i oddał aparat agentowi Ryanowi.

– Dziękuję, że przyprawdziliście tu detektywa Fostera. Mam nadzieję, że bezpiecznie dotrzecie do domu.

Po raz pierwszy w zachowaniu agenta pojawił się ślad niepokoju.

– Ale czy nie chce pan...

– Nie. Ale dziękuję wam.

Agenci skinęli głowami i ignorując Fostera, uprzejmie uklonili się Carze, a potem odsunęli się na bok.

Foster zrozumiał, że wizyta dobiegła końca.

– Pani Justice, gdyby pani czegoś potrzebowała, to wie pani, gdzie mnie znaleźć – powiedział i obrócił się do Davida. – Dlaczego mam wrażenie, że powinienem życzyć panu szczęścia?

Kąciki ust. Davida skrzywiły się w uśmiechu.

– Pewnie dlatego, że szczęście bardzo mi się przyda.

W chwilę później wszyscy trzej wyszli, zostawiając Davida i Carę samych. Cara przygryzała usta, by powstrzymać się od płaczu.

– Chodź tu – powiedział David cicho.

Podeszła bliżej i przytuliła się do niego mocno.

– Nie będę płakać ani błagać cię, żebyś został, ale jeśli zginiesz, to nigdy ci tego nie wybaczę – szepnęła.

– Nie mam zamiaru ginąć, skarbie. Ten pierścionek kosztował mnie zbyt wiele. Nie pozwolę, by tyle pieniędzy poszło na marne.

– To nie jest zabawne – oburzyła się.

– Och, sam nie wiem. Mnie się chce śmiać.

Podniosła na niego wzrok.

– Jesteś zupełnym wariatem, wiesz o tym?

– Och, tak. Zwariowałem z miłości do ciebie. Może pójdziemy już się położyć? – Lekko dotknął sińców na jej twarzy. – Mam ochotę leżeć obok ciebie i patrzeć, jak śpisz.

Zamknęli drzwi, wyłączyli światła i ręka w rękę poszli do sypialni.

Gdy Cara obudziła się następnego ranka, na poduszce obok niej leżała kartka.

Nie gniewaj się, że się z tobą nie pożegnałem. Kiedyś to zrobiłem i popatrz, co z tego wyszło. Tym razem chcę ci tylko powiedzieć, że cię kocham i proszę, zaczekaj na mnie.

David.

Cara schowała twarz w dłoniach i ze zdumieniem odkryła, że policzki ma mokre od łez. Sądziła, że nie będzie mogła płakać, ale bardzo się myliła.

Gdy David i Cara kładli się spać, w innej części kraju Frank Wilson również leżał na łóżku, paląc ostatniego papierosa tego dnia. Telewizor był włączony, ale Frank nie zwracał uwagi na program. Przerzucał w myślach kolejne scenariusze wydarzeń i obmyślał niezliczone sposoby zemsty. Po kilku minutach zgasił papierosa, wyłączył telewizor, zamknął oczy i prawie natychmiast zasnął.

To był pierwszy mecz futbolowy w sezonie i Frankie był już prawie gotów do wyjścia. Miał szesnaście lat i był wysokim chłopakiem po mutacji. Do tego miał dziewczynę, a w każdym razie uważał, że ją ma. Fakt, że Ellen Mayhew nawet jeszcze nie wiedziała o jego istnieniu, był bez znaczenia. Podobała mu się, dlatego starał się przebywać jak najbliżej niej, nie zdradzając jednak swoich intencji.

Zaczesał włosy do tyłu w kaczy kuper, przyglądał pączkujące baczki i poszedł do wyjścia. W swoim przekonaniu wyglądał zupełnie jak młody Elvis.

– Frankie, masz przyprowadzić brata do domu przed dziesiątą. Jutro szkoła – przypomniała mu matka.

Frank zastygł z ręką na klamce.

– Dlaczego zawsze muszę ciągnąć za sobą tego gówniarza? Jak mam zdobyć jakichś kumpli, skoro wiecznie muszę go niańczyć?!

Davie stał przy kanapie i patrzył na brata błagalnie, obawiał się jednak, że jeśli Frank zabierze go ze sobą z przymusu, to przyjdzie mu za to gorzko zapłacić.

– Dobrze jest mieć przyjaciół – powiedziała matka – ale brat to rodzina. Braci ma się na zawsze.

Frankie spojrział na niego ze złością.

– Zabiorę cię, ale nie będziesz siedział ze mną i z moimi kolegami, rozumiesz?

Davie kiwnął głową.

– Nie będę, Frankie, obiecuję.

– I żebym nie musiał cię szukać po meczu. Masz czekać przy głównej bramie. Jasne?

Davie znów skinął głową.

– Jasne. Będę czekał.

Matka uścisnęła ich obydwu.

– No to idźcie i bawcie się dobrze, ale pamiętajcie, zaraz po meczu macie wrócić do domu. A ty, Frankie, pamiętaj, że jesteś odpowiedzialny za Davie’ego.

– Niech to diabli – mruknął Frankie, popychając brata przed sobą.

– Przepraszam, Frankie – powiedział cicho Davie.

– Obiecuję, że nie sprawię ci żadnych kłopotów.

Frankie wymamrotał pod nosem przekleństwo. Miał tylko nadzieję, że Ellen Mayhew nie zobaczy go na trybunach w towarzystwie młodszego brata.

W dwie godziny później było już po meczu i Davie stał przy głównej bramie, niespokojnie wypatrując twarzy brata. Mijały go roześmiane rodziny i grupy nastolatków, ale Franka nigdzie nie było widać. Na koniec Davie zauważył kilku nauczycieli ze swojej szkoły i ukrył się w cieniu. Nie chciał, by się dopytywali, co tu jeszcze robi o tej porze.

Zgaszono światła i z parkingu wyjechał ostatni samochód. Davie mógł pójść do domu sam, ale wiedząc, że w ten sposób ściągnąłby kłopoty na głowę Franka, czekał dalej. Uznał, że lepiej będzie, jeśli

spóźnią się obydwaj i razem poniosą karę.

Minęło pół godziny, a potem następne pół. Zaczął padać deszcz. Davie postawił kołnierz kurtki i przygarbił ramiona. Znajome zarysy stadionu w mroku przybrały złowieszczy wygląd. Budynki czaiły się groźnie jak baśniowe stwory, wciągające podróżnych w bagno pełne upiorów. Na szczęście deszcz zacierał ślady łez na jego twarzy.

– Hej, mały.

Obrócił się z duszą na ramieniu. Przed nim stał Frankie ze spłoszonym wyrazem twarzy.

– Czekałem tu, Frankie, tak jak kazałeś.

Była to jedna z nielicznych okazji w życiu Franka, gdy poczuł się naprawdę zawstydzony. Przesunął ręką po włosach młodszego brata i uściśnął go niezgrabnie.

– Wiem, że czekałeś. Przepraszam. W porządku?

Davie uśmiechnął się. Wszystko było w porządku. W domu czekała ich awantura, ale to nie miało żadnego znaczenia. Cokolwiek będzie się dziać, przejdą przez to razem.

– Co powiesz mamie? – zapytał Frankie.

– Nic.

Frankie poczuł się jeszcze gorzej.

– Na pewno będzie wściekła – zauważył.

– Wiem.

Frankie przystanął pod latarnią i w jej świetle popatrzył na strugi deszczu spływające po włosach i twarzy brata.

– Nie naskarżysz?

Davie zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Dlaczego? Ja bym chyba na ciebie naskarżył.

Davie wzruszył ramionami.
– Bo jesteś moim bratem.

Obok hotelu Chicago przemknęła karetkka na sygnale. Zdezorientowany Frank zerwał się z łóżka. Przed oczami wciąż miał twarz brata widzianą we śnie. Westchnął ciężko i skrywając twarz w dłoniach, naraz usłyszał głos matki, tak wyraźny, jakby stała tuż obok łóżka.

Jesteś odpowiedzialny za swego brata.

Nie zabijaj.

Krew nie woda.

Poderwał się z łóżka i wielkimi krokami podszedł do barku, gdzie nalał sobie bardzo mocnego drinka. Wypił jednym haustem i znowu nalał. Po chwili trunk dotarł do żołądka i chwila niepewności minęła. Frank podszedł do okna. Padał deszcz. Zbyt niespokojny, by znów zasnąć, włączył telewizor, ściszył fonię i przebiegł nieliczne dostępne mu kanały. Nie znalazł nic ciekawego, tylko CNN i parę starych filmów.

Usiadł na łóżku, wyciągnął laptop i postanowił sprawdzić wiadomości. Od czasu do czasu podnosił głowę i obojętnie zerkał na niemy ekran, na którym migwały migawki wiadomości CNN. Na ekranie komputera pojawił się sygnał o nadejściu nowej poczty. Czekał, aż wiadomości załadują się do pamięci, Frank podniósł głowę i włączył dźwięk w telewizorze. Rzecznik jakiegoś lokalnego wydziału policji wygłaszał właśnie oświadczenie dotyczące śmierci przestępców, którzy przez tydzień terroryzowali sklepy w stanie Nowy Jork. Gdy przeszedł do informacji o stanie zdrowia ofiar, z komputera rozległ się sygnał zawiada-

miający, że pobieranie wiadomości zostało zakończone. Frank znów wyłączył dźwięk w telewizorze nie zdając sobie sprawy, że gdyby tego nie zrobił, w następnej chwili usłyszałby nazwisko człowieka, który wyratował kilkanaście osób z rąk przestępców. Choć jeszcze o tym nie wiedział, los już zaczął rozdawać mu złe karty.

Przebiegł wzrokiem nagłówki wiadomości i naraz serce zamarło mu w piersiach. Szybko usunął wszystkie wiadomości oprócz jednej, otworzył ją i gdy zaczął czytać, na jego twarz wypełził zimny uśmiech.

– Masz jednak trochę charakteru, braciszku.

Na oślep sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Było wiele rzeczy do zrobienia. Musiał się spakować i poczynić pewne przygotowania. Zeskoczył z łóżka, wyciągnął z szafy walizkę

i zaczął wrzucać do niej ubrania.

O świcie, po kilku zaledwie godzinach snu, był już w drodze na lotnisko. Gdy tam dotarł, dochodziła siódma. Łagodny nocny deszcz przeszedł w burzliwą ulewę. Wstrzymano odloty i całe lotnisko pełne było sfrustrowanych, rozżłoszczonych podróżnych.

Przeklinając pogodę i ludzi w ogólności, Frank kupił sobie kawę i pączek i usiadł przy stoliku nad gazetą. Czas nadal działał na jego korzyść.

Niewielkie lotnisko Canandaigua przypominało dom wariatów. David stał przy oknach wychodzących na pas startowy i patrzył na duży, srebrny samolot, który właśnie podchodził do lądowania. Gdy koła dotknęły ziemi, poczuł, że serce zaczęło bić mu mocniej. W tym samolocie była jego córka. Po raz

pierwszy w życiu miał ją zobaczyć na własne oczy.

Głos przez interkom poinformował o wylądowaniu samolotu 447 przy bramce numer dziewięć. Stała tam już grupka ludzi oczekujących na swoich bliskich. David trzymał ją na uboczu, doskonale maskując emocje.

W kilka minut później w bramce ukazał się pierwszy z pasażerów, a za nim następni. David przesunął się w miejsce, z którego mógł widzieć wszystkie twarze. Jego niepokój rósł z chwili na chwilę. Nagle ją zobaczył. Szła obok wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, który trzymał na rękach śpiące dziecko, ona sama zaś prowadziła drugie. Miała ciemne, proste włosy sięgające ramion, była wyższa niż się spodziewał, szczupła i pełna wdzięku. Gdy się uśmiechnęła, w jej lewym policzku pojawił się dołeczek.

David odruchowo ruszył za nią, pragnąc usłyszeć jej głos. Choć dzieliło ich około tuzina innych osób, docierały do niego strzępy jej rozmowy z mężem. Obydwoje śmiali się z czegoś, co powiedziała ich starsza córka.

Boże, nie sądził, że to będzie takie trudne.

Naraz z plecaka starszej dziewczynki wypadł pluszowy królik. David przepchnął się między pasażerami, szybko chwycił maskotkę i podbiegł do Bethany.

– Przepraszam – odezwał się, dotykając jej ramienia. – To wypadło z plecaka małej.

Bethany odwróciła się z zaskoczeniem, ale na widok królika w rękach obcego człowieka uśmiechnęła się szeroko.

– Och, rzeczywiście! Bardzo dziękuję. To ulubiona zabawka Rachel. – Spojrzała na córkę i lekko

zmierzwiła jej włosy. – Rachel, na pewno chcesz podziękować panu za to, że znalazł Henry’ego?

Mała skinęła głową. David przykucnął obok niej.

– On ma na imię Henry?

Znów kiwnęła głową.

– W takim razie dobrze się stało, że zauważyłem, jak wyskakiwał z plecaka, prawda?

Wzięła królika z jego rąk, otwierając szeroko oczy.

– Naprawdę wyskoczył?

– Tak to wyglądało – pokiwał głową David. – Lepiej trzymaj go mocno.

Dziewczynka przycisnęła królika do piersi.

– Bardzo dziękujemy – powtórzyła Bethany. – Gdyby Henry zginął, to byłaby prawdziwa katastrofa.

– Nie ma za co – odrzekł David i powściągnął chęć, by dotknąć dziewczynki, skinął im głową i szybko zniknął w tłumie.

Bethany popatrzyła na męża, który nadal spoglądał w kierunku, gdzie zniknął nieznajomy.

– Wiesz, on mi kogoś przypomniał, ale nie mam pojęcia kogo – rzekł z zastanowieniem.

Jego żona wzruszyła ramionami.

– Chodź już, Tom. Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu i zadzwonić do mamy.

– Masz rację – powiedział i podszedł do karuzeli bagażowej.

Niedługo potem jechali już do domu, nic nie wiedząc o tym, że mężczyzna, którego spotkali na lotnisku, siedzi w samolocie lecącym do stolicy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez cały dzień Cara podświadomie nasłuchiwała głosu Davida, choć przecież wiedziała, że go nie ma. Od trzech lat, odkąd została wdową, nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna. Prześladował ją paraliżujący lęk o Davida. Nie potrafiła sobie wyobrazić konfrontacji, która go czekała. Własny brat chciał go zabić. Dobry Boże, myślała, ile ten człowiek będzie musiał jeszcze znieść?

Modliła się za niego bezustannie. Najgorsze było to, że mogła tylko czekać. Z frustracji zabrała się za porządki w domu i wysprzątała wszystkie pomieszczenia od dołu do góry, a gdy już wszystko lśniło, zajęła się przygotowywaniem jedzenia na powrót Bethany i jej rodziny.

Podczas sprzątanía natrafiła na kopertę ze zdjęciami zrobionymi nad jeziorem i omal nie wybuchnęła płaczem. Na widok scen z tego szczęśliwego dnia i zastanawiając się, czy to jest wszystko, co jej po nim zostanie, wybuchnęła głośnym płaczem. Znalazła kilka pustych ramek i wstawiła w nie najlepsze ujęcia, a potem ustawiła na kominku obok innych fotografii

rodziny. Dopiero wtedy poczuła pewną ulgę, jakby ta prosta czynność uwiarygodniała powrót Davida do jej życia.

W cztery godziny później Bethany pojawiła się u drzwi.

– Kochanie, jak się cieszę, że znów cię widzę – zawołała Cara, wpuszczając ją do środka.

Na widok sińca na twarzy matki w oczach Bethany zabłyśły łzy.

– Och, mamó, co oni ci zrobili!

Cara objęła ją szybko.

– Skarbie, to nie jest takie straszne, jak się wydaje.

Bethany miała czterdzieści lat i była prawie o głowę wyższa od matki, ale w tej chwili znów poczuła się jak przerażone dziecko, które o mały włos nie straciło mamy.

– Nie mogę uwierzyć, że coś takiego się wydarzyło – kręciła głową. – Na pewno nic ci nie jest? Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nic mi nie jest. Możesz wejść do środka i usiąść ze mną. Chcę usłyszeć wszystko o waszej podróży. A gdzie Tom i dziewczynki?

– Przyjdą później. Zostali w domu, żeby rozpakować bagaże, a ja już nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Cara z uśmiechem obróciła się na pięcie.

– No dobrze, widzisz mnie. Więc jak wyglądam?

Bethany zmarszczyła brwi.

– Właściwie, z wyjątkiem tego okropnego stłuczenia, wyglądasz cudownie. A gdzie jest ten David? Chcę go poznać.

Uśmiech Cary przybladł.

– Poznasz go, ale nie dzisiaj. Musiał nagle wyjechać. Ale mogę ci go pokazać na zdjęciach.

Pociągnęła córkę za rękę do salonu. Bethany ze zdumieniem stwierdziła, że jej matka ustawiła na kominku nie jedną, ale trzy fotografie nieznanego mężczyzny, a w dodatku znajdowały się one w samym środku grupy rodzinnych zdjęć.

– Robiliśmy te zdjęcia nad jeziorem w ostatni wtorek... a może to była środa? – uśmiechnęła się Cara.
– Nie pamiętam, ale bawiliśmy się wspaniale.

Bethany rzuciła okiem na fotografię i zmarszczyła brwi. Ta twarz wydała jej się znajoma. Mogłaby założyć się o swoją najlepszą parę kolczyków, że już gdzieś widziała tego mężczyznę. Nagle chwyciła matkę za rękę.

– Mamo, nie uwierzysz, ale my go spotkaliśmy!

– Kiedy? – zdumiała się Cara.

– Dzisiaj rano, na lotnisku. Henry wypadł z plecaka Rachel, kiedy wychodziliśmy z samolotu, a on go podniósł i oddał nam. Mogę przysiąc, że to był on!

Serce Cary zaczęło bić mocniej. Mogła się domyślić, że David znajdzie jakiś sposób, by zobaczyć własną córkę.

– Jesteś pewna? – zapytała jeszcze raz.

Bethany przyjrzała się uważnie dwóm innym fotografiom.

– Jestem pewna – skinęła głową i podniosła wzrok na twarz matki. – O co chodzi, mamo?

Cara zawahała się.

– Zaraz, mamo. Od początku czułam, że coś tu nie

gra. Opowiedz mi wszystko. Kim on jest? I co ci takiego zrobił, że płaczesz?

– Nazywa się David Wilson. a płaczę, bo bardzo się boję. Za pierwszym razem zostawił mnie, gdy wyjeżdżał na wojnę. – zamilkła i wzięła urywany oddech. – A teraz znów wyjechał, bo... bo dla niego wojna nigdy się nie skończyła.

Serce Bethany zaczęło bić mocniej. Słyszała słowa matki, ale nic z nich nie rozumiała. Wiedziała już wcześniej, że ten mężczyzna nazywa się David Wilson. Słyszała to nazwisko w telewizyjnych wiadomościach. Jej biologiczny ojciec także nazywał się Wilson, ale on przecież zginął w Wietnamie. Dlaczego więc matka powiedziała teraz, że ten Wilson kiedyś już ją zostawił? Bethany zaczęła drżeć.

– Mamo?

Cara wzięła ją za ręce i przycisnęła je do swojej piersi.

– Ten mężczyzna... człowiek, którego widziałas na lotnisku... i któremu zawdzięczam życie... to twój ojciec.

Bethany zatoczyła się na krzesło i wykrztusiła szeptem:

– Ale przecież mówiłaś, że on nie żyje!

– Wszyscy tak myśleliśmy.

– Gdzie... dlaczego...?

Cara westchnęła.

– To długa i okropna historia, skarbie, i to nie ja powinnam ci ją opowiedzieć. David sam ci to wyjaśni, gdy wróci.

Bethany podniosła na nią spojrzenie przepełnione

tęsknotą.

– On wróci?

– Tak, myślę, że wróci – uśmiechnęła się Cara.

– Skąd możesz być tego pewna?

Jej matka wyciągnęła rękę.

– Bo włożył mi to na palec.

Bethany spojrzała na brylant i w jej oczach znów zamigotały łzy. Cara uklękła obok niej na podłodze i objęła ją.

– Nie płacz, kochanie. To właściwie jest cud, że David i ja dostaliśmy drugą szansę na szczęście.

– Nie płaczę dlatego, że czuję się nieszczęśliwa – wyszlochała Bethany. – Po prostu płaczę, w porządku? Och, mamó, on musi wrócić!

Cara na chwilę przymknęła oczy, odpędzając od siebie lęk.

– Tak, kochanie, rozumiem, co czujesz.

– Panie i panowie, proszę zapiąć pasy i ustawić oparcia foteli w pozycji pionowej. Nasz samolot wylądzuje za kilka minut. Personel lotniska udzieli państwu informacji na temat dalszych połączeń. W Waszyngtonie jest teraz pierwsza pięć po południu. Temperatura powietrza wynosi trzydzieści jeden stopni, jest słonecznie i upalnie, wieje lekki wietrzyk z zachodu. Życzymy miłego pobytu i dziękujemy za wspólny lot.

Ignorując gadanie stewardessy, David patrzył przez okno na panoramę Waszyngtonu. Ze swego miejsca dostrzegał kilka najważniejszych punktów orientacyjnych. Zauważył białą kopułę Capitolu i za-

patrzył się na nią melancholijnie. Stolica narodu.

Gdy samolot dotknął kołami ziemi, David miał już gotowy plan. Zamierzał wysłać Frankowi kolejny e-mail i wyznaczyć mu spotkanie. A najodpowiedniejszym miejscem wydawał się pomnik bohaterów wojny wietnamskiej.

Park otaczający pomnik był duży i ryzyko, że się kogoś tam spotka w nocy, nie było wielkie. Za to znajdowało się tam mnóstwo miejsc, w których można się było ukryć i czekać, nie będąc widzianym. Nazwisko Franka również było wyryte na pomniku. David nie miał pojęcia, czy Frank je kiedykolwiek widział, rozumiał jednak, jakim piekłem musiała być dla niego świadomość, że świat uznał go za zmarłego i zapomniał. Frank zapewne czuł się jak duch: jedynym namacalnym dowodem jego istnienia na tej ziemi było nazwisko wygrawerowane na czarnym kamieniu. Prawie rok temu David położył różę pod nazwiskiem brata, a teraz wracał tu, by go zabić. Był to niewypowiedziany koszmar.

Boże, dopomóż mi, pomyślał, ale po chwili poprawił się: Boże, dopomóż nam obydwu. Gdyby tylko zdarzył się jakiś cud, gdyby Frank wyrzekł się swoich zamiarów, David byłby najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Nie musiał niczego udowadniać, ani sobie, ani Frankowi. Pragnął tylko uwolnić się od przeszłości.

Naraz ktoś położył dłoń na jego ramieniu.

– Proszę pana?

David podniósł wzrok na uśmiechniętą stewardesę.

– Tak?

– Polecono mi przekazać, że ktoś będzie na pana czekał.

Nie zaskoczyło go to.

– Dziękuję – odrzekł.

– Nie ma za co. Gdy pilot wyłączy silniki, zaprowadzę pana do drzwi kokpitu. Wsiądzie pan jako pierwszy.

Skinął głową, ignorując zaciekawione spojrzenia innych pasażerów.

W jakąś minutę później samolot zatrzymał się przed terminalem i ledwie zgasły czerwone napisy przypominające o zapinaniu pasów, stewardesa znów stanęła przy jego fotelu. David podniósł się, zabrał swoją torbę i poszedł za nią.

Z torbą na ramieniu przeszedł przez bramkę terminalu i jak spod ziemi, po obu jego stronach natychmiast wyrosło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Nie znał ich twarzy, ale wiedział, kto ich przysłał.

– Agent federalny MaCauley. Czy mogę wziąć pańską torbę? – zapytał jeden z nich i nie czekając na odpowiedź, zdjął torbę z ramienia Davida.

– Agent federalny Matthews. Proszę tędy – odezwał się drugi. – Na zewnątrz czeka samochód.

David skinął głową, nie wdając się w pogawędki. Nie miał do tego nastroju, a oni zresztą wcale tego nie oczekiwali.

Samochód sunął w stronę miasta gładko i cicho. David wyglądał przez okno, podziwiając bujne, zielone piękno otaczających Waszyngton lasów. Gdy prze-

jechali przez rzekę, jego puls przyspieszył. W końcu zbliżał się do swego przeznaczenia.

Samochód zatrzymał się na parkingu hotelu Wardman Park. Jeden z agentów otworzył przed nim drzwi, a drugi wyjął jego torbę z bagażnika.

– Wasza rola skończona – powiedział do nich David. – Dalej już poradzę sobie sam. Dziękuję wam.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedzieli z ukłonem i zniknęli równie szybko, jak wcześniej się pojawili.

W drzwiach hotelu już czekał na niego jeden z pracowników.

– Dzień dobry. Jest pan już zarejestrowany. Proszę za mną, zaprowadzę pana do pokoju.

David znał ten hotel, więc szedł nie rozglądając się na boki i obojętnie wyminął otwarty bar, ale gdy skręcili w lewo do wind, od jednego ze stolików poderwała się jakaś kobieta i pochwyliła go za rękę.

– Witaj! Dawno się nie widzieliśmy! – zawołała i wspięła się na palce, by obdarzyć go pocałunkiem. David jednak przytrzymał jej ręce i odsunął ją delikatnie, ale stanowczo.

– Przepraszam. Pomyliła mnie pani z kimś innym – powiedział i chciał odejść. Kobieta jednak nie ustępowała.

– Nie musisz się tak zachowywać. Nikomu nie zdradziłam naszej małej tajemnicy.

David zmarszczył brwi. Nie był w odpowiednim nastroju do tego rodzaju żartów.

– Nie mam pojęcia, kim pani jest, więc wybaczy pani, ale pójdę już do swojego pokoju.

– Przestań, Larry, to nie jest zabawne!

– Nie nazywam się Larry – odrzekł David, uwalniając ramię z jej uścisku.

Kobieta zmarszczyła brwi i z lekko zażenowanym wyrazem twarzy sięgnęła do torby po okulary. W chwili, gdy nałożyła je, wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił.

– Och, mój Boże, rzeczywiście! Larry ma brązowe oczy! – zachichotała. – Przepraszam za pomyłkę.

David już szedł do windy.

– Wszystko w porządku? – zapytał eskortujący go mężczyzna.

David kiwnął głową.

– Pomyliła mnie z kimś.

Patrząc na zasuwające się drzwi windy David uświadomił sobie, że kobieta zniknęła z pola jego widzenia. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy, wzruszył jednak ramionami i odpędził od siebie nieprzyjemne wrażenie.

W chwili, gdy David wchodził do swojego pokoju, nieznamoma znajdowała się w kabinie damskiej toalety i przyciskała do ucha telefon komórkowy.

– Mówi Sheila. On jest tutaj. – Przez chwilę uważnie słuchała mężczyzny na drugim końcu linii, a potem uśmiechnęła się. – Proszę bardzo. Jeśli będę mogła coś jeszcze dla ciebie zrobić... dobrze, powiedzmy, że... wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wyłączyła telefon, wyszła z hotelu, wsiadła do taksówki i na zawsze zniknęła z życia Davida.

Frank Wilson wsunął telefon do kieszeni, przeklinając pod nosem pogodę, która powodowała opóź-

nienia w lotach. Nadal siedział w Chicago na lotnisku O'Hare, a David tymczasem był już w Waszyngtonie. Wstał i podszedł do okna. Niebo nadal było pokryte czarnymi burzowymi chmurami. Od czasu do czasu rozświecilały je błyskawice.

Zniechęcony, odwrócił się od okna i zauważył, że ktoś już zajął jego miejsce. To jeszcze pogłębiło jego irytację. Mamrocząc coś do siebie, poszedł do kiosku z gazetami, kupił kilka tytułów i znalazł wolny stółek przy barze.

– Co dla pana? – zapytał barman.

– Piwo i hamburgera – odrzekł Frank i otworzył gazetę. W chwilę później barman postawił przed nim talerz. Frank należał do ludzi, którzy jedzą tylko po to, by żyć, i nie zważał, że mięso było wysuszone, a bułka zbyt miękka. Gdy hamburger rozpadł mu się w rękach, po prostu odsunął talerz i zajął się piwem.

Mężczyzna siedzący obok roześmiał się głośno i powiedział do swego kolegi coś o Brudnym Harrym. Frank zaczął nasłuchiwać i zorientował się, że jego sąsiedzi rozmawiali o ostatnich wydarzeniach w miasteczku położonym na północy stanu Nowy Jork. Przypomniał sobie, że słyszał coś o tym w wiadomościach poprzedniego wieczoru. Ale to nie samo wydarzenie przykuło jego uwagę, lecz nazwisko mężczyzny, który wyratował kilka osób z rąk bandytów. Teraz już słuchał z większą uwagą.

– Tak, to było niezłe – mówił młody mężczyzna. – Wparował do tego supermarketu z pistoletem i załatwił trzech bandytów, którzy wzięli jedenastu zakładników.

Jego przyjaciel powiedział coś, czego Frank nie dosłyszał. Za to następne zdanie sprawiło, że włosy nagle stanęły mu dęba.

– No właśnie, popatrz – mówił jego sąsiad. – Ja mam takie samo nazwisko, ale czegoś takiego na pewno bym nie zrobił. Ale teraz, Joe, opowiem ci najlepszą część. Wiesz, co powiedziała moja żona? Że gdyby wyszła za tamtego Davida Wilsona, a nie za mnie, to na pewno nie usypiałaby podczas seksu.

Obydwaj mężczyźni roześmiali się, ale Frank nawet nie zauważył żartu. Owszem, nazwisko David Wilson było dość pospolite, ale ilu Davidów Wilsonów potrafiłoby dać sobie radę z trzema uzbrojonymi bandytami i wyjść z tego nawet bez zadrapania? Tego rodzaju umiejętności nabywało się w walce – albo podczas szkolenia w jednostkach specjalnych.

Zostawił gazetę i wyszedł z baru pogrążony w myślach. Czy to możliwe? Czy David zaryzykowałby ściągnięcie na siebie takiej uwagi? I dlaczego użył przy tym swojego prawdziwego nazwiska?

W następnej chwili już znał odpowiedź. Była oczywista. David odszedł ze SPEAR. I tak musiałby to zrobić, zaważywszy na to, że jego tożsamość przestała być tajemnicą. Ale co robił w północnej części stanu Nowy Jork? Umysł Franka pracował na najwyższych obrotach. A co ja bym zrobił, gdybym wiedział, że mogę zginąć? Chciałbym się zobaczyć z Marthą.

Ta myśl była zaskakująca. Ale David nie miał żadnej Marthy. Nigdy się nie ożenił, a ich rodzice już nie żyli. O ile Frank wiedział, David nie miał żadnej bliskiej osoby.

W tym momencie zamarł, a potem powoli wziął głęboki oddech. W tym rozumowaniu był jeden słaby punkt, zawarty w słowach „o ile wiedział,.. Tu właśnie tkwił błąd. To, że Frank nie wiedział o istnieniu żadnych bliskich Davidowi osób, nie oznaczało jeszcze, że nikogo takiego nie było. Przyszło mu na myśl, że nigdy właściwie nie interesował się tą stroną życia brata. Stracił wiele czasu, by go odnaleźć, potem próbował dopaść go przez SPEAR, ale nigdy nie zbadał jego życia osobistego.

Podniósł wzrok i popatrzył bezmyślnie na ludzi wypełniających poczekalnię. Choć spieszył się na spotkanie z Davidem w Waszyngtonie, nie mógł przepuścić takiej okazji. Rozejrzał się szybko, szukając miejsca, z którego mógłby zadzwonić nie ryzykując, że ktoś podsłucha rozmowę. Nie zauważył żadnego odludnego kąta, pomyślał jednak, że ryzyko nie jest wielkie, i podszedł do budek z automatami. Gdy jedna z nich się zwolniła, wszedł do środka, wyjął z kieszeni komórkę i zastanawiał się przez chwilę, a potem szybko wybrał numer.

– Petroski, Oleje grzewcze. Mówi Pete.

– Potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co? – zapytał Pete ostrożnie.

– Coś wydarzyło się wczoraj w pewnym miasteczku na północy stanu Nowy Jork. Jakiś facet uwolnił zakładników w supermarkecie.

– Tak, słyszałem o tym. Niezły gość, co?

Frank zmarszczył czoło.

– Pewnie tak, ale nie o to chodzi. Czy twój szwagier nadal pracuje w policji w Wykomis?

– Tak, ale on się nie zgodzi na...

– Zamknij się i słuchaj, co mówię – przerwał mu Frank. – Potrzebuję tylko informacji. Chcę wiedzieć, co to za miasto i co ten David Wilson tam robił. Ile ma lat, jak wygląda i czy był tam tylko przejazdem, czy kogoś odwiedzał. Wszystko jasne?

– Jasne – odrzekł Pete. – Mogę to załatwić. Daj mi godzinę. Jak się z tobą skontaktować?

– Oddzwonię do ciebie – powiedział Frank i rozłączył się.

Znalazł wolne krzeselko przy bramce odlotów i usiadł. Teraz już opóźnienie przestało go irytować. Należało skorzystać z każdej okazji, by jeszcze bardziej uprzykrzyć Davidowi resztę życia. Siedział nieruchomo, nie spuszczać oczu z zegara na ścianie. Kiedy wskazówka minutowa w końcu obiegnęła tarczę po raz sześćdziesiąty, znów wyjął komórkę z kieszeni. Pete odpowiedział po pierwszym sygnale.

– Mów – rzucił Frank krótko.

– David Wilson, od pięćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu lat. Ciemne włosy, posiwiałe na skroniach. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, bardzo sprawny fizycznie, mówił, że jak Rambo. Przyjechał do supermarketu po jakąś kobietę, ale ona nie wychodziła, więc po nią poszedł.

– Co to za kobieta? – zapytał Frank z napięciem.

– Nazywa się Cara Justice. Podobno kiedyś miała z nim dziecko. Był u niej przez kilka dni.

Na twarz Franka wypełził powolny uśmiech.

– Jeszcze nazwa miasta.

– Chiltingham, na północ od Nowego Jorku. Naj-

bliższe lotnisko to Canandaigua.

– Twój czek przyjdzie pocztą – powiedział Frank.

Wstał i poszedł do punktu odpraw.

– Chcę zmienić bilet – powiedział.

– Ale żaden samolot jeszcze nie startuje – zdziwiła się dziewczyna.

– Wiem – odrzekł Frank, kładąc przed nią swój bilet. – Ale muszę polecieć do Canandaigua w Nowym Jorku.

– Proszę bardzo. Będzie dodatkowa opłata za...

– W porządku – przerwał jej. – Pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Samolot wylądował w Canandaigua po dziewiątej następnego ranka. Na lotnisku Frank wypożyczył samochód i już po godzinie, zaopatrzony w mapę samochodową okolicy, jechał w stronę Chiltingham. Nie miał żadnych planów; zamierzał po prostu znaleźć dom Cary Justice i dalej już działać pod wpływem impulsu.

Zaskoczył go osobliwy urok nowoangielskiego miasteczka: domki jak pudełka cukierków, pomalowane na błękitno, biało lub w pastelowych odcieniach, starannie przystrzyżone trawniki, równo przycięte żywopłoty, a w oknach skrzynki z barwnymi letnimi kwiatami. Nie potrafił sobie wyobrazić Jonaśza w takim otoczeniu. Przypomnił sobie, że przecież obydwaj wychowali się w podobnej okolicy i prychnął. Najwyraźniej jego młodszy braciszek próbował wrócić do swoich korzeni.

Zaburczało mu w brzuchu. Przypomnił sobie, że nic nie jadł od ostatniego popołudnia, zatrzymał więc samochód przy małej kafejce i wszedł do środka. Zapach smażonego bekonu i kawy jeszcze zwiększyły

jego apetyt. Usiadł w kącie i zanim zdążył sięgnąć po menu, kelnerka już przy nim stała z dzbankiem świeżej kawy. Podsunął jej filiżankę.

– Dwa jajka, bekon, wołowina i pszenny tost – wyrecytował.

– Bardzo proszę. Czy podać jakiś sok?

Frank uśmiechnął się do dziewczyny.

– Dlaczego nie? Może grejpfrutowy?

Kelnerka kiwnęła głową, wyraźnie przypatrując się bliznom na jego policzku.

– To nie jest zaraźliwe – mruknął Frank i na widok jej zakłopotania poczuł dziwną satysfakcję.

Ale ten incydent przypomniawszy mu, po co tu przyjechał, i już w godzinę później bez większych kłopotów odnalazł dom Cary Justice. Nazwisko na skrzynce pocztowej upewniło go, że dobrze trafił. Zatrzymał się w pobliżu, by popatrzeć na dom i zapamiętać rozkład otoczenia. Zamierzał wrócić tu po zmroku.

Obejrzał wszystko i już miał odjeżdżać, gdy naraz zza rogu budynku wyszła kobieta z ogrodowym wężem w ręku i zaczęła podlewać krzewy. Frank znów nacisnął na hamulec. To musiała być ona – kobieta Davida. A więc była dobrą gospodynią. Dbała o dom i ogród, tak samo jak Martha.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, wpadł w złość i ruszył tak gwałtownie, że spod kół przysnął żwir. Cara obróciła głowę w tę stronę, ale zdążyła tylko zauważyć znikającą sylwetkę brązowego samochodu. Potrząsnęła głową myśląc, że niektórzy ludzie nigdy nie powinni dostać prawa jazdy.

Podlała krzewy, zwinęła wąż i poszła do kuchni.

Bethany i jej rodzina zapowiedzieli się na kolacji. Trzeba było jeszcze upiec truskawkowe ciasto na deser.

Frank zawsze lubił ciemność. Nawet jako dziecko czuł się bezpiecznie wśród cieni. Zawsze, gdy zapadał zmrok, czuł się tak, jakby pośród zimowej nocy okrywała go ciepła kołdra.

O niecałe pół kilometra przed domem Cary Justice zjechał z głównej drogi i skręcił do lasu. Zostawił samochód między drzewami i teraz stał ukryty na skraju zarośli, patrząc, jak Cara żegna się ze swymi gośćmi. Sądząc po ich zachowaniu, byli rodziną – mężczyzna, kobieta i dwie dziewczynki. Frank podszedł bliżej, tak by nadal pozostawać w cieniu, ale jednocześnie słyszeć, co mówią. Gdy do jego uszu dobiegło imię: Bethany, cofnął się z zaskoczeniem. Niech to diabli, gdyby miał karabin, mógłby w tej chwili upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Kobieta Davida i dziecko Davida. To byłoby sprawiedliwe. Wówczas mógłby nawet zostawić brata w spokoju. Świadomość, że stał się przyczyną śmierci obydwu kobiet, byłaby dla niego wystarczającą karą.

Powściągnął jednak wodze fantazji. Lepiej nie podejmować pochopnych decyzji. Pochylił się do przodu i uważnie nasłuchiwał.

– Kolacja była świetna, mamó – powiedziała Bethany.

– Absolutnie fantastyczna – dodał jej mąż.

Cara zaśmiała się.

– Już ci zapakowałam resztę ciasta, więc nie mu-

sisz mi się tak podlizywać.

– Chyba nie sądzisz, że to było szyte zbyt grubymi nićmi? – roześmiał się jej zięć.

– Nie, ale to nie było konieczne. I tak byś dostał to ciasto – odrzekła Cara i przesłała pocałunki swoim wnuczkom.

– Musicie spędzić u mnie przynajmniej jedną noc, zanim zacznie się szkoła.

– Babciu, nawet nie wspominaj o szkole – jęknęła Rachel.

– Nie chcę szkoły – zawtórowała jej młodsza siostra, Kelly, chociaż nie chodziła jeszcze nawet do przedszkola.

Cara śmiała się i machała im, gdy odjeżdżali, a gdy światła samochodu zniknęły, potarła ramiona dłońmi i z głębokim westchnieniem popatrzyła na usiane gwiazdami niebo i w ducho odmówiła modlitwę za Davida..

Na niedalekim drzewie zahuczała sowa, Cara spojrzęła w tamtą stronę i nagle poczuła, że nie jest już sama. Nerwowo rozejrzała się dokoła, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Mimo wszystko wrażenie nie minęło. Zaniepokojona, wróciła do domu i zamknęła za sobą drzwi, a potem szybko przeszła przez wszystkie pomieszczenia, sprawdzając, czy wszystkie drzwi i okna są pozamykane. Nastawiła jeszcze alarm i dopiero wtedy zaczęła oddychać swobodniej. Gdy pogasiła światła i poszła do sypialni, była już prawie pewna, że coś jej się przywidziało.

Niedługo potem, gdy już leżała w łóżku, dryfując między niepokojem a snem, uczucie powróciło. Było

jednak zbyt przelotne, a ona zbyt zmęczona. Wyczerpanie wzięło górę nad instynktem i Cara zapadła w sen.

Frank zanotował numer rejestracyjny samochodu Bethany i teraz mógł ustalić jej adres z dziecinną łatwością, włamując się do systemu komputerowego wydziału komunikacji. Ale to było zadanie na później; na razie zamierzał zająć się matką.

Zaczekał, aż Cara pogasi światła, a potem dla pewności odczekał jeszcze godzinę i dopiero wtedy zbliżył się do domu. Cieszył się, że Cara nie ma psa. Nie znosił psów.

Przez ponad pół godziny skradał się dokoła budynku, zaglądał do okien, sprawdzając, czy są zamknięte. Dom sprawiał wrażenie ciepłego i gościnnego. Frank znów pomyślał o Marcie. To nie była prawda, że upływ czasu łagodził ból po stracie bliskiej osoby. Z nim było odwrotnie. Im więcej czasu mijało od śmierci jego żony, tym bardziej pusty stawał się świat bez niej.

Znalazł okno sypialni Cary i powiódł palcem wzdłuż wszystkich krawędzi. Było szczelnie zamknięte, skorzystał jednak z okazji, by zajrzeć do środka przez szparę między zasłonami. Patrzył na nią przez kilka minut, a gdy już był zupełnie pewien, że Cara mocno śpi, zajął się skrzynką, którą wcześniej zauważył na tylnej ścianie. Tego typu alarm nie był żadnym problemem dla człowieka, który potrafił się włamać do ściśle tajnych plików w komputerze rządu Stanów Zjednoczonych. Przeciął kilka kabelków, połączył

kilka innych i już po kłopotcie. Otworzył drzwi wytrychem i wszedł.

Za drzwiami zatrzymał się na chwilę, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Na widok grubej, miękkiej wykładziny na podłodze uśmiechnął się szeroko. Doskonale. Cara na pewno nie usłyszy jego kroków.

Wyjął z kieszeni małą, punktową latarkę i z ciekawości poświecił na ściany. Widział już kobietę, teraz chciał zobaczyć jej dom. Czy lubiła jasne, żywe kolory, czy też stonowane?

Światło zatrzymało się na obramowaniu kominka i Frank zauważył fotografię. Podeszedł bliżej. Sądząc po zdjęciach, miała troje dzieci, nie tylko jedno, jak sądził wcześniej, miała męża. Dwoje z dzieci wyglądało zupełnie jak krępy, jasnowłosy mężczyzna na jednym ze zdjęć. Ale Franka zainteresowała smukła, ciemnowłosa kobieta, bardzo podobna do Davida. Bethany. Ładne imię i ładna kobieta. Jaka szkoda, że w jej żyłach płynęła krew jego brata.

Przesunął światło na następną fotografię i chrząknął z wrażenia, gdy zobaczył na niej Davida z niewielką rybką. Na zdjęciu David był roześmiany i zanim Frank zdążył pomyśleć, również się uśmiechnął. Głupia mała rybka. Po co David fotografował się z czymś takim?

Nagle Frank drgnął i przypomniał sobie, po co się tutaj znalazł. Co go właściwie obchodziły rozrywki Davida? Odstawił zdjęcie na gzyms kominka i poszedł dalej, przypominając sobie, po której stronie domu znajduje się sypialnia Cary.

Nie pomylił się. Stanął cicho tuż przy drzwiach i wsłuchując się w jej cichy oddech, odnalazł w kieszeni nóż. Wolał noże od pistoletów. Były ciche i znacznie czystsze. Kule zawsze rozszarpywały ciało na strzępy, a nóż, właściwie użyty, mógł sprawić, że człowiek wykrwawiał się w minutę, a nawet szybciej.

Pewien, że właścicielka domu nadal śpi, zrobił dwa kroki w prawo i jeden do przodu i uśmiechnął się szeroko. Był w jej sypialni.

Była szczupła, więcej niż średniego wzrostu. Przyćmione światło z zewnątrz wpadało do sypialni przez szparę w zasłonach, oświetlając jej rozrzucone na poduszce włosy. Podświetlając włosy wylewające przez jej poduszkę. Wydawały się miękkie jak babie lato i Frank poczuł nagle nieprzepatą ochotę, by ich dotknąć. Piersi miała pełne, a skórę jędrną. Była kobietą w każdym tego słowa znaczeniu. Stojąc u stóp łóżka, Frank poczuł, że dłonie zaczynają mu się pocić. Już od bardzo dawna nie był z taką kobietą w łóżku.

Poruszyła się we śnie i z westchnieniem obróciła się na plecy. Frank zastygł. Dopiero gdy nabrał pewności, że się nie obudziła, przesunął się o krok, by lepiej widzieć jej twarz.

Była piękna.

Zadrzał z nagłym gniewem. Jak to możliwe, by kobieta inna niż Martha mogła wzbudzić w nim tyle emocji? Zwinął ręce w pięści i spróbował się poruszyć. Jednym skokiem mógłby znaleźć się w jej łóżku, na niej, słuchając jej krzyków. Mógł ją mieć bez trudu, sycić się jej paniką, szeptem opowiadać jej o wszystkim, co zamierzał zrobić z nią i z jej kochankiem. To

było takie łatwe.

Ogarnięty żądzą, pochylił się do przodu i rozprostował palce, gotów zacisnąć je na jej kruchej szyi.

Frank... Zawsze będę cię kochać.

Drgnął, jakby ktoś uderzył go w twarz. To był głos Marthy, tak wyraźny, jak gdyby stała tuż obok niego. Przymrużył oczy, zastanawiając się, co myśli jego żona, jeśli go teraz widzi. Czy nadal go kocha, czy też patrzy na niego przepełniona cierpieniem i odrazą do człowieka, jakim się stał?

Po twarzy Cary potoczyła się łza. Przez sen wyszeptała imię: David.

Idź do diabła, kobieto, zaklął wściekle Frank, i cicho wymknął się z sypialni.

Bethany usiadła na łóżku, nie wiedząc, co ją obudziło. Ale od czasu, gdy urodziła pierwsze dziecko, ten instynkt jeszcze nigdy jej nie zawiódł.

Spojrzała na Toma i uśmiechnęła się do siebie. Spał jak zabity. Jej mąż nie obudziłby się nawet gdyby dach domu zawalił mu się na głowę.

Narzuciła na ramiona szlafrok i zajrzała do sypialni córek. Najpierw podeszła do łóżka Kelly, która jako młodsza była bardziej podatna na choroby wieku dziecięcego. Czoło dziewczynki było chłodne. Dziesięcioletnia Rachel również spała spokojnie.

Ze zmarszczonym czołem Bethany wyszła z sypialni i zatrzymała się na chwilę w korytarzu, nasłuchując. Ale wszystkie dźwięki, jakie do niej dochodziły, były zwyczajne i znajome. Tykanie zegara. Gałąź drzewa ocierająca się o okiennice. Pochrapywanie

Toma.

Nadal nie miała pojęcia, co ją obudziło.

Drżąc ze zdenerwowania, objęła ramiona dłońmi i zastanawiała się, czy powinna obudzić Toma. Ale jej mąż musiał iść rano do pracy. Powiedziała więc sobie, że widocznie coś jej się przyśniło, i skierowała się z powrotem do sypialni.

Naraz jednak usłyszała skrzypnięcie i serce w niej zamarło. W całym domu były tylko dwie deski w podłodze, które tak skrzypiały, gdy się na nie stąpnęło: jedna w kuchni, przy zlewozmywaku, a druga w progu salonu.

Dopiero teraz Bethany zaczęła się naprawdę bać. Pobiegła do sypialni i mocno potrząsnęła ramieniem Toma, a gdy się przebudził, wyszeptwała samym ruchem ust:

– Chyba ktoś jest w domu.

Jej mąż natychmiast szeroko otworzył oczy. Bez słowa podszedł do szafy, z pudełka na najwyższej półce wyjął naładowany pistolet i gestem kazał jej zadzwonić na policję.

– A co z dziećmi? – szepnęła.

– Najpierw wezwij policję, a potem idź do nich.

Patrzyła ze strachem, jak zabrał pistolet i wyszedł, a potem sięgnęła po telefon.

– Dziewięćset jedenaście – odezwała się dyspozytorka. – Co się stało?

– Myślę, że ktoś obcy jest w domu – szepnęła Bethany.

– Czy jest pani sama?

– Nie. Tom, mój mąż, poszedł sprawdzić, co się

dzieje. Ma pistolet.

– Czy adres pani to sto siedem Sunset Drive?

– Tak. Proszę się pośpieszyć.

– Przekażę wezwanie. Proszę się nie rozłączać.

Serce Bethany waliło jak młotem. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w sypialni córek.

– Halo? Halo? – powtarzała niecierpliwie.

– Tak, proszę pani, jestem tutaj.

– Muszę pójść do pokoju dzieci.

– Bardzo proszę pozostać przy telefonie. W pani dzielnicy jest patrol policji. Powinni przyjechać za kilka minut.

– Och, Boże – szepnęła Bethany. – To może być za późno!

– Proszę się uspokoić i posłuchać mnie. Jak się pani nazywa?

– Bethany Howell.

– Dobrze, Bethany. Proszę mi powiedzieć, co pani słyszy.

– Na razie nic. Nie słyszę nawet Toma – odpowiedziała i zaczęła drżeć. A jeśli coś mu się stało? Może ten ktoś już tu idzie? Musiała pójść do dziewczynek i wyprowadzić je z domu na zewnątrz.

– Proszę. Muszę iść do dzieci. Muszę je wyprowadzić z domu.

– Proszę pani, proszę się uspokoić. Musi pani pozostać na miejscu. Mąż mógłby panią usłyszeć i pomyśleć, że to złodziej. Nie chce pani chyba zostać postrzelona przez pomyłkę?

Nie pomyślała o tym.

– Dobrze, ale proszę się pośpieszyć.

Deska skrzypnęła i Frank skrzywił się. W chwilę później usłyszał sprężyny łóżka i miękki odgłos nagicznych stóp na podłodze. Zaciśnął palce na rękojeści noża. W chwilę później zauważył kobietę, która wyszła z sypialni i zniknęła w sąsiednim pokoju.

Dobra matka zawsze najpierw zagląda do dzieci. Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd i dopiero po chwili Frank uświadomił, że to były słowa, które ich matka zawsze powtarzała, gdy przychodziła powiedzieć jemu i Davidowi dobranoc.

W chwilę później kobieta znów pojawiła się w korytarzu i stanęła nieruchomo. Frank instynktownie przesunął się w cień. Kolejna deska skrzypnęła. Dlaczego ci ludzie nie przybili sobie porządnie podłogi? Był pewien, że kobieta już wie o obecności obcego w domu. Czy powinien uciekać, czy mimo wszystko zrobić to, po co przyszedł?

Gdy kobieta weszła do sypialni, Frank zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym podjął decyzję.

Bethany stała przy oknie trzymając słuchawkę przy uchu i wypatrywała policyjnego radiowozu. Gdy w końcu zauważyła błysk światła za wzgórzem, rozplakała się cicho.

- Już tu są – powiedziała do słuchawki.
- Czy to znaczy, że są już przed domem?
- Nie, ale widziałam światła na wzgórzu.
- Niech pani jeszcze nie idzie do drzwi. Proszę zaczekać, aż zapukają. Najpierw przeszukają otoczenie i sprawdzą, którędy włamywacz dostał się do domu.

– Dobrze – szepnęła Bethany już z lżejszym sercem.

Po krótkiej chwili na podjeździe zachrząścił żwir.

– Są już przed domem.

– Proszę pozostać na miejscu.

– Dobrze – zgodziła się Bethany, ale ku swemu przerażeniu usłyszała wołanie Rachel:

– Mamo! Mamo!

– Moja córka się obudziła – szepnęła Bethany ze zdenerwowaniem. – Muszę do niej pójść, zanim wyjdzie z pokoju i narazi się na jakieś niebezpieczeństwo. Nie odłóżę słuchawki, ale muszę tam pójść.

Nie czekając na pozwolenie, przebiegła przez korytarz i otworzyła drzwi po drugiej stronie. Rachel siedziała na łóżku, przecierając oczy.

– Mamo, przed domem stoi samochód policyjny.

– Tak, wiem – odrzekła Bethany łagodnie. – Obudzę Kelly i razem pójdziemy do naszej sypialni.

Na twarzy córki pojawił się lęk.

– Mamo... co się stało? – zapytała drżącym głosem.

– Może nic. Tatuś właśnie poszedł sprawdzić.

– Podniosła Kelly jedną ręką, a drugą ujęła dłoń starszej córki. – Chodź, skarbie, tylko nic nie mów.

Szybko przemknęły na drugą stronę korytarza i Bethany zamknęła drzwi. Położyła Kelly na łóżko, Rachel posadziła sobie na kolanach i wzięła do ręki słuchawkę.

– Już jestem z powrotem – powiedziała.

– Czy dzieci są z panią? – zapytała dyspozytorka.

– Tak.

– A gdzie jest pani mąż?

Bethany wzięła głęboki oddech i zmusiła się do koncentracji.

– Nie wiem

– Bardzo dobrze sobie pani radzi. Proszę mi powiedzieć, jak pani dzieci mają na imię?

– Rachel i Kelly.

– Rachel Howell? Czy ona chodzi do czwartej klasy?

– Tak, po wakacjach zacznie.

– Znam ją. Mój syn, Billy, jest jej rówieśnikiem. Nazywam się Jenn Parker. Mój ojciec ma piekarnię.

Skojarzenie głosu w słuchawce z obrazem znajomej twarzy jakoś podniosło Bethany na duchu.

– Jenn, okropnie się boję.

– Radzisz sobie bardzo dobrze – powtórzyła dyspozytorka. – Właśnie dostałam wiadomość od policjantów. Idą już do drzwi. Czy jest tam ktoś, kto mógłby ich wpuścić?

– Tom. Tom powinien tam być.

– W porządku. Poczekaj chwilę, aż będę wiedziała, że są już w środku.

Bethany usłyszała stukanie do drzwi wejściowych i wstrzymała oddech, modląc się, żeby Tom otworzył. Pukanie powtórzyło się i po jej twarzy popłynęły łzy. Boże, nie pozwól, żeby coś złego stało się mojemu mężowi, modliła się w duchu.

– Nikt nie odpowiada – powiedziała dyspozytorka.

– Policjanci proszą mnie, bym ci powtórzyła, że będą wchodzić do domu.

– Ale drzwi są zamknięte.

– Oni o tym wiedzą. Zostań, gdzie jesteś, dobrze?

Bethany opuściła głowę i zaczęła szlochać. Coś było nie tak.

David niespokojnie chodził po pokoju – od łóżka do okien i z powrotem. Nie mógł spać. Instykt ostrzegał go, że dzieje się coś złego. A jeśli Simon widział relację w telewizyjnych wiadomościach i dodał dwa do dwóch? Usiłował jednak przekonać samego siebie, że to niemożliwe. Simon nie wiedział o Carze, tym bardziej więc nie mógł wiedzieć o istnieniu Bethany

W pokoju hotelowym czuł się jak w klatce. W dodatku Frank dotychczas nie odpowiedział na jego e-mail. David miał nieprzepartą ochotę zadzwonić do Cary, usłyszeć jej głos, ale było już po trzeciej nad ranem i nie chciał zakłócać jej odpoczynku. Na pewno wzięła środek uspokajający, by móc zasnąć. Wiedział, że jeszcze nie odzyskała równowagi po wydarzeniach w supermarkecie. A w dodatku jego przy niej nie było, choć teraz potrzebowała go najbardziej.

Cholerny Frank. Po co on właściwie żył? Co dobrego przyniosło światu jego istnienie?

Pomyślał o córce Franka, Lise Meldrum, która teraz była żoną Russella Devane'a. Jej życie świadczyło o tym, że w głębi duszy Franka kryło się jednak jakieś dobro. W każdym razie potrafił kochać kobietę wystarczająco długo, by mieć z nią dziecko. O ile David wiedział, żona Franka nie żyła już od lat. Pod nieobecność ojca Lise prowadziła farmę w Australii. Gdyby Frank przed laty zginął w ogniu, Lise nigdy by się nie urodziła.

David ze znużeniem opadł na łóżko, po raz kolejny zerknął na zegar i obrócił się na bok. Powinien przynajmniej zamknąć oczy i trochę odpocząć.

Po krótkiej chwili już spał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zanim policyjny radiowóz ruszył sprzed domu, Frank był już w lesie. Ledwie odnalazł swój samochód, zaczął padać deszcz. Szybko otworzył drzwi i wskoczył do środka. Nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, czy nikt go nie ściga. Zablokował drzwi, wyjął z kieszeni pistolet i położył go obok noża.

Przez chwilę siedział z czołem opartym o kierownicę, czekając, aż opadnie poziom adrenaliny i tętno wróci do normalnego poziomu. Kiedy w końcu podniósł głowę, uśmiechał się. Zabrał pistolet mężowi Bethany wyłącznie z przyzwyczajenia – nigdy jeszcze nie zostawił broni przy ofierze – ale gdy biegł przez las, coś mu przyszło do głowy. Czyż to nie byłoby piękne i właściwe, gdyby David zginął od kuli wystrzelonej z pistoletu jego własnej córki?

To był znakomity pomysł. Fantastyczny. Ale wniesienie broni palnej do samolotu mogło stanowić pewien problem.

Zapalił silnik i szybko odjechał. Ulice Chiltingham były puste. Skręcił na drogę prowadzącą na lotnisko w Canandaigua i choć nikogo nie było w zasięgu

wzroku, bardzo uważał, by nie przekraczać limitu szybkości ani nie przejeżdżać skrzyżowań na czerwonym świetle. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował, to żeby policja złapała go z kradzioną bronią.

Na drodze za miastem wymiął billboard reklamujący firmę kurierską i o pół mili dalej dotarło do niego znaczenie tego, co zobaczył. Szybko obmyślił cały plan. Wiedział już, jak przemycić pistolet do Waszyngtonu. Potrzebował tylko niewielkiego pudełka i adresu hotelu. Jeśli będzie miał odrobinę szczęścia, to gdy dotrze na miejsce, broń powinna już tam na niego czekać.

Około dziesiątej następnego ranka pod drzwiami pokoju Davida pojawiła się koperta. David w pierwszej chwili jej nie zauważył. Wyszedł spod prysznicą i stanął przed szafą, gdy ktoś zastukał. Szybko narzucił na siebie koszulkę, podszedł do drzwi i dopiero wtedy jego wzrok padł na bułą prostokąt na podłodze.

– Kto tam? – zapytał, podnosząc kopertę.

– Obsługa.

David na wszelki wypadek wyjrzał przez wizjer, ale uspokoił się, gdy zobaczył hotelowego gońca z wózkiem pełnym jedzenia.

– Gdzie mam to postawić, proszę pana? – zapytał chłopak.

– Na stole przy oknie – odrzekł David, podając mu podpisany czek wraz z hojnym napiwkiem.

– Bardzo panu dziękuję. – ucieszył się chłopak i wyszedł, zostawiając go sam na sam z posiłkiem. David ze zdziwieniem przekonał się że jest głodny.

Odłożył kopertę na bok i najpierw posmarował grzan-
kę dżemem, a potem zabrał się do jajek. Dopiero gdy
zaspokoił pierwszy głód, nalał sobie kawy i z ciekawo-
ścią otworzył kopertę. Naraz drgnął jak rażony prądem
i sięgnął po telefon.

– Recepcja. Czym mogę panu służyć?

– Ktoś zostawił dziś rano pod moimi drzwiami list.
Chciałbym rozmawiać z osobą, która go tu przyniosła.

– Chwileczkę, połączę pana z naszym biurem
pocztowym.

W kilka sekund później w słuchawce odezwała się
inna kobieta. David powtórzył prośbę.

– Przykro mi, panie Wilson, ale nie mamy w rejestrze
żadnego zapisu o liście dostarczonym do pańskie-
go pokoju.

– Jest pani tego pewna?

– Zupełnie pewna. Jestem tu na dyżurze od szóstej
rano. Gdyby coś było, wiedziałabym o tym.

David podziękował i odłożył słuchawkę. Nie miał
już ochoty na jedzenie. Niech to wszyscy diabli,
pomyślał. Frank znów zdobył nad nim przewagę.
Sięgnął po list i przeczytał go jeszcze raz.

Druga po północy przy Ścianie, braciszku.

Ze ściśniętym gardłem odłożył kartkę na bok. Co
za ironia, że obydwaj wybrali to samo miejsce. Pomnik
bohaterów wojny wietnamskiej, inaczej znany jako
Ściana, doskonale tu pasował jako symbol miejsca,
gdzie wszystko się zaczęło.

Wstał, zabrał klucz do pokoju i portfel, a potem
wystawił wózek z talerzami na korytarz. Zamierzał
stawić się na spotkanie o wyznaczonej przez Franka

porze, ale najpierw musiał obejrzeć sobie teren i potrzebował do tego samochodu.

Dzień był upalny i prawie bezwietrzny, a mimo to ze stopni Lincoln Memorial David widział na otaczającym pomnik trawniku setki ludzi. Niektórzy robili zdjęcia, inni rozmawiali w grupach, z podnieceniem wskazując na otaczające budowle. Najwięcej było nastolatków. Na ich tle łatwo było zauważyć weteranów: to oni najdłużej stali przy pomniku, najmniej mówili, a odchodząc, mieli łzy w oczach. Wdowy i rodziny poległych delikatnie dotykały marmurowej powierzchni, na której wyryto nazwiska ich bliskich.

W krystalicznie przejrzystej wodzie podłużnego sztucznego jeziora, które oddzielało od siebie pomniki Lincolna i Washingtona, odbijały się wierzchołki drzew i jasne, bezchmurne niebo. Nad północnym krańcem jeziora krążyły stada gołębi. Widok był sielankowy. Myśl o tym, że zanim przeminie najbliższa noc, jeden z nich zginie właśnie w tym miejscu, wydawała się Davidowi wręcz nieprzyzwoita.

Nałożył okulary przeciwsłoneczne i zszedł po schodkach, kierując się na lewo. Dobrze znał to miejsce, odwiedzał je wielokrotnie, ale nigdy z myślą o przygotowaniu zasadzki. Czuł się teraz jak świętokradca, ale nie miał wyboru. Nawet gdyby chciał, nie mógł już zmienić planu gry. Koła przeznaczenia zostały wprawione w ruch i mógł tylko zadbać o to, by po nim nie przejechały.

Wyminął małżeństwo z wózkiem, potem grupę nastolatków i znalazł się za parą starszych ludzi,

mozolnie schodzących ze zbrocza. Starszy mężczyzna poruszał się przy pomocy balkonika na kółkach, który jego żona próbowała przytrzymać, by nie zjeżdżał za szybko. David nie miał w tej chwili ochoty na kontakt z kimkolwiek, ale sumienie nie pozwoliło mu przejść obok nich obojętnie.

– Pomogę państwu – zaoferował się, przytrzymując poręcz balkonika.

Starsza kobieta, zaróżowiona z wysiłku, uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Och, bardzo dziękujemy. Nie wiedzieliśmy, że tu jest tak stromo. Balkonik Matthew chciał go zabrać na przejażdżkę.

Jej śmiech, zdumiewająco młodzieńczy, zupełnie rozbroił Davida.

– Byli państwo tu już kiedyś? – zapytał.

Kobieta spoważniała.

– Nie. Zawsze chcieliśmy tu przyjechać, ale mieszkamy tak daleko. Jesteśmy z Idaho. Nazwisko naszego syna Dennisa jest tutaj. Matthew chciał je zobaczyć przed...

Nie dokończyła zdania, ale David wiedział, o czym myślała.

– Mam raka – wyjaśnił mężczyzna. – Ale liczę na to, że zanim mnie zabije, umrę ze starości.

David nie wiedział, co odpowiedzieć. Ich optymizm wobec przeciwności losu napełniał go pokorą.

– Nigdy nie wiemy, co życie nam przyniesie – rzekł w końcu powiedział i zmienił temat. – Czy wie pan, w której części jest nazwisko waszego syna?

Kobieta podała mu kawałek papieru.

– Dostaliśmy to w informacji.

David spojrział na numer sektora.

– To jeszcze dalej w dół. Da pan radę dojść?

– Skoro obydwójce z Shirley dotarliśmy aż tutaj, to damy radę przejść jeszcze i te parę metrów – odrzekł Matthew.

David uważnie śledził wzrokiem napisy na kamiennych blokach i po chwili zatrzymał się.

– To powinno być gdzieś tutaj.

Matthew unieruchomił kółka balkonika hamulcem i wpatrzył się w pokrytą wygrawerowanymi nazwiskami kamienną ścianę, która wydawała się nie mieć końca.

– Zdaje się, że nie tylko my opłakiwaliśmy syna. Widzisz to, Shirley?

Żona oparła głowę na jego ramieniu i po jej twarzy popłynęły łzy.

– Tutaj – powiedział David. – Tu jest nazwisko waszego syna.

Obydwójce wpatrzyli się w litery tak intensywnie, jakby chcieli wyczarować z nich obraz postaci.

– Tyle czasu już minęło – zauważyła Shirley.

– Myślałam, że już dawno wypłakałam wszystkie łzy.

– Wiem, jak się pani czuje – powiedział David łagodnie, podając jej chusteczkę.

Matthew zatrzymał na nim przenikliwych, osiemdziesięcioletnich oczu.

– Pan też ma tu kogoś z rodziny?

– Tak.

Starszy człowiek pokręcił głową z żalem. Jego żona sięgnęła do torebki i wyjęła z niej aparat fotograficzny.

– Jeśli pani pozwoli, to chętnie zrobię zdjęcie – zaproponował David.

– Chcę stać obok nazwiska mojego syna – powiedziała Shirley, przyglądając włosy.

– Nazwiska nie wychodzą zbyt dobrze na fotografiach – pokręcił głową David. – Ale jeśli pan trochę się obróci, o, tak, a pani stanie obok i położy rękę na nazwisku, to potem łatwiej będzie wam dostrzec litery.

Shirley skinęła głową i stanęła obok męża, powstrzymując łzy. David cofnął się o kilka kroków i podniósł aparat do twarzy.

– Liczę do trzech – powiedział. – Jeden, dwa...

Przy trzech zwolnił migawkę.

– Jeszcze raz – poprosiła Shirley. – Na wszelki wypadek.

Pstryknął jeszcze jedno zdjęcie i gdy oddawał kobiecie aparat, ta niespodziewanie objęła go.

– Dziękujemy, synu – powiedziała. – Przykro nam, że ty też kogoś straciłeś.

David skinął głową, ale nie znalazł odpowiednich słów, by odpowiedzieć. Co właściwie stracił? Przez wiele lat wierzył, że o wiele więcej niż tylko brata, ale też wiarę w Boga i ludzi. To się zmieniło zaledwie tydzień temu, gdy Cara przyjęła go z powrotem do swojego życia.

Chciał pomóc staruszkom wspiąć się na górę, ale Matthew potrząsnął głową.

– Teraz będzie pod górę. Dużo łatwiej jest pchać to urządzenie niż biec za nim. Damy sobie radę.

Ruszyli powoli, rozmawiając z ożywieniem, szczęś-

liwi, że dotarli do swego celu. David zauważył, że kiedy jednemu z nich zdarzało się potknąć, drugie natychmiast go podtrzymywało. Ze ściśniętym gardłem zwrócił się znów do ściany, oparł o nią głowę i przymknął oczy. Stał tak przez dłuższą chwilę, wchłaniając spokój pomnika i oddając hołd wszystkim tym, którzy walczyli i zginęli. Zatracił poczucie czasu i gdy w końcu podniósł głowę, czuł się wyzuty z wszelkich myśli i dziwnie oczyszczony.

Odwrócił się, by odejść, gdy naraz poczuł znajomy dreszcz na karku. Ktoś go obserwował. Przyjrzał się uważnie wszystkim osobom w zasięgu wzroku, a gdy żadna z nich nie wzbudziła jego podejrzeń, przeniósł wzrok dalej. Obserwacja jednak i tym razem nie przyniosła żadnych rezultatów.

Przekonany, że jego niepokój nie powstał bez przyczyny, poszedł na wschód, wspiał się na zbocze i znów się zatrzymał. Uczucie nie mijało.

Jakaś kobieta po jego prawej stronie krzyknęła na dziecko. David odruchowo zwrócił się w jej kierunku i w trakcie tego ruchu zauważył błysk w kępie drzew o jakieś sto metrów na lewo. Tam. Właśnie stamtąd pochodził impuls, który rozbudził jego czujność.

To musiał być Frank.

David wyzywająco podniósł wyżej głowę.

Frank uśmiechnął się kpiąco, obserwując, jak jego młodszy brat bawi się w harcerza. Gdy starsza para odeszła i David pochylił głowę przy pomniku, Frank prychnął pogardliwie, myśląc: pomódl się, sukinsynu, bo będziesz potrzebował boskiej pomocy.

Naraz David popatrzył w górę i obrócił się na miejscu. Coś go zaniepokoiło, ale co? Lornetka Franka zatoczyła krąg. Szukał czegoś, co mogłoby przyciągnąć uwagę brata, ale gdy nic takiego nie zauważył, znów zwrócił lornetkę na ścianę pomnika. Davida jednak już tam nie było, po chwili jednak pojawił się na szczycie wzniesienia i Frank odetchnął z ulgą. Nie zamierzał teraz niczego próbować, o tej porze było tu zbyt wielu świadków, ale lubił czuć, że ma kontrolę nad sytuacją; obserwowanie Davida dawało mu poczucie władzy.

Zauważył, że David się rozgląda, i cofnął się o krok, a potem znów podniósł lornetkę do oczu i wyostrzył obraz. Naraz serce podeszło mu do gardła, a ręce zaczęły drżeć. Ty draniu, pomyślał. Ty arogancki sukinsynu.

David stał w lekkim rozkroku, wyprostowany i z dumnie uniesioną głową, jakby przygotowywał się do ataku. Frank nie mógł oderwać od niego wzroku. W tej chwili po raz pierwszy dotarło do niego, kim naprawdę jest jego brat. Już od dawna wiedział, że David to wszechmocny Jonasz, ale dopiero teraz pojął wewnętrzną prawdę tej postaci.

Stał przed nim współczesny wojownik, barczysty i zwinny, utwardzony przez lata doświadczeń. Przemknęło mu przez myśl słowo: niezwyciężony, ale odepchnął je od siebie, bo oznaczało, że on, Frank Wilson, musi ponieść klęskę w tej konfrontacji.

Naraz David zdjął okulary, uśmiechnął się prosto do niego i odszedł. Franka odebrał to jak policzek. Zapłacisz za to, braciszku, pomyślał. Chcę zobaczyć,

jak szeroko będziesz się uśmiechał, gdy zobaczysz pistolet własnej córki wycelowany w twoją głowę.

Świadomość, że jutro już będzie po wszystkim, uspokoiła Davida na tyle, że zamiast zamówić obiad do pokoju, zdecydował się zejść do hotelowej restauracji. Hostessa zaprowadziła go do jednoosobowego stolika i podała mu menu. Zamówił kieliszek wina i otworzył kartę. W środku znajdowała się karteczka z jednym tylko słowem wypisanym grubą czarną kreską: BUM. David zerwał się od stolika i w drzwiach pochwycił hostessę za ramię, obracając ją twarzą do siebie. To nie była ta sama dziewczyna, która zajmowała się nim przed chwilą.

– Gdzie ona jest? – zawołał.

– Kto, proszę pana?

Zauważył lęk na jej twarzy i natychmiast ją puścił.

– Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć, ale muszę porozmawiać z pani koleżanką. Gdzie ona poszła?

– Nie ma tu żadnej innej hostessy. Jestem sama na dyżurze.

David miał ochotę krzyczeć głośno, ale opanował się i powiedział prawie szeptem:

– Niecałe dwie minuty temu była tu inna hostessa. Stała dokładnie w tym miejscu, gdzie pani teraz stoi. Przyniosła mi kartę i zaprowadziła mnie do tego stolika przy oknie.

Dziewczyna patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby oszalał.

– Dwie minuty temu byłem w kuchni. Nie było tu

żadnej innej hostessy.

David wybiegł z restauracji i zatrzymał się o kilka metrów od drzwi. Można stąd było wyjść na zewnątrz kilkoma różnymi drogami. Po chwili uspokoił się i potrząsnął głową. To było podobne do Franka. Zawsze chciał mieć ostatnie słowo.

Nie zamierzając się przejmować tym incydemem, wrócił do stolika i zamówił posiłek, który następnie zjadł powoli i ze smakiem. Słowa na papierze były tylko grą umysłu, a on nie zamierzał dać się wciągnąć w tę grę.

Po kolacji wrócił do pokoju i po krótkim namyśle sięgnął po telefon i w kilku miejscach zostawił wiadomości. Po jakichś piętnastu minutach telefon zadzwonił. David słuchał przez chwilę bez żadnego komentarza, a potem usiadł na brzegu łóżka i zastanawiał się przez chwilę. W końcu podniósł słuchawkę i zostawił jeszcze jedną, krótką wiadomość.

Zamówił budzenie o północy, rozebrał się i zasnął.

Pewność siebie Franka znów osłabła, gdy obserwował reakcję Davida na ostatnią niespodziankę. Nadal w przebraniu nowojorskiego detektywa siedział w barze po drugiej stronie hotelowego holu i widział, jak jego brat wybiegł z restauracji. Wzburzenie Davida sprawiło mu satysfakcję, ale po chwili na twarzy jego brata pojawił się uśmiech. Osłupiały Frank z rozpędu zamówił drugiego drinka, ale zanim go przyniesiono, zdążył oprzytomnieć. Rzucił na stolik garść banknotów i wyszedł nie oglądając się za siebie.

W drodze do swojego hotelu przebiegał w myślach wszystkie możliwe scenariusze wydarzeń. Czy lepiej będzie po prostu strzelić Davidowi w plecy, czy też ulec pokusie, by najpierw się z nim pobawić i widzieć, jak się rozsypuje na kawałki? Ten drugi wariant bardziej do niego przemawiał.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczył światelko mrugające przy telefonie. Zmarszczył brwi. Nikt nie wiedział, że się tu zatrzymał. Podniósł słuchawkę i wystukał kod do skrzynki głosowej.

Poczta głosowa 1077 ma dla ciebie jedną nową wiadomość. Wiadomość została otrzymana o godzinie dwudziestej zero pięć.

Palce Franka zacisnęły się mocno na słuchawce, gdy usłyszał głęboki męski głos.

Nie trafiłeś.

Z wściekłością i niedowierzaniem cisnął słuchawkę na widełki. Do wszystkich diabłów, jak David go tu znalazł? Nie zarejestrował się przecież pod własnym nazwiskiem. Nawet nie pokazał swojej prawdziwej twarzy. Nosił przebranie od rana do nocy i usuwał silikonowe wkładki zmieniające kształt twarzy dopiero wtedy, kiedy szedł do łóżka.

Sukinsyn !

Ogarnięty paniką, zgasił światło i podszedł do okna. Czy oni obserwowali jego pokój, czekając, aż wykona pierwszy ruch? Czy zostanie zaaresztowany, zanim zdąży odpłacić Davidowi za piekło, przez które przeszedł? Stał w ciemności, patrząc na ulicę i szukając czegoś podejrzanego.

Tam, na parkingu! Ktoś siedział po ciemku za

kierownicą. Frank dostrzegł żarzący się czubek papierosa.

Naraz jednak obok samochodu pojawiła się kobieta i kierowca wysiadł, by się z nią przywitać. Objęli się, a potem wsiedli do środka i odjechali. Frank zaklął pod nosem i przeniósł uwagę na przechodniów, ale i tu nie znalazł żadnego punktu zaczepienia.

Za każdym razem, gdy słyszał kroki na korytarzu, spodziewał się pukania do drzwi, a gdy kroki cichły, ogarniała go obezwładniająca ulga. W końcu poczuł, że ma już dość. Spakował torbę i wymknął się z hotelu, przekonany, że nikt go nie widział. Zamierzał wcześniej pójść na miejsce spotkania. Było tam wiele miejsc, gdzie mógł się ukryć.

Wsiadł do samochodu i ruszył. Miał ze sobą pistolet Bethany, swój ulubiony nóż oraz bilet w jedną stronę do Florida Keys. Zostawił samochód na parkingu przy pomniku i zaczął iść przez trawnik, ale naraz zatrzymał się i wrócił. Otworzył bagażnik, wyjął torbę i szybko pozbył się przebrania. Chciał, by David zobaczył blizny, które na jego twarzy pozostawił ogień. Chciał ujrzeć na twarzy brata wstyd i poczucie winy.

Jeszcze zadzwonił telefon, David otworzył oczy i zupełnie rozbudzony, zaczął przygotowania.

Nałożył czarne, obcisłe spodnie, czarną koszulkę z rękawami oraz czarne buty na płaskiej gumowej podeszwie. Do torby wrzucił pistolet – ten sam, przy pomocy którego uwolnił zakładników – nóż, który miał jeszcze z Wietnamu, i telefon komórkowy, na

razie wyłączony. Dołożył jeszcze małą puszkę masującą farby do twarzy i zasunął zamek.

Wyminął windy i zszedł na dół po schodach. Pokonanie sześciu pięter zajęło mu niecałą minutę. Potem, niezauważony przez nikogo, wyprowadził samochód z parkingu i po chwili był już na ulicy. Przejechał przez miasto, zostawił samochód w bocznym zaułku pod neonem agencji nieruchomości i zniknął w ciemności.

Choć już od dawna nie brał udziału w żadnych misjach, nadal czuł się swobodnie w mroku. Już dawno temu przekonał się, że ciemność może być przyjacielem, a w swoim fachu Jonasz nie miał wielu przyjaciół.

Między drzewami powietrze było zupełnie inne niż na otwartej przestrzeni, jakby gęściejsze i nawet w nocy czuło się różnicę w temperaturze. Zatrzymał się przy kępie krzewów i spojrzał w niebo. Chmurzyło się i na horyzoncie widać było odległe błyskawice. Zerknął na zegarek. Zostało mu już niewiele czasu.

Czy Frank będzie czekał w umówionym miejscu, czy zaczai się gdzieś i spróbuje strzelić mu w plecy? David nie mógł liczyć na to, że jego brat zachowa się honorowo. Nie wiedział, czego ma oczekiwać, z pewnością jednak powinien się spodziewać najgorszego.

Przyspieszył kroku, ale przez cały czas zachowywał najwyższą ostrożność i krył się w cieniu. Wreszcie zobaczył przed sobą ścianę pomnika. Zatrzymał się na skraju zarośli i czekał.

Czekał długo. Im bliżej było do drugiej, tym większej nabierał pewności, że Frank jest gdzieś

w pobliżu. Nie mógł jednak podejść do samego pomnika nie wychodząc na otwartą przestrzeń, gdzie byłby łatwym celem, stał więc tam, gdzie był, modląc się, by coś się zmieniło.

Jego modlitwy zostały wysłuchane: zaczął padać deszcz. W pierwszej chwili była to zaledwie mżawka, która jednak szybko przeszła w dudniącą ulewę. David natychmiast przemókł do suchej nitki, ale jeszcze nigdy w życiu deszcz tak go nie ucieszył. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszej osłony. I choć był pewny, że Frank nie zauważyłby go nawet gdyby znalazł się o krok od niego, nie porzucił ostrożności. Opadł na ziemię i zaczął pełznąć przed siebie na brzuchu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pomimo ciemności i zachmurzonego nieba, światła przy pomnikach rozpraszały mrok, i choć było bardzo późno, na ścieżce prowadzącej do Ściany wciąż pojawiali się sporadyczni turyści. Sądząc po ubraniach z demobilu i po tym, jak stawali przy pomniku, prawie na baczność, byli to weterani. Nie pozostawali tu długo, ale ich obecność wprawiała Franka w coraz większe zdenerwowanie. A jeśli David ze względu na nich nie odważy się wykonać żadnego ruchu?

Z każdą mijającą godziną Frank stawał się coraz bardziej niespokojny. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Zamiast napięty i skupiony, on czuł się zmęczony i stary. Musiał przyznać przed sobą, że naprawdę jest już stary.

A w dodatku zbyt wiele godzin spędził na czekaniu. Już w godzinę od wyjścia z hotelu wiedział, że przereagował, ale było zbyt późno, by wrócić. Do północy chodził po parku, szukając odpowiedniej kryjówki, i w końcu wybrał zarośla pod kępą drzew. Oslonięty przed błyskawicami i przechodniami, rozpoczął nużące oczekiwanie.

A teraz było już dobrze po pierwszej, bolały go kolana i w dodatku zaczął lać deszcz. Frank nie mógł już dostrzec pomnika. Nie zauważyłby również Davida, gdyby ten się pojawił. Wiedział, że jeśli deszcz nie ustanie, będzie musiał wyjść z kryjówki i ujawnić się. Mógł liczyć tylko na to, że burza minie.

Nie mijała.

W pół godziny później wciąż lało, Frank jednak nie mógł czekać dłużej. Przemoczony na wylot, wyszedł z krzaków i sprawdził broń. Nóż był na swoim miejscu; pistolet również. Znajomy dotyk metalu dodał mu pewności siebie.

Po raz kolejny zerknął na zegarek. Była dokładnie druga. Frank wyprostował się i ruszył przed siebie, nie dbając już o kamuflaż. Ta historia zaczęła się twarzą w twarz i tak samo powinna się skończyć.

Wyminął pomnik pielęgniarek, wzniesiony na cześć kobiet, które służyły w Wietnamie, i trzymał się ścieżki, która prowadziła do wschodniego końca Ściany. Chociaż światła nadal się paliły, monument był ledwie widoczny w strugach deszczu. Ścieżka zaczęła schodzić w dół i Frank wzmógł czujność, nasłuchując wszelkich dźwięków, które nie pochodziły od burzy. Gdy wreszcie dotarł do marmurowej ściany, nerwy miał w strzępach. W duchu przeklinał brata oraz deszcz.

Dopiero po kilku sekundach David zauważył, że jeden z cieni, na które patrzył, porusza się. To nie był cień, lecz człowiek.

Jego puls gwałtownie przyśpieszył, ale ciało nie

drgnęło. Nadal leżał płasko na ziemi. Frank mógłby przejść tuż obok i w ogóle by go nie zauważył. Gdyby chciał, to mógłby go w tej chwili zastrzelić, bez konieczności oglądania jego twarzy.

Przez chwilę rozważał tę myśl. Mógłby również aresztować Franka i przekazać kłopot władzom. Tym samym jednak naraziłby bezpieczeństwo SPEAR, a na to nie mógł pozwolić. Znał Franka wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że nie ma takiego więzienia ani takiej celi, które mogłyby go powstrzymać od mówienia. Wystarczyłoby kilka trafnie dobranych słów wypowiedzianych do odpowiedniej osoby, by zniweczyć cały wysiłek włożony w stworzenie i utrzymanie przy istnieniu tej instytucji.

David leżał więc w strugach deszczu patrząc na zbliżającego się brata i bijąc się z myślami, chociaż od początku wiedział, co będzie musiał zrobić.

Nagła błyskawica oślepiła Franka i wytrąciła go z równowagi. Zachwiał się i upadł z przekleństwem, zakrywając oczy. Gdy się podniósł, David stał o kilka metrów od niego. Frank przypadł do ziemi, szybko wyciągnął pistolet i wycelował go w pierś brata.

– Cześć, Frank. Dawno się nie widzieliśmy .

Tego już było za wiele. To on miał brata na muszce, a jednak tamten sprawiał wrażenie, jakby w pełni kontrolował sytuację. Frank niechętnie stanął na nogi.

– Ty sukinsynu – warknął.

David przypatrywał mu się uważnie, próbując odnaleźć w zniekształconych rysach dawną twarz

starszego brata

– Urodziła nas ta sama kobieta, Frank. Uważaj, co mówisz.

Frank ryknął jak zwierzę. Wściekłość ogarnęła go jak płomień, pozbawiając resztek samokontroli.

– Podpaliłeś mnie! To ma być brat?

– Nie zrobiłem tego po to, by cię zranić. Chciałem ukryć twoją hańbę przed wszystkimi. Poza tym byłem pewien, że nie żyjesz.

Gniew podsycany przez czterdzieści lat wybuchł teraz z całą siłą.

– Bzdury! – wrzasnął Frank, podchodząc coraz bliżej. David jednak nie cofnął się, tylko wyciągnął ramiona na boki. Przez chwilę Frank miał wrażenie, jakby jego brat przygotowywał się do ukrzyżowania.

– Więc znów chcesz mnie zastrzelić, braciszku?

Frank potknął się.

– Jak to znów, do diabła?

David patrzył na niego nieruchomo, nie zważając na wycelowany w swoją pierś pistolet.

– Strzeliłeś do mnie pierwszy, ty obłudny draniu – powiedział. – Pieniądze handlarzy bronią były dla ciebie więcej warte niż ja, pamiętasz?

Serce Franka na moment przestało bić. Poczuł ucisk w żołądku.

– Zamknij się – wrzasnął. – Zamknij się i zmów pacierz!

– Już się dzisiaj modliłem – odrzekł David spokojnie. – Nie pamiętasz?

– A tak, widziałem, jak odgrywałeś dobrego harcerza przy tym starym. Bardziej się troszczyłeś o niego

niż o mnie! Miałem tam w Wietnamie obgadany świetny interes, a ty wszystko popsuleś. Bylibyśmy obaj ustawieni na całe życie. Ale wtedy też się musiałeś bawić w harcerza!

– Sprzedawałeś naszą broń wrogom, Frank! – zawołał David z gniewem, przekrzykując szum deszczu. – Jak się z tego tłumaczysz przed sobą? Ile duchów nawiedza cię każdej nocy? Ile nazwisk znalazło się na tej ścianie dzięki tobie?

Frank potrząsnął głową.

– Zmieniasz temat. Przestań zmieniać temat!

– Nie! – wykrzyknął David. – Ja mówię o tobie! Przez całe życie byłeś egoistą. Nikt inny się dla ciebie nie liczył. Nikt, tylko ty sam! Próbowaleś mnie niszczyć przez cały ostatni rok, ale ci się to nie udało. Nic cię nie obchodziło, że rujnowałeś życie porządnym ludziom ani że narażałeś na niebezpieczeństwo cały kraj. Zależało ci tylko na zemście. Ale dosyć już tego. Zabawa skończona, Frank. Nawet jeśli mnie zabijesz, i tak jest już po tobie. Nie uda ci się uciec.

Frank uświadomił sobie nagle, że jego brat mógł tu przyjść z eskortą. Podniósł wzrok ponad ramieniem Davida, wypatrując ruchomych cieni. Ale było mu już wszystko jedno.

– Uda mi się, tak samo jak zawsze – uśmiechnął się.

David powstrzymał dreszcz na widok blizn, które zmieniały uśmiech Franka w demoniczny grymas.

Frank jednak miał jeszcze jednego asa w rękawie.

– Ona jest bardzo ładna. Zawsze miałeś dobry gust do kobiet.

David zastygł, czując w umyśle zupełną pustkę.

– Jest ładna nawet kiedy śpi – ciągnął Frank z niskim, gardłowym śmiechem, od którego ciało Davida pokryło się gęsią skórką. Boże. Cara.

– Co jej zrobiłeś?

Uśmiech Franka stawał się coraz szerszy. Strach na twarzy Davida był właśnie tym, o czym marzył. Odzyskał kontrolę nad sobą.

– Nic, czego ty byś nie zrobił na moim miejscu – odpowiedział.

David milczał.

– Twoja córka też jest ładna. To zresztą jej pistolet. Będzie sprawiedliwie, jeśli zginiesz od broni, która należała do twojego dziecka.

Dotknął spustu, ale nie zdążył zobaczyć noża, który David wbił mu w pierś aż po rękojeść. Nie poczuł również żadnego bólu, tylko nagłą słabość rozprze-strzeniającą się po całym ciele. Pistolet wysunął się spomiędzy jego palców i Frank upadł na plecy. Strugi deszczu spłynęły na jego twarz i zmieszały się z krwią szybko wypływającą z rany.

To nie było sprawiedliwe. Wszystko miało się skończyć inaczej.

David pochwycił go za ramiona i mocno potrząsał.

– Co zrobiłeś Carze, mów, sukinsynu!. Jeśli ją zraniłeś, to przysięgam na Boga, że znajdę cię nawet w piekle!

Oczy Franka wywróciły się białkami do góry. Chciał roześmiać się bratu w twarz i powiedzieć, co zrobił, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Westchnął, wypuścił z ust. krwawą pianę i zmarł.

– Nie! – krzyknął David z wściekłością. Zakołysał się na klęczkach i uniósł twarz do góry, a potem wyciągnął z kieszeni telefon i szybko wystukał numer. Gdy usłyszał męski głos, wydał kilka boleśnie krótkich poleceń.

– Tu Jonasz. Przyślij ekipę porządkową pod pomnik bohaterów Wietnami. Natychmiast.

– Tak jest! Będą za pięć minut.

W następnej kolejności David wystukał numer Cary.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Sparaliżowany strachem, David przyglądał się, jak deszcz spłukuje krew spływającą z ciała Franka. Zauważył pistolet Bethany i wsunął go za pas, a potem odwrócił się twarzą do Ściany i zapragnął umrzeć.

W słuchawce nadal rozbrzmiewał sygnał. David wstrzymał oddech i wybrał inny numer.

Znów usłyszał dwa sygnały, a po trzecim odezwał się głos Bethany.

– Tak?

David przymknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Tak? Czy ktoś tam jest?

– Bethany

Po chwili wahania zapytała niepewnie:

– Tato... czy to ty?

David miał wrażenie, że serce za chwilę rozerwie mu pierś.

– Tak... to ja... twoja matka... Nie mogę ...

– Ona jest tutaj – wykrzyknęła Bethany i David usłyszał, że woła Carę. Po chwili znów wróciła do telefonu. – Ktoś włamał się do naszego domu i zranił

mojego męża. Tom jest teraz w szpitalu. Ma tylko łagodny wstrząs mózgu, ale zatrzymali go tam. Mama przyjechała, żeby zająć się dziećmi, gdy ja byłam w szpitalu.

Boże, a więc Cara żyła. Obydwie żyły. David nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Z oczu popłynęły mu łzy.

– Czy przyjedziesz niedługo do domu? – zapytała Bethany tonem nieśmiałego dziecka.

David obejrzał się i wsunął się głębiej w cień. Agenci już tu byli.

– Tak... Niedługo przyjadę – wykrztusił.

– Już się nie mogę doczekać – powiedziała Bethany. – Mama nie chciała mi powiedzieć, dokąd wyjechałaś. Mówiła, że sam mi to wyjaśnisz. – Po chwili dodała szybko: – Mama już tu jest. Cieszę się, że zadzwoniłaś.

– Ja też – odrzekł ochryple i wstrzymał oddech, czekając, aż usłyszy głos Cary.

– David?

Poczuł, że robi mu się słabo.

– Tak, kochanie, to ja.

Ona również wstrzymała oddech, a potem zapytała szeptem:

– Czy już po wszystkim?

David zamknął oczy, zastanawiając się, czy koszmary kiedykolwiek go opuszczą.

– Tak, już po wszystkim.

– Nic ci się nie stało? Bardzo się o ciebie martwiłam.

– Ja też się o ciebie martwiłem – odrzekł miękko.

– Bethany mówiła, że ktoś się włamał do jej domu. Czy wie, kto to był?

– Nie ma pojęcia. Baliśmy się spać ze strachu, że ten ktoś może wrócić.

David zawahał się, ale nie mógł zostawić ich w strachu.

– Powiedz jej, żeby się więcej nie martwiła. On nie wróci.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Cara. – Skąd ty możesz... – Nagle zrozumiała. – David... mój Boże, czy chcesz powiedzieć, że...

– Powiedział, że pięknie wyglądasz, kiedy śpisz. Cara zamilkła, zaskoczona.

– On tu był?

– Czy Tom przypadkiem nie zgubił pistoletu?

– Owszem.

– Chyba go mam. Przywiozę go z powrotem.

– Och, Boże – powtórzyła Cara bezradnie.

– Mam nadzieję, że cię nie dotknął? Nie wyrządził ci żadnej krzywdy? – dopytywał się David.

– Nie, nie! Mam przecież alarm.

– Wezwij rano elektryka, niech go obejrzy. Przypuszczam, że znajdzie jakieś obejście.

– Tak zrobię. Kiedy przyjedziesz do domu?

– Niedługo, kochanie. Niedługo.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał żadnych kłopotów... chodzi mi o to, że...

Wiedział, o co jej chodzi.

– Nie – odrzekł stanowczo.

– Na pewno?

Tym razem udało mu się uśmiechnąć.

– Na pewno. Mam... zezwolenie... na tego rodzaju rzeczy.

Po drugiej stronie znów zapadło milczenie. Cara musiała dopiero przyjąć do wiadomości fakt, że mężczyzna, którego kochała, miał pozwolenie na zabijanie.

– David? – odezwała się w końcu.

– Tak?

– Bardzo cię kocham.

Przymknął oczy czując, jak wyparowują z niego resztki gniewu. Dla niej warto było przez to wszystko przejść.

– Ja też cię kocham – odrzekł miękko. – Czy wybrałaś już datę ślubu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo chcę, żebyśmy wybrali ją razem. Zgadzasz się?

– Oczywiście.

– David?

– Tak, kochanie?

– Tak mi przykro.

Odwrócił się i popatrzył na Ścianę. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Żadnego śladu świadczącego o tym, że Frank Wilson kiedykolwiek tu był. A nawet gdyby istniał jakiś świadek tego, co się zdarzyło, to nie miałyby żadnego znaczenia. Nie można umrzeć dwa razy. A nazwisko Franka już było na murze.

– Tak, Cara... mnie też jest przykro.

David wrócił do hotelu już po czwartej rano

i natychmiast wywiesił na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać,,. Poszedł od razu do łazienki, zrzucił mokre ubranie i wszedł pod prysznic. Długo stał zupełnie nieruchomo, opierając się rękami o ścianę, nadstawiając uniesioną twarz pod silny strumień wody. W końcu sięgnął po mydło i szampon i szorował całe ciało, aż skóra zaczęła go piec. Wyczerpany na ciele i duszy, wyszedł z łazienki, zrzucił się na łóżko i zamknął oczy. Była czwarta trzydzieści rano.

W południe zadzwonił telefon. David obrócił się na plecy i sięgnął po słuchawkę.

– Chciałbym wyrazić moje współczucie z powodu tego, co stało się ostatniej nocy.

David rozpoznał głos prezydenta i podniósł się w łóżku, przecierając oczy.

– Bardzo dziękuję, panie prezydencie. Przepraszam, że nie zadzwoniłem zaraz po tym, jak...

– To nie było konieczne. Zawiadomiono mnie. Zastanawiałem się, czy mógłbyś przyjść do mojego biura... powiedzmy, około czwartej?

– Dzisiaj?

Prezydent zaśmiał się lekko.

– Dzisiaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

David przesunął się na brzeg łóżka.

– Oczywiście, panie prezydencie. Przyjdę.

– Dziękuję. – Naraz prezydent dodał: – Już po wszystkim, prawda, synu?

– A czy kiedykolwiek będzie po wszystkim? – odrzekł David z przygnębieniem.

– Popatrz na to inaczej. Każdy z nas niesie swój krzyż. On należał do ciebie, ale teraz już jest w rękach

Boga.

David dziwnie się czuł słuchając, jak ktoś inny głośno wypowiada argumenty, którymi sam siebie próbował przekonać, ale zrobiło mu się nieco lżej na duchu.

– Tak, panie prezydencie. Ma pan rację.

Znów usłyszał cichy śmiech.

– Oczywiście, że mam rację. Przecież jestem prezydentem. A teraz idź na dobry lunch i pomyśl o tej pięknej kobiecie, która czeka na ciebie w domu.

David uśmiechnął się na myśl, że ma teraz dom i rodzinę.

– Pan prezydent może się teraz z panem spotkać.

David podniósł się i wszedł do Owalnego Gabinetu. Prezydent wyszedł mu na powitanie z wyciągniętą ręką.

– Cieszę się, że mogłeś tu przyjść – powiedział, wskazując mu gestem, by przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. – Pomyślałem, że tutaj będzie nam wygodniej. Proszę, usiądź. Napijesz się czegoś? Kawa? Cola?

– Nie, dziękuję panu – odpowiedział David, siadając. Prezydent przez chwilę przyglądał mu się badawczo. David był mu wdzięczny za to, że prezydent nie stracił wiary w niego w okresie kryzysu spowodowanego przez Franka, ale teraz nie chciał odzywać się pierwszy. W końcu prezydent pochylił się, opierając łokcie na kolanach.

– Zaslugujesz na medal – powiedział. – A co najmniej na oficjalne podziękowanie. Ale wiesz, że

nie dostaniesz jednego ani drugiego – westchnął.

– Panie prezydencie, w tej pracy nie chodzi o rozgłos.

Jego rozmówca skinął głową i odchylił się na oparcie krzesła.

– Czy zdałeś już oficjalne sprawozdanie z wydarzeń?

– Tak. Skończyłem około godziny temu.

– To doskonale.

– Panie prezydencie... czy mogę wyrazić to, co myślę?

– Tak, oczywiście. Co takiego?

– Gdybym kiedykolwiek wcześniej został zatrudniony, to teraz właśnie złożyłbym rezygnację.

Prezydent uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Czasami ciężko jest radzić sobie z anonimowością, prawda?

– Owszem. I... ze względu na szkody, na jakie Frank naraził bezpieczeństwo SPEAR, obydwaj wiemy, że nie mogę już być przydatny. Zresztą czas już, żebym ustąpił ze swej funkcji.

Prezydent pokiwał głową.

– Trudno będzie cię zastąpić.

– Ale chyba nie myślę się przypuszczając, że już pan to zrobił?

Prezydent roześmiał się głośno, zaskoczony intuicją Davida.

– Właściwie tak.

– Mam nadzieję, że ten ktoś może objąć stanowisko natychmiast?

– Już tu leci.

David poczuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Odchylił się na oparcie krzesła i przy-mknął oczy.

– Wykonałeś zdumiewającą pracę – powiedział prezydent.

– To był dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.

– Przykro mi, że nie mogę podziękować ci publicznie za wkład w zapewnienie bezpieczeństwa kraju, ale przygotowałem na twoje nazwisko kilka dokumentów, które powinny osłodzić ci emeryturę.

David uśmiechnął się. Już podpisał papiery, które zapewniały mu więcej niż godziwy roczny przychód.

– Powiedzmy, że nie zraniło to moich uczuć – uśmiechnął się.

Prezydent znów wybuchnął śmiechem. Po chwili wstał, sygnalizując koniec rozmowy. David również się podniósł.

– Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – zapytał prezydent. – Cokolwiek?

David zawahał się, a potem pomyślał: właściwie, dlaczego nie? Najwyżej mi odmówi.

– Tak, jest coś takiego – odrzekł.

– Powiedz, co.

– Jeśli jakiś wojskowy samolot leci dzisiaj w stronę Nowego Jorku, to prosiłbym o podrzucenie mnie do domu.

Prezydent rozpromienił się.

– Mogę ci zaproponować coś lepszego – powiedział i sięgnął po telefon.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cara przeciągnęła szczotką po włosach i obróciła się przed lustrem.

– Wyglądasz pięknie, mamó – uśmiechnęła się Bethany, stając w progu..

– Z wyjątkiem tego pięknego siniaka, który widać nawet pod grubym makijażem. Ty też wyglądasz pięknie.

Bethany niespokojnie wygładziła różową letnią sukienkę.

– Czuję się jak przed pierwszą randką. Zależy mi, żeby spodobać się tacie. Ja też chciałabym go polubić, ale przecież w ogóle go nie znam.

– Z czasem poznasz go lepiej – odrzekła jej matka. Na razie on chce tylko nawiązać z tobą kontakt. Nie będzie próbował zająć miejsca Raya w twoim życiu.

– Wiem, mamó, ale... to mój ojciec. Mój prawdziwy ojciec.

Cara spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Ale Ray też kochał cię jak prawdziwy ojciec.

– To nie ma nic wspólnego z tym, jak traktował mnie Ray. Proszę, mamó, uwierz w to. Ale... Tyler

i Valerie są niżsi i mają jasne włosy, tak jak Ray. Jestem najwyższa ze wszystkich w rodzinie, włącznie z tobą, mamę, mam ciemne włosy i brązowe oczy. Na rodzinnych zdjęciach zawsze wyglądałam jak podzutek.

Cara poczuła, że zbiera jej się na płacz. Bethany nigdy się nie zdradzała z tymi uczuciami.

– Tak mi przykro – powiedziała i uściśniła córkę.
– Szkoda, że nigdy mi o tym nie powiedziałaś.

Bethany z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– A co mogłabyś na to poradzić?

– Zapewne nic – westchnęła Cara – ale może przynajmniej poczułabyś się lepiej.

– Nie było mi z tego powodu smutno. Akceptowałam to – rzekła Bethany. – Nie byłam jedynym dzieckiem, którego ojciec nie żył. Ale właśnie dlatego teraz czuję się taka przejęta! Przecież to cud, że on znów pojawił się w naszym życiu i że wyjdiesz za niego za mąż!

– Więc cieszysz się z tego?

– „Cieszę”, to mało, jestem wniebowzięta!

Cara westchnęła.

– Dzwoniłam wczoraj do Zawołałam Valerie i Tylera i trochę im opowiedziałam o Davidzie.

Bethany zmarszczyła brwi.

– Chyba ich to nie rozzłościło?

– Raczej zaintrygowało. Wiesz przecież, że nie jestem zbyt impulsywna, a tymczasem po tygodniu zaręczyłam się z mężczyzną, którego nie widziałam od czterdziestu lat. Zdaje się, że Tyler chciał wynająć prywatnego detektywa, by zbadał, kim właściwie jest

David.

Bethany zachichotała.

– Ciekawe, co ten detektyw by odkrył!

Cara uśmiechnęła się. Bethany wiedziała tylko, że jej ojciec zajmował wysokie stanowisko w rządowych służbach bezpieczeństwa. Nie miała pojęcia o zakresie jego obowiązków ani o tym, jak wyglądało jego życie, i zdaniem Cary, im mniej wiedziała, tym lepiej. Cara pragnęła, by David odzyskał rodzinę i mógł wreszcie prowadzić zwyczajne życie: zdobyć przyjaciół, chodzić z nimi na ryby, kiedy tylko zechce, wyczekiwać deszczowych dni i leniwych poranków, uczestniczyć w świątecznych rodzinnych obiadach. Miała nadzieję, że z czasem dręczące go koszmary ustąpią. Wierzyła, że tak się stanie.

– Gdzie Tom i dziewczynki? – zapytała naraz.

– Tom zabrał je na spacer do lasu. Chciał chyba, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać. – Jak on się czuje?

– Już dobrze. Wszystko powinno być w porządku. Nie wiem, kto wczoraj bardziej się cieszył, że wypuszczono go ze szpitala, on czy ja.

Naraz dobiegło do nich trzaśnięcie tylnych drzwi domu i głośne krzyki dziewczynek. Bethany pierwsza wybiegła z pokoju, Cara podążyła tuż za nią.

– Mamo! Mamo! Chodź zobacz! Na niebie jest wielki helikopter!

Bethany spojrzała na Carę z uśmiechem.

– Nie bardzo rozumiem, o co tyle krzyku. Można by pomyśleć, że nigdy nie widziały helikoptera.

Dziewczynki jednak pociągnęły ją na werandę.

Cara poszła za nimi. Stał tam już Tom, przysłaniając oczy ręką.

– To wojskowa maszyna – powiedział. – Chyba będzie tu lądować.

Na ustach Cary powoli zaczął się pojawiać uśmiech. Był tylko jeden powód, dla którego wojskowy helikopter mógł wylądować na podwórzu za jej domem. Ten powód właśnie wysiadał.

Zeszła po schodkach, nie chcąc czekać ani chwili dłużej. Helikopter znów wzniósł się w górę, wzbijając tuman kurzu, z którego wyłoniła się sylwetka mężczyzny.

Czekając, aż łoskot śmigieł przycichnie, David pochylił jego głowę i zamknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył Carę biegnącą w jego kierunku. Rzucił walizkę na ziemię i już po chwili był przy niej. Porwał ją w objęcia i okręcił dokoła siebie.

– Tęskniłem za tobą – szepnął, wtulając twarz w jej szyję.

Roześmiała się głośno i pocałowała go, nie dbając o to, że cała rodzina na nich patrzy.

– Jest tu ktoś jeszcze, kto też chciałby się z tobą przywitać – powiedziała miękko.

David spojrział ponad jej ramieniem i postawił ją na ziemi. Cara dostrzegła w jego oczach lęk.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała cicho, popychając go w stronę domu.

Szedł na spotkanie córki, której nie znał, i gdy już była tak blisko, że dostrzegwał w jej oczach własne odbicie, wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, bardzo podobnych do jego własnych włosów.

– Moja matka... twoja babcia... miała włosy dokładnie tego samego koloru.

Nie mógł wybrać lepszych słów na powitanie.

– Czy była ładna? – zapytała Bethany.

– Nie tak ładna jak ty – uśmiechnął się David i wyciągnął do niej rękę. – Bethany, ogromnie się cieszę, że wreszcie cię poznałem.

– Ja też się cieszę – odrzekła przez łzy i ignorując jego wyciągniętą rękę, zarzuciła mu ramiona na szyję.

Zaledwie przed dwoma tygodniami myśl o tym, że mógłby trzymać w objęciach płaczącą kobietę, sprawiłaby Davida w panikę, teraz jednak spadł na niego zupełnie nowy zestaw obowiązków i zanosilo się na to, że przede wszystkim będzie musiał się nauczyć, jak sobie radzić z kobiecymi łzami.

Cara podeszła do nich i we trójkę opletli się ramionami.

Na werandzie, córki Bethany ze zdziwieniem przypatrywały się obcemu mężczyźnie, który przytulał ich mamę i babcie. Rachel odezwała się pierwsza.

– Tatusiu, kto to jest ten pan, który ściska mamę?

– Kochanie, to jest jej tatuś.

– Myślałam, że dziadzio Ray był jej tatusiem.

Tom westchnął.

– To trochę skomplikowane, ale on też jest tatusiem mamy.

Rachel zmarszczyła brwi.

– Wydaje mi się, że mama płacze.

– Chyba tak – uśmiechnął się Tom.

– Czy on jej robi coś złego?

Jej ojciec potrząsnął głową i położył ręce na gło-

wach obydwu swoich córek, niezdolny wyobrazić sobie, jak w tej chwili musi się czuć David.

– Nie, mama płacze, bo jest szczęśliwa.

Rachel oparła się o zdziwiona zachowaniem dorosłych.

– Czy on będzie przytulał mnie i Kelly?

– Chyba nie, przynajmniej na razie. Ale myślę, że niedługo same tego zechcecie.

– Dlaczego?

– Bo on też jest waszym dziadkiem, a dziadkowie są fajni.

Rachel spojrzała na przybysza z pewnym zainteresowaniem. Kochała dziadka Joe, bo jeździł z nimi na rowerze i uczył je grać w tenisa. Przypomniała sobie zdjęcie na kominku babci.

– A czy on zabierze nas na ryby?

Tom uśmiechnął się. Niezależnie od wieku, kobiety zawsze próbowały zaplanować życie mężczyznom.

– Sama go o to zapytasz, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Rachel i wstrzymując oddech, patrzyła, jak cała trójka wchodzi na werandę.

David wymienił uścisk dłoni z Tomem, a następnie przeniósł uwagę na wnuczki. Boże drogi, to były jego wnuczki, dwie śliczne dziewczynki, które teraz wyglądały na bardzo zmieszane. Przykucnął obok nich.

– Czy ty jesteś Kelly? – zapytał młodszej, która kurczowo trzymała się nogi ojca. Skinęła głową i uśmiechnęła się niewinnie.

David sięgnął za jej ucho i wyciągnął monetę.

– Musisz dokładniej myć się za uszami – powiedział.

– Popatrz, co tam znalazłem.

Roześmiała się na głos, gdy podał jej nowiutkiego dolara.

Rachel wstrzymała oddech, ciekawa, co będzie dalej. Na wszelki wypadek ona również sięgnęła za ucho, ale niczego tam nie znalazła. David zauważył ten gest i stłumił uśmiech.

– A ty jesteś Rachel, tak?

Skinęła głową.

– Pamiętam twojego królika, Henry’ego. Mam nadzieję, że więcej nie próbował wyskakiwać z plecaka?

Rachel szeroko otworzyła oczy. To był ten pan, który znalazł Henry’ego na lotnisku!

– Ja cię znam! – zawołała z podnieceniem.

David zawahał się krótko i wyciągnął do niej rękę. Dziewczynka zerknęła na matkę i widząc jej aprobujące kiwnięcie głową, powoli wsunęła dłoń między jego dłonie. Ten nowy dziadek był większy niż jej tatuś, a oczy miał brązowe jak mama.

David przepadł ze szczętem i dobrze o tym wiedział.

– Widziałam twoje zdjęcie na kominku babci – oznajmiła Rachel.

– Tak? I co sobie pomyślałaś? – zapytał David.

Zmarszczyła brwi z rozważą.

– Że chyba umiesz łapać ryby.

– Umiem – uśmiechnął się. – A czy ty lubisz łowić ryby?

To było otwarcie, na które czekała.

– Tak, lubię. Jeśli kiedyś zabierzesz mnie ze sobą,

to nauczę cię łapać dużo większe ryby.

David zakłósał się ze śmiechu. Rachel spojrzała na niego zdziwiona, nie rozumiejąc, z czego wszyscy się śmieją, cieszyła się jednak, że sprawiają wrażenie szczęśliwych.

David podniósł się i objął Carę.

– Dziękuję ci, kochanie – powiedział miękko.

– Za co? – zapytała.

– Za to, że wreszcie wiem, jak się czuje człowiek, który wraca do domu.

EPILOG

4 lipca 2001

Dzień był duszny i upalny. Orkiestra piechoty morskiej stroiła instrumenty. Na placu między mauzoleum Lincolna a pomnikiem Washingtona gromadzili się ludzie. David zamierzał dołączyć do rodziny, ale najpierw miał coś do zrobienia – coś, co robił czwartego lipca każdego roku od czasu, kiedy wzniesiono tu pomnik bohaterów wojny w Wietnamie.

Zszedł po ścieżce prowadzącej w dół, starając się nie myśleć o tym, co zdarzyło się w tym miejscu zaledwie przed kilkoma dniami. Róża, którą niósł w ręku, wydawała się ciężka jak kamień. Zacisnął na niej dłoń i skrzywił się, gdy palce trafiły na kolec. Jeszcze dziesięć, może dwanaście kroków dzieliło go od miejsca, gdzie zginął Frank.

Zatrzymał się z wzrokiem przykutym do betonowego chodnika i po dłuższej chwili westchnął. Nic. Na chodniku nie było widać nawet najmniejszego

śladu krwi.

Odwrócił się do muru, odnalazł nazwisko brata i dotknął wykutych w marmurze liter czubkami palców.

– Rodzina? – zapytał ktoś. David obejrzał się. Obok niego stała siwowłosa kobieta w czerni. Skinął głową.

– A tu jest nazwisko mojego męża – wskazała.

– Anthony C. DeFranco – przeczytał David na głos.

– Nazywałam go Tony – powiedziała kobieta, ocierając oczy chusteczką. – Byliśmy sześć tygodni po ślubie, gdy został powołany. Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

– Bardzo mi przykro – szepnął David.

Nieznajoma westchnęła.

– Tak, wiem. Wszystkim nam jest przykro. Ale to się stało, a ja mogłam tylko żyć dalej. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Co miałam zrobić? Ja przecież nie umarłam.

Odeszła, zostawiając Davida z tą prostą prawdą.

Znów spojrzął na wykute w kamieniu litery i pomyślał, że ta kobieta miała rację. Choć Frank zginął zaledwie przed kilkoma dniami, tak naprawdę nie żył już od czterdziestu lat i David już dano opłakał jego śmierć.

Nadszedł czas, by ruszyć dalej. W końcu nadal był żywy.

Położył czerwoną różę u podstawy muru, po raz ostatni dotknął liter nazwiska i ruszył ścieżką pod górę. Cara już tam na niego czekała. Bez słowa objął ją

mocno.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho.

Uśmiechnął się i po raz pierwszy od lat poczuł, że naprawdę wszystko jest w porządku.

OD AUTORKI

Urodziłam się podczas wojny, dorastałam podczas innej wojny i wychowywałam swoje dzieci w czasach tragedii, jaką stała się wojna w Wietnamie. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam swojego wnuka, urodzonego podczas wojny o nazwie Pustynna Burza, zaczęłam się zastanawiać, czy już zawsze tak będzie – czy musimy skazywać na śmierć najmłodszych i najlepszych z każdego pokolenia.

Trzy pierwsze wojny zabrały mi rodzinę i bliskich. Ostatnią z przerażeniem oglądałam w telewizji, która pokazywała ją całemu światu.

Dedykowanie tej książki wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy w ciągu ostatnich stu lat walczyli o utrzymanie wolności naszego kraju, wydaje się drobnym i nic nieznaczącym gestem. Robię to jednak, gdyż mogę to zrobić, i jest to również wszystko, co mogę zrobić.

Dedykuję tę książkę mojemu ojcu, starszemu sierżantowi Hermanowi A. Smithowi, oraz wszystkim, którzy zginęli przed nim i po nim. Dziękuję wam z głębi serca.

Tatusiu, żałuję, że nie możesz tego przeczytać.